http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

JAN AUGUSTYNOWICZ

POCIĄGNIĘCIA PĘDZLEM

WARSZAWA:
NAKŁADEM
GEBETHNERA I WOLFFA.
KRAKÓW:
GEBETHNER I SP.
1901.

T. NOSKOWSKI.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Pociągnięcia Pędzlem

http://rcin.org.pl

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

http://rcin.org.pl

JAN AUGUSTYNOWICZ

POCIĄGNIĘCIA PĘDZLEM

SZAŁ — «PAN BRACZACZEWICZ» — WIECZÓR W ILIDŻE
POTĘPIENIEC — BARAN — WIECZÓR KARNAWAŁOWY
W SŁOŃCU — W CIENIU — PANNA STASIA — SPEŁNIŁO SIĘ
MOMENTY — AŻ DO KOŃCA DNI...

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1901

http://rcin.org.pl

Fundacji im. J. J. Michalskich
Ze zbiorów

Дозволено цензурою.
Варшава, 9 Апрѣля 1901 г.

60
http://rcin.org.pl

SZAŁ

WIZYA

POCIĄGNIĘCIA PĘDZLEM.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Cicho...

Jak cicho, jak uroczo... Bezbrzeżna toń niebieska — królewska, cudowna, złote światła, przelewające się promienistą falą przepięknych barw i odcieni, balsam wonnego powietrza wiośnianego, czarujący swą ożywczą siłą i potęgą, kobierce traw zielonych i kwiatów różnobarwnych: rozkoszą to i rajem wszystko.

Dziko-oszałamiającym jest haszysz przyrody...

W lazury zapatrzony, w wonnych trawach zagłębiony — idę.

A dusza ma jakby do kryształu podobna: niema w niej nic, coby ją mąciło, bo wszystko, co ziemskie, odpadło od niej.

I idę gdzieś, prawie płynę... Tak dobrze mi, tak strasznie dobrze!

Góry majaczą w dali: fantastyczne, srebrnopióre, pieściwe...

Pójdę tam, idę...

http://rcin.org.pl

I wszystko jest mi obcem. Czyż zapomniałem?

Bo tak nieraz chciałbym zapomnieć...

I nie wiedzieć, nic nie wiedzieć.

A serce moje, zda się, wchłania bezmiar szczęścia, rozlanego w błękitach. Jestem zapomnieniem i upojeniem.

Wierzę, wierzę teraz, że tak być powinno, że tak tylko jest, a pustka, ciemność, otchłań złowroga — to mary.

Bo to było tylko chyba kiedyś, a teraz znikło na zawsze...

Na zawsze!

Więc idę upojony radością. Lecz nagle...

Co to?

Ból, rozpacz wpijają się we mnie...

Dźwięk, dźwięk dzwonu, a taki złowrogi, dreszczem przejmujący... Taki oszałamiający, kruczy...

Płynie drżący, zefiry niosą go na łonie swojem. Jak demon ogarnia sobą wszystko... Ach!

Czem jesteś, — ty, dźwięku? Jękiem, skargą, groźbą, przekleństwem, nieszczęściem? Idź precz, precz...

Lecz nie znika, nie milknie... Wibruje w całem przestworzu, napełnia je sobą... Zda się, nic niema — prócz niego.

http://rcin.org.pl

Tyś to znienawidzony przyszedł serce kąsać i krew z mózgu wypijać? I ni chwili złudy, ni mgnienia szczęścia??

Dzwonią. Słuchajcie, tam dzwonią! Ha, do mózgu mi się przeszywa ten dzwon szalony, ogłupia, rozwścieczа... Te tony dzwonu jękliwe, bezczelne, pełzające, nędzne — wstrętne są! Gadzina z nich wyziera i przeklęte bazyliszka oczy... Do płaczu, do skruchy nawołują, a zgrzyt w duszy budzą... Precz mi z oczu, precz z serca, precz z mózgu mego!

Dlaczego wżarłeś się w to ciało moje — dźwięku?

Ty posłańcem wiary jesteś? Czemu rozpacz i zwątpienie budzisz? Ty ukoicielem chcesz być? Czemu wściekłość rodzisz? Ty arką przymierza jesteś? Czemu targasz i rwiesz wszystko?

Czem jesteś, ty — przeklęty?

Lecz oto... Znika już, milknie. Jeszcze kilka zgrzytów i zczeźnie.

Płacze??...

Nie, przebóg, to bolesne złudzenie...

Już umilkł. Lazury nad głową moją jasne, promienie igrają złotem, a bujne kobierce pachną. Idę, idę znowu w tej niepojętej ciszy, w niezrozumiałej harmonii piękna, barw i światła, ale w duszy mojej już niema jadu. Znikła hydra, niema już gadziny. Całują mnie zefiry, ścielą się pod nogami trawy, swawoli ze mną

http://rcin.org.pl

słońce... Do srebrnopiórych, do fantastycznych idę, tam śnić i marzyć będę...

O czem?

Ach, może o tej niepokalanej prawdzie, którą to, co ludzkie, tak często zohydza...

Mostar w Hercegowinie. 1896 r.

http://rcin.org.pl

PAN BRACZACZEWICZ

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I.

Stary Jakut, który przyszedł właśnie przed chwilą, by poprawić ognisko, ukończywszy grzebanie w niem osmalonym patykiem jakimś, zwrócił się do wysokiego Bratatałowicza i wyrzekł zniecierpliwionym, oschłym i pełnym złości głosem:

— Jak chcecie, pan Braczaczewicz! ja już dłużej u was nie wybędę, mnie nie potrzeba żadna wlec się, jak chuda suka, po kątach i nawet porządnej z tłuszczem kości do ogryzenia nie mieć... Nie chcę was! Szukajcie sobie innych, ja nie wybędę, wy wiecie, ja nie potrzebuję głodu, mnie nie «nuźda» żadna, ja nawet porządnej kości od was nie dostanę... Ja nie chcę!

I powtarzając to ciągle w kółko, miął w ręce poczerniały patyk i odwróciwszy się od Bratatałowicza, bełkotał coś dalej jeszcze z wrastającą coraz więcej głuchą niechęcią i nienawiścią.

Bratatałowicz stał niemy, zdumiony tem, co nagle usłyszał, i jakby niedowierzający...

http://rcin.org.pl

W oczach jego czytać można było zgrozę, widać było, iż nie chciał przypuścić, by to, co z suchej piersi starego Jakuta wychodziło, prawdą być mogło... Z jego skurczonych ust przebijała jakaś boleść, z ciężko sfałdowanego czoła straszna, nagle powstała troska.

Po chwili wydusił zdumiony:

— Co ty, Rybka, pomieszania dostałeś, czy «gorzką» się upiłeś? Co ty znowu?

Jakut stał niemy. Nagle obrócił się szybko w stronę Bratatałowicza i, mierząc go wściekłym wzrokiem, wybuchnął:

— Tak, wy to wiecie! Nie potrzebujecie mnie «robić» pijanym, ani pomieszaniem wyzywać... Już wy dobrze wiecie! Ja, pan Braczaczewicz, u was nie będę, nie będę! Rozumiecie, pan Braczaczewicz? — powtórzył, przyskakując do mężczyzny z iskrzącym wzrokiem i wymachując kościstemi bronzowemi rękoma, — ja nie będę, nie będę!

To mówiąc, stanął i wpatrywał się w wysokiego Bratatałowicza, który wzajem patrzał na niego z zdziwieniem niezmiernem, jakby mało z tego pojmując...

Nagle w drugiej izbie zapłakało dziecię. Żałosne jego kwilenie poczęło przechodzić w głośny płacz, aż potem zlało się w krzyku niemowlęcym — doniosłym, zgrzytliwym, wstrząsającym...

http://rcin.org.pl

Bratatałowicz drgnął i zdawało się, że na chwilę zapomniał o kłótni Jakuta. Potem twarz jego się skurczyła, w oczach zaświecił ból...

Rybka zdawał się niezmienionym i zupełnie obojętnym na to, co z drugiego pokoju dosłyszał. Wyraz twarzy jego tylko stał się więcej spokojnym, ale za to jakby uporczywszym. Stał pochylony nieco, białka jego oczu błyskały ponuro...

Dziecko zaczęło zawodzić coraz silniej.

— Rybka, jak ty się Boga nie boisz takim człowiekiem być? Żali nie masz upamiętania nawet na taką chwilę?

Lecz Rybka, który był jak rozzłoszczone małe dziecko, powtarzał wciąż swoje uporczywie:

— Ja nie mogę, ja zdechnę... mnie nawet kości nie dajecie... Ja nie mam choć tyle tłuszczu... Mnie tu nie służba, ja nie mogę!

Wysoki Bratatałowicz, na którego wychudłej i znędzniałej twarzy odbiły się straszny ból i przygnębienie, przemówił do niego raz jeszcze:

— Nie gub duszy, Rybka... Wiesz przecie, że i ja już dawno suche tylko kości obgryzam, a co lepsze żonie oddaję... Przyjdzie lepiej, będzie i tobie tłuszcz i mięso... Na Chrysta molim cię, Rybka, nie porzucaj, człowiekiem bądź!

Jakut wpatrywał się bezmyślnie w mówiącego i jakby echo jego, powtarzał za nim wie-

http://rcin.org.pl

czną swą strofkę wraz z ostatniemi słowami Bratatałowicza:

— Człowiekiem bądź!... Ani tłuszczu, ani mięsa... Psia służba! Nic niema... Człowiekiem bądź... Nic nie dają, nie potrzeba, nie «nużda» żadna... człowiekiem!...

A Bratatałowicz usiadł jak kamień na krzywym zydlu jakimś i mając w głowie, w duszy i w sercu płacz i kwilenie dziecięcia, które wołało pokarmu z piersi, nie posiadającej go już wcale, myślał o okropnym losie swoim i tych dwojga związanych z nim istot. Płacz dziecka zaś mieszał się ciągle z mamrotaniem Jakuta i zdawało się, że wszystko: dom, sprzęty i puste naczynia, że to wszystko powtarza za Rybką groźne i złowieszcze słowa: Tłuszczu niema, mięsa niema, nic niema... Psia służba, psia służba!...

II.

— Co wy, panie? Ja nie mogę. Przecież widzicie, że u mnie i tak już kuso. A co ja poczną, jak gorsze zimna nadejdą? Choć z głodu zdychać!

— Trochę tylko, mało, pożyczcie... Oddam z pewnością w środku zimy, po Bożem Narodzeniu zaraz...

— Nie mogę, sąsiedzie! Ot, chleba kawał,

http://rcin.org.pl

chcecie, bierzcie... Soli trochę, tytuniu, ale nic więcej nie mogę.

Bratatałowicz szedł dalej. Może Batynka mu pożyczy. Przecież odda napewno, aby sam wydobrzał i żona po ciężkim połogu i złej chorobie choć na chwilę się zwlekła... Wszak i nadal do kowalki wziąć się będzie w stanie i choćby sekretarzowi pomódz...

Poszedł do Batynki. Otworzyli mu nieprędko. Wreszcie wyjrzała kosmata głowa:

— Kto tam «stuczy» na dworze?

— Ja, Siergieju Wasilowiczu, otwórzcie, prośbę do was mam...

Po chwili ukazała się w sieni figura nie wysoka.

— Wchodźcie, Bratatałowicz! Po pieniądze pewnie? zapomogę? Aj, jaki ciężki rok, jaka ciężka zima! A u was choroba i połóg... Jak ciężko! Co powiecie, Stanisławie Kazimierzowiczu?

— Po dwa ruble was prosić przyszedłem... Nie na długo, na miesiąc! Da Bóg, oddam wam napewno, niech mi żona wstanie i ręce niechaj mi dosłużą... Rybka opuszcza...

— Choć skórę z siebie! Ni kopiejki w domu. Wczoraj Maliwkin ostatnie za smarowidło pobrał... Ani kopiejki przy duszy... Mam cztery... Weźmiecie cztery, Stanisławie Kazimierzowiczu?

http://rcin.org.pl

Bratatałowicz próbował jeszcze u Sikory. Ale Sikora, który choć był poczciwy z kośćmi, lecz sam wiecznie w długach, wódką go tylko poczęstował, a gdy mu się zdawało, że brak chleba należy czemś wytłómaczyć, wyjąkał desperacko:

— Ot, choroba i tyle! Gorzałka jedna została na zalanie robaka, a i to póki człowiek nareszcie nie zdechnie... Nawet pomału to się tak przyzwyczaisz, że nie potrzebujesz niczego do niej, sama idzie!

Bratatałowiczowi, którego widmo ostatecznej nędzy przerażało, przyszedł na myśl sekretarz, u którego czasami trochę papierów przepisywał. Teraz bujał on gdzieś po okolicy. Zdybał go jednak niedaleko «kabaku».

— Nic mogę — odparł stanowczo i opryskliwie. — Roboty niema, zresztą nie podołasz, słabyś bracie! Pieniądze się u mnie nie rodzą, a własnych nie mam... Ni «dienieżki» bym ci nie dał, bo u samego goło, jak u świętego tureckiego.

Bratatałowicz powlókł się ciężko do domu. W głowie mu szumiało, w uszach gwizdało przeraźliwie. Zdawało mu się, że nic nie słyszy, że ciemne i groźne niebo, które wisiało ogromne ponad nim, spływa powoli ku niemu i obejmując go zewsząd chłodnymi płatami, przemienia mu głowę w bryłę...

http://rcin.org.pl

W domu zaś był jak odrętwiały i tak przesiedział resztę dnia w osłupieniu.

III.

Ciężka rozpacz zawisła nad nimi. Nędza, która ich żarła od miesięcy paru, zbliżała się coraz więcej do nich — dotkliwsza, straszniejsza, nie przebaczająca... Widmo jej włóczyło się teraz ciągle po kątach, po sprzętach, kołysce dziecka, wychudłem ciele matki, suchych członkach Bratatałowicza, po niechlujnym i dzikim Rybce wreszcie. Wyciągała coraz więcej ku nim długie swe ciemne ramiona i, owijając ich niemi powoli, wołała jakby z uporem:

— Pójdźcie, ja was wszystkich utulę na zawsze!

Bratatałowicz wzdrygał się, szukał ratunku, oparcia. Starał się ją zażegnywać, usunąć i przegnać na zawsze. Jednak ona zdawała się być mocniejszą i więcej stalszą od niego, z większym od niego uporem sięgała po tych czworga i wyszczerzając do nich swe zęby, nie przestawała nawoływać jednako:

— Pójdźcie, ja wam ukojenie dam!

A Bratatałowicz chciał żyć i życiem swe dwie ukochane istoty od śmierci ocalić. Tem straszniejszem było jego uczucie, gdy codziennie,

http://rcin.org.pl

kładąc się na nędzny barłóg, całe noce przelegiwał z wlepionemi w jeden punkt jak słup oczyma i widział, niby na jawie, że ta, co stała w kącie bezczelna i odarta, zwycięży go wreszcie i pociągnie za sobą tam, gdzie wskazywała jemu i onym dwojgu spokój wieczny i niezmącony...

A przecież drżał na tę myśl i pożądał życia dla nich i dla siebie!

Teraz dopełnił się kielich. Jedyna pomoc i podpora, nieoceniony i nie zastąpiony niczem Rybka, porzucał ich i szedł między ludzi ocalić choć siebie i nie dać zamrzeć sobie nędznie, śmiercią głodową.

Dlaczego nie miał tego uczynić?

Bratatałowicz szarpał włosy.

Czy wiązało go coś z nimi, czy był ich bratem, przyjacielem, psem? Czy zaprzysiągł im wierność do grobu, czy związał los swój z ich losem, czy przyrzekał im zostać i żywić ich te parę tygodni swą pracą? Wszak on był wolnym nędzarzem, któremu wszystko jedno, przy jakim stole chleb swój jeść będzie, byle go miał poddostatkiem, byle go uczciwie zarobił?

Czyż jego było można winić?

A jednak teraz pognębionemu i zupełnie, zda się, złamanemu Bratatałowiczowi dusza się wzdrygała, że ten Jakut tak czyni.

Gdy w długie, bezsenne noce słyszał donośne

http://rcin.org.pl

kwilenie dziecięcia i ciężkie, halucynacyjne poruszenia żony, gdy czasami na chwilę zajęczał jej kaszel suchy i zamarł w cichem rzężeniu, gdy jego samego nachodziły jakieś wizye i gdy to wszystko, pomieszawszy się z sobą i tańcząc w piekielny takt dokoła, szalało żywe, a jednak nieuchwytne, wtedy sądził, że to ostatnie przejawy życia już nadchodziły i w brutalny, dziki jakiś sposób dawały znać o sobie. Jedynem wspomnieniem, którem usiłował zażegnywać owe mary, była myśl o obecności Rybki. Ten do tej pory zręcznością swoją i posługami zdobywał coś nie coś i podczas gdy on sam, po ciężkiej chorobie niewyleczony, dniami całymi nie opuszczał barłogu żony, wpatrzony w nią boleśnie — niebezpiecznie chorą najtroskliwszą opieką otaczając, Rybka, jak dobry duch opiekuńczy, biegał po miasteczku i pomagał do żywienia rodziny.

Teraz przyszło najgorsze i ostatnie. Nie żyć im już było na tym świecie! Wiedział, co ich czeka, a jeśli umierać — to wszystkim... Jakut opuszczał ich z postanowieniem niezłomnem. Nawet jego silna natura okazała się niezdolną do dalszego przenoszenia tego życia i to, co powiedział, prawdą było. Opuszczał ich nieodwołalnie, a dla nich został tylko...

— Grób, cichy, spokojny, dobry grób! — szepnęło widmo, które Bratatałowicz widział

http://rcin.org.pl

ciągle, jak z chciwością łowiło bieg jego myśli.

Niedaleko, na paru skórach wytartych, widocznie nieprzytomny z głodu, leżał Rybka i szarpiąc ręką w ciężkim śnie, jęczał od czasu do czasu żałośnie:

— Nie mogę... nie mogę... Taka psia służba!... I mięsa nie dajecie i tłuszczu nie dajecie i nic... Dopóki mogłem, to siedziałem, a teraz nie mogę, nie mogę, nie mogę!...

Bratatałowicz zwrócił błędne swe oczy na Jakuta i w głuchej ciszy izby, w takt poświstu wichru za oknem, powtórzył, jak echo, za nim:

— Nie możesz, nie możesz, nie możesz...

Nagle w jego oczach coś zaświtało, nie złowieszczego jednak, lecz spokojnego i nie cofniętego.

— I nie potrzebujesz, Rybka — domówił, zrywając się z barłogu swego pod ścianą — o, nie będziesz potrzebował!

Podszedł do kominka pod wędzarnię i wziąwszy stamtąd duży, ostry nóż, który służył do czyszczenia skór reniferowych, chciał zmierzyć ku drugiej izdebce... Stał jednak, jak zahypnotyzowany, rozszerzonemi oczyma wpatrywał się w uśmiechnięte piekielnie widmo. Ścisnął kurczowo nóż w ręce, zęby zwarły mu się konwulsyjnie, niby w spaźmie...

Wreszcie zaczął szeptać coraz prędzej i gło-

http://rcin.org.pl

śniej, jak człowiek będący w strasznem pobudzeniu:

— Boże, jeżelim zgrzeszył, odpuść mi, jeżelim kogo skrzywdził, nie pamiętaj mi tego...

— Boże mój, daj mi dość siły, bym to uczynił, a jeśli ręka moja zadrży, dodaj mi, Boże, rozpaczy!...

— I to wiedz, Boże, że nie z podłości to czynię, lecz dla skrócenia mąk...

— A jeśli nie widzisz cierpień jej i tego stworzenia niewinnego, ulituj się nad nami i wejrzyj... Jeśli przeklinać będziesz, powstrzymaj rękę swą karzącą i nie rzuć kamieniem...

— I gdy pomrzemy, przyjmij nas na łono swoje, zmiłuj się, Boże Najwszechmocniejszy, i przebacz... Zbaw nas od zguby wiecznej i pamiętaj w straszną godzinę sądu, Odkupicielu i Zbawicielu...

Tak jęcząc, przestąpił próg izby sąsiedniej i po chwili w niej znikł...

. . . . . .

Na drugi dzień stary Jakut, który zwlókł się z posłania z nieopisanym trudem, zmęczony chorobliwym snem, w jaki wygłodzony jego organizm zapadł, został niepomiernie zdziwiony widokiem, który się oczom jego w sąsiedniej izbie, dokąd się po bezskutecznem długiem nawoływaniu udał, przedstawił.

Na tapczanie, z głową na dół owisłą, leżało,

http://rcin.org.pl

zbroczone krwią, z piętnem silnej choroby na sobie, ciało młodej kobiety. Niedaleko w kołysce z zaciśniętemi piąstkami i już nieżywe spoczywało niemowlę, a na glinianej podłodze, twarzą do ziemi zwrócony i z rękoma na krzyż rozłożonemi, walał się długi trup Bratatałowicza...

Obok niego kałużami czerwieniła się skrzepnięta krew.

— Co to? co to? — wyszeptał Jakut. — Nieszczęście... Straszne... I już nic nie mieli do jedzenia... Ostatnią kość ze szpikiem wczoraj im od Czartkowa przyniosłem... A ona nawet niemowlęcia czem karmić nie miała... Nieszczęście, co za nieszczęście! Bóg ich nie uchronił i zarżnęli się, zarżnęli! I niema ich, niema!...

Strach jakiś i niepokój zaczęły go opanowywać. Potem starał się owładnąć tem uczuciem, ale zamiast otrząść się z niego, poddawał mu się coraz więcej... Wzdrygnął się parę razy i patrząc z wzrastającem przerażeniem na nieżywą kobietę i martwy trup Bratatałowicza, zdawał się wylękłemi i szklanemi oczyma nie pojmować jeszcze dobrze tego, co tu zaszło... Wreszcie nie wytrzymał i z wzmagającem się uczuciem panicznego strachu począł cofać się tyłem ku drzwiom. Czuł, jak mu się włosy zjeżyły na głowie i jak w skroniach zaczęło tętnieć coraz bardziej... Po chwili wrzasnął głośno, przeraźliwie:

http://rcin.org.pl

— Pan Braczaczewicz! pan Braczaczewicz! Ja zostanę u was, wy nie umierajcie, ja zostanę!!!

Ale Bratatałowicz, który był już nieżywy, zaśmiał się na to tylko wzgardliwie i z gorzką ironią powtarzać zaczął:

— Nie gub duszy, Rybka... Przyjdzie lepiej, będzie i tobie tłuszcz i mięso... Na Chrysta molim cię, Rybka, nie porzucaj, — człowiekiem bądź!

Jakutowi pociemniało w oczach. Potem schwycił się za głowę i wyleciawszy z domu jak szalony, począł wołać ratunku w niebogłosy.

Kto nie kto wyjrzał z chałupy, niektórzy przybiegli na pomoc, ale gdy weszli do domu Bratatałowicza, ujrzeli go tylko martwego, leżącego z rozkrzyżowanemi na ziemi rękoma i wychudłemi swemi ramionami jakby broniącego kobiety i dziecka, których zamordował...

Monachium. 1897 r.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

WIECZÓR W ILIDŻE

(Wspomnienie z podróży po Bośnii)

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Bośnia...

Słowo to wywołuje dotychczas jeszcze w mej głowie rój wspomnień, niezliczoną moc dawno minionych wrażeń... Smętno-pogodny kraj, poprzerzynany pasmami niewysokich lesistych gór, głęboko jakby zadumanych, to Bośnia. Morze słońca po jej wyżynach i dolinach się rozlewa, obejmując w tkliwo-serdecznym, ale i nieobjęcienamiętnym uścisku wszystko; lazur przezroczny nieba wydaje się tam czystszym i więcej niepokalanym jak gdzieindziej, powietrze zionie tysiącami zapachów aromatycznych. I taka błogość, taka cisza, takie ukojenie... Spokój bezbrzeżny, jak anioł skrzydlaty, zawisł, a w tem omdleniu jest jakiś imponujący majestat. Lecz spokój to może pozorny. Często zdaje się, jakby coś w wnętrzu tej ziemi burzyło się i falowało, jakby rozsadzało skorupę zewnętrzną, by z wściekłością na jaw się wydobyć. I jest to niby cisza przed burzą, dziwne, dreszczem przejmujące milczenie sfinksa, mogącego ożyć. Tak, mówią,

http://rcin.org.pl

ożyje kiedyś naród bośniacki, zgnębiony wiekami niewoli tureckiej, spętany jedwabnymi sznurkami Austryaka. Jutrznia zaświta może radośniej, po lasach poleci echo szczęsnej pieśni, a westchnienie wędrownika zagłuszy wesoły okrzyk. Wszystko zaś, co było dawniej ciężkiem i smutnem, bajdą dziwną się stanie.

Bo ziemia ta zdaje się stworzoną na ziemię słońca tylko i szczęścia...

* * *

W roku 1896-ym, w początku sierpnia, wybrałem się do Bośnii. Dawno dusiła mnie żądza poznania Bałkanów i ujrzenia na jawie tego, o czem dusza już dziecięca marzyła. Jechałem rozradowany, kontent, że choć na czas pewien odetchnę południowo-słowiańskiem powietrzem. Jeden z naszych Hamletów (w naszej paczce byli i Hamleci) upewniał, że postanowienie moje jest ryzykownem. Biedak! Śmiałem się z niego szczerze, a w Bośnii śmiałem się jeszcze więcej. Szkoda, że nie pojechał ze mną: może zmieniłby swoje dziwne zdanie.

Z Trawniku, miasta leżącego poza znaną z piękności drogą Banjaluka-Jajce, pierwszego mego w Bośnii etapu, ruszyłem piechotą do Bosna-Seraju, Sarajewem obecnie zwanego. Szedłem ubrany prawdziwie po wędrownemu:

http://rcin.org.pl

w długich butach, podróżnej koszuli, w kurcie góralskiej, z workiem turystowskim na plecach i potężnym kijem w ręce. Drogę miałem żmudną i upalną. Słońce zdawało się roztapiać wszystko, pogodne niebo nie zwiastowało ani kropli dżdżu. Ocierałem pot z czoła, sapiąc.

Na trzeci dzień, przy stale sprzyjającej tak pogodzie, po dwukrotnem zaś nocowaniu w małych osadach, dotarłem wreszcie do Sarajewa. Z ciekawością wkroczyłem w jego mury. Byłem przecież w mieście, opiewanem w narodowych pieśniach, o którem Bośnia mówi z dumą, a wspomina z przechwałką, mieście sławy. Kadłubem swym spoczęło w szerokiej dolinie rzeki Milečki, a oboma ramionami rozpełzło się po wzgórzach Treberyczy i Ismanu. Wyglądem swym przypomina w jednych miejscach gród europejski, sztywny, zimny, pełen blichtru, w drugich — miasto azyatyckie, tureckie, nie tknięte jeszcze przez ducha reformy.

To jest ten drugi niegdyś po Stambule gród...

Z jakąś satysfakcyą, lecz i dziwnym zarazem smutkiem uderzyłem kosturem swym o rozpalony jego bruk. Po raz pierwszy odczułem silniej tęsknotę, pierwszy raz gorycz zalała mi serce. A później to uczucie zaczęło coraz silniej rozżarzać się we mnie, aż przygniotło mi duszę ciężarem. Bo oto wśród tych tłumów różno-

http://rcin.org.pl

barwnych, wśród krzyków, nawoływań, śmiechów, wśród tej rozmaitości typów, ubiorów i rzeczy, nie miałem nic i nikogo blizkiego, byłem obcy, cudzy, byłem sam, zupełnie sam...

Usiadłem na jakiejś ławeczce. Twarz wykrzywiła mi się grymasem, w oczach nieledwie łzy zaświeciły. Wspomniałem na daleki kraj, na rodzinę, od której dawno już nie otrzymałem żadnej wiadomości. Zdało mi się, że po tak długiej i nużącej mojej podróży choć jedna osoba życzliwa powinna mnie na tym bruku przywitać, — dłoń podać i poczciwie ją uścisnąć. Próżno ironizowałem sam siebie, wymyślając sobie od «zbabiałych niedołęgów» i «karmelkowych paniczyków» — przykre uczucie nie mijało. Z jakimś dziecinnym uporem wracałem wciąż do tej myśli i prawie zupełnie na seryo uważałem w owej chwili całą ludność Sarajewa za stek ludzi niegodziwych, samolubnych i bez serca.

Wstałem. Postanowiłem szukać gospody lub hotelu, gdziebym mógł jak najrychlej na cztery spusty się zamknąć. Obrzydli mi nagle Turcy, Bośniacy, Sarajewo i cała moja wędrówka.

Szedłem ulicą, zwiesiwszy głowę. Worek na plecach ciężył mi, buty zabłocone cisnęły, koszula dławiła, kapelusz ugniatał... Wszystko mi zawadzało — nawet ci ludzie, przystający co chwila i gapiący się ze zdziwieniem na orygi-

http://rcin.org.pl

nalnego podróżnika, choć do niedyskretnych spojrzeń miałem już czas przywyknąć.

Teraz jednak złościły mnie te baranie spojrzenia i uśmiechy, a chichoty trącających się łokciami Bośniaczek, które w swych tureckich szarawarach i drewnianych sandałach wyglądały jak niedźwiedzie, wprost denerwowały. Z kwaśną też miną poglądałem na uśmiechniętych austryackich lejtenantów, przechodzących ulicą co chwila, jakbym chciał wykazać im całą mizerność ich okupacyjnej dumy. Marni ludzie!

Nagle wzrok mój natknął się na coś błyszczącego i — doprawdy stanąłem jak wryty: na dużym, czerwono malowanym szyldzie, zawieszonym nad potężnemi drzwiami jakiegoś sklepu czy składu, świecił białemi literami wyraźny napis: *Jan Oleski. Tischler.*

Ożyłem; nie dlatego, bym ujrzał coś szczególnego, ale że w tym po niemiecku (jak wszyscy zresztą w Sarajewie) reklamującym się stolarzu przeczułem rodaka. Kto, jak ja, włóczył się, nie zamieniwszy po polsku ani słowa i kto jak ja rad był w swoim własnym języku choć parę słów przemówić, ten pojmie moją radość.

Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że Polaków w Sarajewie jest dużo i, że na miejscowym Polaku takie swojskie wyczytane na szyldzie nazwisko uczyniłoby wprost przeciwne wrażenie — odstręczając go raczej od właściciela

http://rcin.org.pl

firmy dlatego, że zagranicą więcej jeszcze niż na własnych śmieciach lubimy być sobie wrogami.

Znikło zniechęcenie: postanowiłem udać się do pana Oleskiego i przedstawić mu się jako przyjezdny rodak. Nie wątpiłem, że przyjmie mię z otwartemi rękoma.

Śmiało więc ruszyłem naprzód. W zakładzie stolarskim nie zastałem już nikogo; była godzina szósta popołudniu i robotnicy porozchodzili się widocznie do domów; jakiś tylko malec, lat około dziesięciu mieć mogący, dłubał coś koło warsztatu. Więc łamanym serbskim językiem pytam go:

— Pan Oleski w domu?

Nie odpowiada — widocznie nie zrozumiał.

— Pan Oleski w domu? — pytam głośniej.

Spojrzał bystro i, jakby teraz dopiero odgadując o co chodzi, odpowiedział po serbsku:

— Taty niema. Tata naprzeciwko, w szynku.

— Więc to syn! — pomyślałem.

— Czy rozumiesz po polsku? — pytam.

Wzruszył ramionami.

— Czy tata Polak? — pytam już po serbsku.

— Poljak! — odpowiada.

Ten mały epizod ochłodził mnie cokolwiek. Udałem się jednak wolnym krokiem do znajdującego się naprzeciw szynku i po chwili wcho-

http://rcin.org.pl

dziłem do ciemnej, zadymionej, pełnej wyziewów knajpki.

Z początku nie rozróżniałem nic. Po minucie dopiero ujrzałem pełną, nalaną twarz szynkarza za szynkwasem i trzech siedzących w kącie, przy okrągłym niehcblowanym stole, mężczyzn.

Postałem chwilę niedaleko wejścia — poczem zapytałem głośno po serbsku:

— Który z panów Oleski?

— Ja — odparł jeden z obecnych.

Spojrzałem ciekawie. Nad butelką białego wina siedział mężczyzna lat może czterdziestu pięciu z sumiastym wąsem i szeroką, nie długą brodą, z twarzą poczciwą, prostaczą i — popijając leniwie, wydobywał jednocześnie z kieszeni kapciuch z tytuniem.

— Jestem Polakiem — rzekłem, podchodząc doń bliżej.

Słowa te najmniejszego nie uczyniły na nim wrażenia.

Sądząc, że nie usłyszał, powtórzyłem:

— Jestem Polakiem.

— Ach, to dobrze! — odezwał się od niechcenia po polsku.

Przyznam się, iż uczyniło mi się nieswojo. Powtarzam, że nie miałem pojęcia jeszcze wtedy, iż Polaków w Sarajewie nie brak. Nie wiedząc, co sądzić o nowym znajomym, rzekłem:

http://rcin.org.pl

— Byłem przed chwilą w pańskim zakładzie, ale mi chłopiec powiedział, że pan tu.

— To syn!

Postanowiłem usiąść i napić się czego. Machnąłem już ręką na tę pozornie tyle obiecującą znajomość.

— Wina! — zawołałem, zwracając się do szynkarza, a gdy ten podbiegł z karafeczką, wyciągnąłem kapciuch z tytuniem, by skręcić papieros. Oleski podsunął mi wtedy własny kapciuch.

— Dziękuję! — odrzekłem.

— Ależ proszę, proszę! Swój tytuń będzie pan palił potem!

Znając już tę bośniacką tytuniową uprzejmość, zgodziłem się na propozycyę.

— Dziw, że ja pana wcale dotąd nie widziałem nawet w kościele; a tam przecie dużo Polaków na nabożeństwo przychodzi...

— Nie jestem z Sarajewa — odparłem zdziwiony.

— Jakto, nie z Sarajewa? A skąd, proszę, z Mostaru?

Zdziwiłem się jeszcze bardziej.

— To macie tu Polaków? — spytałem.

— Ha, ha, ha! To pan nie wie o tem? I ilu! Ho, ho, ilu!

— Ale... nie chcę ich znać! — dodał po chwili.

http://rcin.org.pl

Poruszyłem się na te słowa.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Nie chcę! — odparł z zaciętością prostaka. — Oni wszyscy *schufty!* Wolę Bośniaków... Co sarajewskie — to *schufty!* A pan z Mostaru? — ponowił poprzednie zapytanie.

— Nie, panie, nie z Mostaru. Z Polski.

Oleski aż skoczył i, wpatrując się we mnie badawczo, zaczął mrugać oczyma.

— Z Pol...ski? — powtórzył.

— Tak!

Na twarzy jego odbiło się widoczne wzruszenie. Już nie był to ten niedawny, obojętny «bourgeois», flegmatycznie zapijający wino. Chwilę milczał, jakby nad czemś myśląc, aż wreszcie przysiadł się bliżej i przysunął swą karafeczkę do mojej.

— O! mój panie złoty! — przemówił — a z której Polski?

Uśmiechnąłem się na to «z której».

— Z Królestwa — odrzekłem wesoło. — Jestem Królewiakiem!

Odetchnął.

— Ja się tego — odrzekł — zaraz domyśliłem. Pan *musi* być z Królestwa!

— Dlaczego?

— Bo pan *nie może* być z Galicyi!

— Dlaczego? — ponowiłem zapytanie.

— Bo w Sarajewie są Polacy tylko galicyj-

http://rcin.org.pl

scy i tych wnet poznasz. Zawsze tylko «całują oni rączki», «ścielą się do stópek» i są «uniżonymi sługami pana dobrodzieja!...»

Przy tych słowach niechęć zabłysła mu w oczach, a na ustach gorzki uśmiech zaigrał...

— Więc pan koroniarz! — wykrzyknął po chwili. — «Na szczęście! «na zdrowie!» — i trącał raz po raz szklenicą o moją szklankę. — No, no, więc pan koroniarz! więc pan z Królestwa!

— Z Królestwa! — odparłem jak echo.

— A może z Warszawy?

— Z Warszawy.

— Co! nie może być! — wrzasnął, porywając się z ławy. — Z Warszawy? pan z Warszawy? Hej, gospodarzu, wina! Nie bez tego, żeby pan nie przyjął odemnie kropelki... A to dopiero! z Warszawy! No, no, z Warszawy! Mój Boże! mój Boże!

Tu zaczął ponownie, tylko znacznie szybciej niż przedtem mrugać oczyma. Widocznie był wzruszony; sądziłem nawet, że się rozpłacze.

— Mój Boże, z Warszawy! — powtarzał, spoglądając na mnie z niekłamanem rozrzewnieniem. — Z Warszawy!

Poczułem, że ten biedak długo musiał tłumić w sobie coś, co było może tęsknotą ciężką, nieukojoną, trawiącą mu bez wytchnienia serce

http://rcin.org.pl

i duszę. Bo nostalgia jest jak powracająca wciąż fala: zda ci się, iż odpłynęła już na zawsze, a ona przypływa znów, burzliwsza niż kiedykolwiek, silniejsza, bardziej wstrząsająca, i więcej groźna od poprzedniej; bijąc w twe serce, zalewa je bezbrzeżnie smutnym żalem...

Trawiła zapewne i Oleskiego, więc go zapytałem:

— Czy i pan z Warszawy?

— Tam się urodziłem! — odparł — tam wychowałem i tam wreszcie mieszkałem, póki mnie bieda aż tu oto nie zagnała!

I znów zaczął powtarzać:

— Z Warszawy, z Warszawy, z Warszawy!...

Gdy zaś gospodarz przyniósł karafkę świeżego wina, nalał obie szklenice do pełna i zwracając się do mnie, zawołał z porywczą szczerością:

— Takiś mnie pan miły, no, że nie wiem już jak!

Uśmiechnąłem się i trącając głośno szklanką o szklankę, zapytałem:

— To czemuś mnie pan tak chłodno przyjął?

Zasępił się i odrzekł smutno:

— A bo myślałem, że pan sarajewski, lub wogóle bośniacki Polak... Niech się pan nie dziwi — mówił — oni tu są zupełnie inni. Wstyd wyznać! Bośnia to przecież, kraj obcy i daleki, żyćby nam więc z sobą należało, a je-

http://rcin.org.pl

dnak niepodobna... niepodobna! Ile już razy próbowałem i to z różnymi! A taki zawsze zaniechać prób musiałem... Wreszcie wszystko to Galicyany — a któż ze mną pomówi o Królestwie, o Warszawie? kto z nich wspomni moje stare kąty? z kim mam zapłakać nad dolą swoją?.. Ot, dlaczego ja pana chłodno przyjął!

I tyle było prawdy w tej mowie, tyle szczerości w niekrzykliwym wybuchu, tyle skargi prostej, zranionej duszy w niewyszukanych słowach, płynących żalem z ust jego, że mnie to wzruszyło do głębi... A on począł zaraz rozpytywać gorączkowo o kraj, o Warszawę, o rozmaite szczegóły, szczegółki, szczególiki, drobiazgi, drobiażdżki i ułamki drobiażdżków... Wszystko go zajmowało! I zaczęła się stara jak świat, choć wiecznie powtarzająca się historya: wychodzień z kraju ojczystego, cały w słuch zamieniony, z zapartym w sobie oddechem i roziskrzonym wzrokiem pochłaniał czarowne dla siebie, jak sen, opowiadanie o rzeczach tak blizkich, a tak jednak dalekich i słuchał — słuchał — słuchał...

* * *

Kilka dni, które bawiłem w Sarajewie, spędziłem przeważnie z Oleskim. Był moim cicerone. Oprowadzał mnie wszędzie, pokazywał, opowia-

http://rcin.org.pl

dał, co godne widzenia. Był on tu, w dalekiej Bośnii, w tej na pół tureckiej stolicy, jedynym człowiekiem, który pozwolił mi zapomnieć o mojej samotności. Choć prawdziwą czułem dlań za to wdzięczność, on jednak mienił się być jeszcze moim dłużnikiem, przepraszając za brak poloru i prostactwo swoje.

Ostatnim dniem, który miałem spędzić w Sarajewie, była niedziela; mógł mi więc poświęcić ją w zupełności. Już z rana przybiegł do mojego hotelu i zacierając ręce z zadowolenia, wołał głośno z daleka:

— No, wstawaj pan! pogoda, choć buzi dać! Na świecie, jak w raju! Pojedziemy do Ilidże!

Wybraliśmy się tedy do Ilidże, miejsca kąpielowego pod Sarajewem, o pół godziny jazdy koleją. A dzień był w istocie letni, cudowny, jak rajski... Nad polami i hen precz nad górami, rozlał się kojący, ciepły balsam. Najlżejszy podmuch nie rozpraszał go, a mimo to nie czuło się skwaru i nie dopiekało gorąco. Było to pyszne, królewskie, pełne czaru i majestatu lato południa!

W Ilidże — w tym ogrodzie Sarajewa — aż huczało od gwaru, śmiechu, wesołości... Cały świat sarajewski, jak zwykle w święta i w niedziele, świat wielki i mały zjechał tu na odpoczynek i swobodną zabawę.

http://rcin.org.pl

I my więc oddaliśmy się słodkiemu «far niente...» Dzień cały błądziliśmy wokoło, a gdy kula słoneczna schowała się już za horyzontem i na świecie został tylko blask przedwieczorny — ruszyliśmy z powrotem ku kurhausowi. Tam mieliśmy posilić nasze grzeszne ciała i — wrócić do Sarajewa.

Byłem zmęczony i utrudzony; nadmiar wreszcie różnorodnych wrażeń zdenerwował mnie. Nie ukrywałem tego przed Oleskim. Ten zaś pytał mnie żartobliwie o jakość tych wrażeń i nie zdawał się bardzo frasować moim pesymizmem. Miałem dosyć już spacerów i wycieczek w okolicę, więc coraz szybciej podążaliśmy ku kurhausowi, i nie odpoczęliśmy aż na werandzie, przy stoliku czystym obrusem zasłanym. Nieliczna ale dobra orkiestra, opodal w kiosku koncertowym, wygrywała tęskne melodye; karteczka, przylepiona do filarku, ob wieszczała, że dzisiejszy koncert składa się wyłącznie z melodyj słowiańskich... Słuchaliśmy piąte przez dziesiąte, jak zwyczajnie przy jedzeniu. Co do Oleskiego — nie wiem nawet, czy słuchał.

Dziwne jakieś rozgoryczenie, dziwne rozdrażnienie mną owładnęło. Już dawno skończyliśmy nasz skromny posiłek, a ja siedziałem chmurny i na próby Oleskiego rozerwania mnie — nieczuły.

http://rcin.org.pl

Wieczór zdawał się zapadać... Powietrze ochłodziło się, powstał lekki wiatr, mącąc dotychczasową ciszę... Płuca wyczuwały spadającą mgłę czy rosę, zdającą się zapowiadać na jutro pyszną pogodę... Nad nami kwiliło żałośnie przelatujące jakieś spóźnione ptactwo, szukające widocznie noclegu...

Muzyka wciąż grała.

Zły humor mój potrzebował widocznie znaleźć jakieś ujście: niewiele się więc namyślając, zapytałem wprost Oleskiego, dlaczego to wszystko troje swych dzieci wychowuje na Bośniaków, a nie, jakby się tego spodziewać należało, na Polaków?

Oleski, uderzony tem niespodzianem zapytaniem jak obuchem — milczał. Zdawało się, że go coś zadławiło w gardle i nie pozwala wymówić słowa odpowiedzi. Po chwili, przy blasku palących się na stole naszym świec, ujrzałem jak gorąca fala krwi uderzyła mu do skroni i policzków i spłynęła ponsem ku szyi... Rumieniec nie schodził mu z twarzy.

Jakież jednak było moje zdziwienie, gdy po pewnym czasie spostrzegłem w tych szarych oczach dwie grube łzy prawdziwe... Łzy te, spływając powoli po zbladłych nagle policzkach, opadły kroplami na twarde, szczecinowate wąsy... Płakał.

— Jeżeli pan myślisz — rzekłem poryw-

http://rcin.org.pl

czo — żem się pytał o to, by panu przykrość sprawić, to źle pan sądzisz... Pan, panie Oleski, rozumiesz mnie; rozumiesz, że jako rodak, miałem prawo tak zapytać?

Oleski pokiwał smutnie głową. Na jego twarzy malowało się przygnębienie.

— Tak, tak, przyznaję panu racyę i — Bóg zapłać! Widzi pan, nie gniewam się.

Ale potem, jakby na przekór własnym słowom, podniósł się z krzesła i, patrząc mi gniewnie w oczy, prędko mówić zaczął:

— A co pan myśli, że ja o tem nie wiem? że mnie to nie boli, że mi tego nie wstyd? Czy to mnie nigdy w głowie nie postało, iż tak jak jest, nie powinno być? Lecz co ja poczne: co pocznie taki jak ja cham prosty, który od rana do nocy orze tylko, aby żonie i dzieciom miał co do ust włożyć? I czasu niema i sił niema na zajęcie się małemi!

Nikły z ócz jego iskry gniewu jedna po drugiej — i zamiast nich osiadał mu na twarzy wyraz desperacyi. Schylił głowę, ręce rozkrzyżował, a potem je załamał rozpacznie.

— I nie umiem! nie umiem! nie umiem! — wyszeptał z boleścią, z takim smutkiem i upokorzeniem, że szczery żal mi go się zrobiło.

— Jestem nieuk, głupi, nie umiem! — powtarzał co chwila, a twarz mu drgała kurczowo.

http://rcin.org.pl

Czuł jednak widocznie, że to nie wszystko, bo zaraz dodał:

— Jeden, jeden błąd, jeden grzech popełniłem: z Serbką się ożeniłem! A jaka matka — takie i dzieci! Z piersi jej ssały cudzy język, cudzy obyczaj, cudze pojęcia — i wyrosły na cudze! A ja co? Własne dziecko nie może mnie w moim języku zrozumieć! I cóż, że pieściłem, że lulałem, że kołysałem? Cóż, że śpiewałem im i mówiłem do nich po polsku? Nie ojciec, ale matka z dziećmi! A wszędzie, gdzie się obrócisz — Bośniak; wszędzie, gdzie stąpisz — Bośnia; ot i wyrastają na Bośniaków! A ja co, co, co?...

Wziął głowę w ręce i zamyślił się ponuro. Nie śmiałem odezwać się: przeklinałem niewczesny mój zarzut — było mi bardzo przykro.

Wieczór już zapadł zupełny. W kiosku tylko co skonał ostatni akord smętnej bułgarskiej pieśni, rozpłynąwszy się gdzieś w przestworzu jękiem jakimś jakby, lub łkaniem. Spojrzałem na Oleskiego. Siedział wciąż pochylony, z zwisłą na czoło czupryną, zadumany boleśnie. Milczałem.

Lecz on po chwili wstał. Otrząsnął włosy z czoła, wyprostował się. Z twarzy jego znikł wyraz cierpienia, oczy rozjaśniły się ogniem radości.

http://rcin.org.pl

— Wiem, co zrobię! — wykrzyknął. — W pocie czoła dzień i noc pracować będę bez wytchnienia, aby tylko choć trochę uzbierać... Wrócę, wrócę do kraju mego rodzonego i wrócą moje dzieci... Prawda, panie?

Przechylił się ku mnie i wyciągnąwszy rękę, począł ściskać dłoń moją z uniesieniem. Roziskrzonym wzrokiem patrzał na mnie z natężeniem, jakby czekając odpowiedzi.

Nagle drgnąłem. W kiosku wyrwał się ze wszystkich instrumentów i rozbrzmiał dokoła echem dzielny, zuchwały, orłom podobny mazur. Dźwięki jego drżą rytmem niewysłowionego, nieokiełznanego animuszu, coś czarodziejsko-tytanicznego spływa wraz z nim i szybuje z mocą w nieobjęte przestworza... Hej, hej, dzika to i junacka melodya, burza w niej dyszy i otchłań zawrotna się roztacza, a serce tak drży i bije... Pieśni, pieśni rodzinna, tak droga i ukochana! Hej, w piekło przy tej muzyce iść!

Utkwiłem wzrok w Oleskim. Był blady, bardzo blady. Usta zacisnął, twarz skurczył. Przez łzy jednak, zawisłe na rzęsach, przeświecało z oczu jego szczęście... I on słyszał, słyszał!

Wchłanialiśmy chciwie te dźwięki. Jeszcze chwil parę, jeszcze jedna, a umilkną... Wreszcie umilkły.

http://rcin.org.pl

— Drogi panie — wyrzekłem, potrząsając dłonią Oleskiego z całej mocy — drogi panie, niech to, co usłyszeliśmy, będzie panu odpowiedzią — i wróżbą szczęsną!

Nazajutrz o świcie ruszałem już z Sarajewa w dalszą drogę...

Warszawa. 1898 r.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

POTĘPIENIEC

Historya prawdziwa

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I.

W K*_* były baraki budującego się dystansu części drogi żelaznej syberyjskiej. Na nasypie kolejowym, w pośród stert ziemi, kamieni, szyn, podkładów, taczek i narzędzi, wśród gęstych przekleństw i wymysłów, co chwila wszędzie i od wszystkich padających, pracowali ludzie...

Jasne, oślepiające słońce prażyło nielitościwie, rozlewając szeroko po świecie zuchwałe swe promienie. Suche powietrze przenikało z trudem w płuca i wywoływało tam uczucie jakiejś duszności niezwyczajnej. Z czół, z obnażonych rąk, karków i piersi, spływał gęsty pot, oczy z umęczeniem wpatrywały się przed siebie... Ciężka, znojna praca była udziałem tych robotników.

Było między nimi wielu zbrodniarzy-katorżników z Sachalinu, używanych do sypania plantu i układania szyn, ponurych i dzikich, z twarzami wyniszczonemi i groźnemi, chudych, znędzniałych, prawie strasznych. Pchali taczki przed sie-

http://rcin.org.pl

bie, napełniając je raz wraz ziemią i wysypując ją pospiesznie, ruszali do kopanych wspólnie dołów po świeżą. Czasami powstawał gwar, podobny do pomruku głucho idącej fali, tam rozległo się zwierzęce przekleństwo, ówdzie śmiech zabrzmiał nieszczery, wyjący... Dozorcy zaś biegali, wymyślając od próżniaków i nicponiów, uszy jednak były już do tych krzyków nawykłe: nie czyniły wrażenia.

Od czasu do czasu przemknęła postać prowadzącego roboty inżyniera, tam stała gromadka techników i naradzała się nad czemś wrzaskliwie, gdzieindziej rozlegały się krótkie, jak komenda, głosy majstrów. A mrowie ruszało się, pracując.

Lecz nagle zakotłowało się coś przy nasypie. Pchający taczki poczęli się kupić, a ci co kopali pobiegli zobaczyć, co się stało. Wnet zebrała się gromada duża, która obstąpiwszy owo miejsce, wpatrywała się weń uważnie — szemrząc, krzycząc, nawołując...

Ale rozpędził ich bat. Po chwili zagrzmiał groźny głos:

— Kto tam do stu tysięcy dyabłów znowu się położył?

»Kładli« się czasami katorżnicy, symulując chorobę, by nie kopać i nie wozić ziemi.

Ten obecnie jednak, który się »położył«, zachorował naprawdę. Leżał unurzany w ziemi,

http://rcin.org.pl

bijąc nogami o jej grudy, na twarzy obok żółtości złowrogiej miał sine pręgi, a całym nim wstrząsały nagłe, co chwila powstające spazmy nudności...

— Na nosze i do baraku! — zakomenderował dozorca, kułakując kilku nie zbiegłych w porę gapiów.

Porwano go. Rzucili, niby piłkę, przykryli płachtą, choć było gorąco, i pobiegli, jakby z psem nieżywym...

A ów leżał cichy i spokojny, targany tylko od czasu do czasu kurczem żołądka, pełen śliny w ustach, z oczyma wytrzeszczonemi i w niebo wpatrzonemi, z zmierzwioną, na dół owisłą czupryną...

Patrzał i zdawał się nic nie widzieć.

Wrzucili go do baraku. Tam litościwa dusza jakaś zajęła się nim dość spiesznie, łeb rozcierać mu zaczęła, odwaru jakiegoś lejąc w gębę obficie. Potem okutała go w zimowniki baranie, by się wypocił, i ułożyła na kupie gałganów...

Katorżnik jęczał z cicha.

II.

Z pośród wszystkich zbrodniarzy, którzy pracowali w K*_** przy nasypie kolejowym, żaden nie wydawał się tak dziwnym, tak pomimo je-

http://rcin.org.pl

dnakich na pozór z innymi cech i właściwości odmiennym, jak Hryńko, ten mały, suchy Hryńko, którego katorżnicy między sobą stale nazywali »kotem«, a który właśnie równie niefortunnie wtedy zesłabł, że aż go do baraku nieść było potrzeba.

Hryńko był to chłop poleski, nieduży, wątło zbudowany, prawie niesilny. Była w nim jakaś zapamiętałość jednak i upór bezgraniczny, gdy szło o spełnienie jakiejkolwiek roboty, którą większość bez widoczego wysiłku wykonywała, a on, choć mu to ciężko przychodziło, wypełnić chciał przez ambicyę.

Wszyscy o Hryńku wiedzieli to tylko, co sam o sobie powiadał. Zwał się Hryńkiem Pawluczakiem, pochodził z Polesia, większą część młodości spędził jednak w guberniach środkowych Cesarstwa. Ostatnio przebywał w Moskwie, gdzie, jak i wszędzie zresztą, najmował się do robót stolarskich. Za morderstwo zaś jakieś, z znęcaniem się podobno połączone, skazany został na Sachalin.

To były wszystkie wiadomości, więcej po za tem nic. Ale bo też mruk to był niesłychany, mruk! Po za monosylabami, które z konieczności wydawał, słowa od niego nad miarę dopytać się nigdy nie można było. Podczas gdy inni, poczęści ze swą dolą pogodzeni, poczęści patrzący na nią, jak na coś nieuniknionego, cza-

http://rcin.org.pl

sami, w weselszych dla siebie chwilach, oddawali się grze w kości, pogawędce, lub wreszcie pijaństwu, on zawsze był niewzruszonym i ponurym, jakby go kto ze spiżu ulał...

Chamska twarda dusza!

Większość z partyi dawała się określić tak: dzikie lub posępne twarze, wejrzenia złe, albo nienawistne, zachowanie pod przykrywką strachu złowróżbne. Byli oni wszyscy pod tym względem nadzwyczaj do siebie podobni, prawie jednakowi i tylko Hryńko jeden chyba, co uderzał odrębnością w każdym calu.

Taka dziwna chamska dusza!

W partyi było bożyszcze, bo wszędzie bożyszcze być musi. A był niem Herszek, wysoki polski Żyd, jak tyczka chudy, o brodzie kłaczastej i rudej, barczysty, żylasty. Strasznej to był siły człek i ogromnie niesforny. Przepadała jednak za nim i bała go się cała partya, bo imponował jej niemało: czy mocą się popisać, czy żebro komu zgruchotać, czy pobić do bezwładności, lub chwycić tak i ścisnąć, że chwycony aż zieleniał z bólu, a oczy, niby obłąkanemu, na wierzch mu wychodziły — jedynym był do tego Hersz! Miano też przed nim respekt niesłychany i jednano sobie jego przyjaźń na wszelkie możliwe sposoby. Hersz przyjmował to, jak coś zupełnie sobie należnego i naturalnego, chętnie też od czasu do czasu dla utrzymania swej

http://rcin.org.pl

dziwnej popularności i nie osłabiania owego okrutnego uroku gruchotał kości i żebra... Dumnym był z swego prawa silniejszego.

Ten Żyd oto upatrzył sobie coś do Hryńka i spokoju mu nie dawał, a wiadomo było, że gorze temu, kogo Hersz sobie w pamięci zanotował! Często groził, że to »ścierwo milczące, przeklęte« gdzieś przy drodze zatłucze. Hryńko wiedział o tem, ale nie mówił nic — jak zwykle. Może myślał: raz maty rodyła!, a może nie zwracał zbytniej uwagi na te pogróżki, dość, że czekał spokojnie, prawie cierpliwie...

Żyd, który zwady szukał już dawno, znalazł ją nareszcie. Sposobność nastręczyła mu niegodziwa jego przed dozorcą denuncyacya, jakoby kradzież, której on sam się dopuścił, spełnił Hryńko. Sprawa ostatecznie się wyjaśniła, dotkliwej kary jednak, spadłej nań początkowo, nie uniknął Pawluczak. Więc gdy wobec towarzyszów wyrzucał Żydowi nikczemne jego postąpienie, Hersz, niewiele się namyślając, z dzikiem zadowoleniem zbira schwycił go za gardło i zaczął dusić. Lecz nagle szybkim nerwowym ruchem odstąpił od poleszuka, puszczając go wolno. Niektórzy, co na to patrzyli, zwrócili ku niemu pytające swe spojrzenia, a kilku splunęło przez zęby z pogardą:

— Durna sobaka Hersz!

Lecz i Hersz splunął. Z twarzy jego nie

http://rcin.org.pl

schodził wyraz prostaczego jakiegoś zdumienia, w oczach miał jakby oszołomienie... Oddalił się prędko, zda się pełen wstydu przed patrzącymi na niego towarzyszami, pod nosem zaś klął i mamrotał cicho. Wkrótce rozeszli się wszyscy, a głośne przekleństwa, rzucane obficie, znamionowały silne niezadowolenie z nieudania się widowiska.

Wieczorem już, przy kładzeniu się na spoczynek, towarzysze z najbliższych tapczanów, popijając ukrytą wódkę i zaciągając się obrzydliwą machorką, pytali ciekawie Hersza, coby go też do tak niesłychanej dotąd u niego względności, jaką niecierpianemu przez siebie Hryńkowi okazał, skłoniło? Żyd zaś, wychylając haust wódki i trzaskając pustą butelką o ziemię, odpowiedział z przekonaniem:

— Nie wiem. U niego w oczach czorta waszego, czy co ja zobaczyłem, złe takie, nieczystą siłę, że niech go pioruny!

— Hospody pomyłuj! — mruknęło kilku, żegnając się na wszelki wypadek pobożnie i poglądając z niedowierzaniem na Hersza.

— Tak! Ja tam w »wasze« nie wierzę, ale mnie się niedobrze zrobiło... Powiadam wam — nieczystego coś!

— Hospody pomyłuj! — powtórzyli. — Do czorta z nim i z tobą!

http://rcin.org.pl

III.

A oczy miał Hryńko w istocie dyabelskie, dyabelskie w rozumieniu prostaków: palące, przenikliwe i tak głębokie, że oczów tych prędko zapomnieć nie można było.

»Kot« to był, »kot«!

Zdarzyło się, że jednemu z panów kontrolerów wydziałowych przyszła ochota badać Hryńka, badać jednak tak, by Hryńko o tem nie wiedział. I ostatecznie doszedł ten pan do wniosku, że najcharakterystyczniejszą cechą poleszuka jest jego ciężka do zrozumienia uczciwość.

— Bo uczciwość w zbrodniarzu, nie wzruszajcie ramionami — mówił do kolegów kontroler — to fenomen!

I rzeczywiście. Najwięcej zakamieniali z nich nawet, rzadko kiedy w stosunkach koleżeńskich między sobą do pewnego stopnia nie drażliwi, po za obrębem tych stosunków jednak nie liczą się z głosem sumienia nigdy. Hryńko zaś inaczej: był czystym.

Nieraz podstępami i zasadzką, zaciekawiony tą dziwną osobistością, starał się pan kontroler przekonać o jego uczciwości i Hryńko zawsze wychodził z tej próby zwycięzko. I dlatego pan kontroler, który był człowiekiem niedawno na Syberyę przybyłym i przytem młodym, więc cokolwiek uczuciowym i trochę nawet idealistą,

http://rcin.org.pl

często w długie, głuche, śmiertelnie nudne noce syberyjskie, trapiony bezsennością przeklętą, przemyśliwał nad Hryńkiem. Przypuszczał, że to może tylko jakaś dusza zbłąkana, pogrążona w otchłań bezmiernej nędzy ludzkiej i straszliwych cierpień moralnych za jedną chwilę szału, że to może jedna z tych istot, które nie będąc zepsutemi zupełnie, upadają chwilowo, by potem całe życie w okropnych mękach odpokutować. I zdawało mu się to szczególniej wtedy, gdy przechodząc koło partyi zajętych robotą skazańców, widział nieraz, jak oczy Hryńka spoczywały przelotnie na nim i jak w tych oczach obok zwykłej przenikliwości można było czytać coś dziecięco jasnego, niewinnego, prawie przezroczego, często zmęczonego i omdlałego...

Ale to było złudzenie. Pan kontroler, zaciekawiony na seryo, począł rozpytywać tych, co mu informacyi dokładnych udzielić mogli. A wiadomości były jak najgorsze. Według tego prędzej za zwierzę podłe i plugawe poczytywać Pawluczaka można było, niżeli za człowieka. W sądzie nawet podobno stawał zimny i obojętny na wszystko. Ofiarę jego znaleziono z roz płataną siekierą głową, unurzaną we krwi... Mściwy był.

Tak więc kontroler-idealista odwrócił się ze wzgardą od bestyi ludzkiej, która na litość żadną nie zasługiwała. Potem powoli zapomniał cał-

http://rcin.org.pl

kiem o dziwnym katorżniku. Zresztą niezadługo przeniesiono go gdzieś indziej i znikł z horyzontu K*⁎*.

Wkrótce roboty posunęły się dalej i Hryńko wraz z resztą powędrował również. I tak wlókł się z etapu na etap, z nasypów już gotowych do powstać dopiero mających i cierpiąc za winy, ciągnął swą taczkę wiecznie jednakowo, wiecznie bez słowa skargi i rozpaczy, ale też zawsze martwy jak kamień, z twarzą nieruchomą i zastygłą, zimny, sztywny, niewzruszony, skamieniały w tem co go pożerało i wyczerpywało, zbrodniarz pospolity!

IV.

Tak doszły roboty do L*⁎*. W L*⁎* spodziewano się zastać więcej urzędników, bo tu był główny magazyn i główne składy, przytem tu płynęła rzeka, przez którą należało przerzucać most.

Zaroiło się też w L*⁎* od inżynierów, wszelakiego rodzaju techników, majstrów, buchalterów, rzemieślników i robotników, gdyż prowadzono robotę ciężką nadzwyczaj i żmudną: zakładano kesony.

Był między inżynierami człowiek młody, wesoły, rzutki, szaławiła i jak to mówią »niezły

http://rcin.org.pl

chłopiec«, który tylko co do L*** przyjechał, z Moskwy podobno, i już narzekał na »pogańskie bezludzie«, gdzie go los przypędził. A nie był przecież jeszcze najnieszczęśliwszym, bo razem z nim przyjechała kobieta wcale niestara, lat może trzydziestu, duża, czarnowłosa, ognista, która wnet po przyjeździe swoim stała się ogólnym przedmiotem rozmów L-ej kolonii, wzbudzając swem pojawieniem się całą moc opowiadań, anegdot i komentarzy do tychże.

Pani ta, wraz z przyjacielem swym, który choć dwuznacznie dawał do zrozumienia, że jest jej »mężem«, w rzeczywistości jednak żonaty z nią był tylko »po sybirsku«, mieszkała w oddalonej części osady, w domku, urządzonym niezgorzej.

Pan chodził na roboty — wiercił, »kręcił«, dyrygował plutonami całymi katorżników, pracując przy zakładaniu mostu. »Pani« siadywała w domu, klnąc po cichu jednostajność i monotonię, żałując w duchu, że na ten przyjazd kochankowi namówić się dała. Łagodziły ją tylko spojrzenia jego czarnych oczu, któremi, gdy wracał, obsypywał ją czule w zamian za bohaterskość jej poświęcenia, no, i sute a częste upominki, dziwnie szczodrze jej ofiarowywane...

Tonęli często w objęciach... Pan uskarżał się czasami pocichu, że »pani« go za drogo kosztuje, nie ośmielił się jednak nigdy wprost jej

http://rcin.org.pl

tego wyznać, bo trudno się było łudzić co do skutku takiej szczerości: straciłby ją odrazu i na zawsze.

Poznali się wypadkiem w Moskwie, przez którą on na Syberyę przejeżdżał. Prędko ocenił wartość jej, jako »wolnej towarzyszki« i ujęła go zarazem niezrównaną swą umiejętnością całowania. Miała przytem cudowny biust i takie biodra, przy których biodra Venus milońskiej nawet wydały mu się płaskiemi deskami. Olśniły go też prześliczna cera jej twarzy, płomienne, koloru morza oczy i do doskonałości wprost doprowadzone mistrzostwo w miłości. Poznali się, więc przyjechała z nim, nie mając chwilowo kochanka. Była kobietą z gminu, słuchy krążyły o niej nie najmoralniejsze. Ongi nawet posiadała podobno męża, lecz mąż przeniósł się jakoś do wieczności, ona natomiast od tej chwili mogła zmieniać kochanków, jak rękawiczki — i zmieniała.

Pan inżynier był ostatnim, ale tylko czasowo. Szeptano sobie do ucha, że »żona« zbyt długo przy »skarbie« swym nie wytrzyma. Czy było to prawdą, tego nawet najdowcipniejszy i najdomyślniejszy człowiek w L**, podtatusiały, ale żwawy jeszcze doktór W., stanowczo orzec nie mógł. Wyszydzano tylko trochę młodego inżyniera, że całą pensyę swoją gotów na tę damę serca tracić, poczęści zazdroszczono mu

http://rcin.org.pl

(i to bardzo nawet, bo w L*** kobiet »przyzwoitych« wcale prawie nie było), poczęści oczekiwano z tajoną ciekawością zakończenia romansu. Główny bohater jednak nie troszczył się zupełnie przycinkami i dwuznacznikami znajomych, z gorliwością, godną najwyższego uznania, był pod tym względem najprzykładniejszym stoikiem. Drwił w myśli z tych wszystkich, którzy z musu uprawiali cnotę, prowadząc żywot statecznych kawalerów, wszystkie zaś wolne chwile obracał na zawsze zajmujące, a tu szczególnie rozkoszną podziwianie »mistrzostwa w miłości« swej kochanki.

Pewnego razu w stronę domku inżynierskiego szedł Hryńko. Pora była obiadowa, wypoczynkowa, ale jemu jeszcze nie dozwolono spocząć. Twarz żółtą zwiesił, brodę opuścił aż na koszulę, a ponure oczy jakby wgwoździł w ziemię. Szedł spiesznie, bo za domem inżynierskim znajdował się magazyn, z którego kazano mu przynieść kilka olbrzymich haków.

Przeszedł koło domu, nie spostrzegłszy przy nim nikogo. Pani »inżynierowej« Hryńko nie widział nigdy, a zresztą cóż mogła go ona i oni wszyscy obchodzić? Wiedział tylko, jak wszyscy ostatecznie o tem w L*** wiedzieli, że pan inżynier ma »kobietę«, że z nią żyje, i że ta kobieta, nie będąc jego żoną, zażywa opinii bar-

http://rcin.org.pl

dzo »wesołej« niewiasty. Po chwili zniknął na zakręcie.

Wkrótce potem z domu inżynierskiego wyszło dwoje ludzi. Byli to młody pan inżynier i *ona*. Usiedli na ławce. Pan obcierał jeszcze chustką usta po zjedzonym niedawno obiedzie i leniwym ruchem drugiej ręki sięgał do bocznej kieszeni marynarki po papierosy. Przeciągnął się wygodnie, zapalił cygaretkę i począł puszczać kółka błękitnawego dymu... Trawił.

— Nudzę się — ziewnęła pani. — Jakiż to kąt dziki!

Przycisnęła ręką swój czarujący biust i utkwiła znudzone wielkie oczy w niebo.

— I ja, Matreno. Niech wszyscy dyabli porwą ten projekt przyjazdu tutaj!

— Widzisz, mówiłam ci już w Moskwie, że lepiej było wziąć miejsce w okolicy ludnej i nie na Syberyi!

Ziewnęła znowu przeciągle i przycisnęła silniej rękę do falujących lekko piersi.

— W okolicy ludnej i nie na Syberyi nie potrzebowałbym ciebie — mruknął do siebie inżynier. — Na to bezludzie i kobiety sprowadzać potrzeba! — dodał w duszy, jakby z zniechęceniem.

— Czy mówisz co? — zagadnęła pani.

— Ach, nie! — odrzekł zły nieco. — Myślę tylko, że mogłabyś mnie popieścić trochę? Tak

http://rcin.org.pl

się czuję pełnym po tym obiedzie... Dziwnie chłodną jesteś!

Matrena zarumieniła się. Pan jej się gniewał. Źle spełniała swe obowiązki.

— Nie chmurz się — przemówiła, przysuwając się do niego i biorąc go za ręce — nie chmurz się... Ja cię kocham, ty wiesz przecież, że ja cię kocham...

Przysunęła się jeszcze bliżej.

— O tak, tak — ciągnęła, zarzucając mu jego ręce na swą szyję i przyciskając swą pierś do jego piersi — o, tak — mówiła, obejmując jego szyję swemi rękoma — tak — szepnęła, całując jego usta swemi ustami...

Rozchmurzył się i rozruszał. Przygarnął ją silnie ku sobie i poczęli całować się, śmiejąc. Lecz w myśli analizowała Matrena przelotnie kochanka i ironiczny grymas przeleciał jej po wargach. O, przejadł jej się już cokolwiek ten gorący inżynierek, a jednak musiała dbać o niego chwilowo i śmiać się, gdy tego zażądał... Gdyby tak w Moskwie!

Przez myśl jej przemknęła wesoła, wielka Moskwa, gdzie tak beztroskliwie i przyjemnie żyć można... Westchnęła. W Moskwie miałaby już dziesięciu innych!

Na zakręcie pojawił się znów Hryńko, wracający z magazynu. Szedł cichy i obojętny, do automatu poruszającego się podobny. Z kieszeni

http://rcin.org.pl

wyglądały mu wsunięte tam haki. Kurta, obciążona nadmiernym ich ciężarem, wyciągnęła się z jednej strony, zwisając fałdami. Nie zważał na to.

Spieszył się, bo w myśli widział ciągle srogą twarz dozorcy, który nie lubił być wyrozumiałym. Wiedział dobrze, jak niebezpiecznem jest wywołanie jego gniewu i narażanie się z byle jakiego powodu. Spieszyć się więc było warto.

Lecz nagle spojrzał w stronę, uderzony wesołym jakimś śmiechem. To pan inżynier pieścił «żonę», a ona, wsparta o jego piersi, tuliła się do niego w poufałej i rozmarzającej pozie. Twarzą łasiła się o jego twarz, dużą i pełną, lecz dość białą ręką przygładzała mu rozwichrzoną nieco czuprynę, cudny zaś jej biust atakował nie bez powodzenia prawe ramię mężczyzny... Było im dobrze.

Hryńko drgnął, usłyszawszy ten śmiech. Potem nadstawił uszu: śmiech zabrzmiał znowu.

Stanął, jak oszołomiony, jak zahypnotyzowany, jakby zmartwiały. Zdało się, że w słuch się cały konwulsyjny zamienił...

Gdzie on słyszał już, gdzie słyszał ten śmiech? Kto śmiał się w ten właśnie sposób???

Wpatrzył się z niezmiernem natężeniem w siedzących. Nie zdawali się go postrzegać. Nagle drgnął po raz wtóry gwałtownie i tak już został bez ruchu.

http://rcin.org.pl

Stał, wlepiwszy oczy w kobietę, jakby coś nieczłowieczego zobaczył. Wargi odchylił, nozdrza rozdął, piersią zaczął robić gwałtownie. Potem po twarzy jęły mu przelatywać kurcze, a ciało zaczęło dygotać... Wzrok stopniowo z ogłupiałego, osłupiałego, przeszedł w jarzący, aż zamigotał wściekłością. Chwilę stał tak jeszcze, patrząc na całującego ją inżyniera i na nią, niedbale w jego objęciu rozpartą, śmiejącą się, od czasu do czasu jakby dla zadowolenia mężczyzny oddającą mu pocałunek...

Lecz nagle wyprężył się, aż mu stawy w kościach zatrzeszczały, a potem zaraz zgiął, jak zwierz do skoku się szykujący i wydawszy dziki, straszny okrzyk, rzucił się ku siedzącym.

A oni teraz dopiero go spostrzegli i jakby zmartwieli. Kobieta chwilę wpatrywała się z natężeniem w biegnącego i wreszcie poznawszy go widocznie, krzyknęła przerażona. Rękoma wpiła się konwulsyjnie w ręce siedzącego przy niej mężczyzny, jakby szukając u niego ratunku, czy oparcia. Lecz ten, widząc rozszalałego i złowrogo biegnącego ku nim katorżnika, zadrżał i począł wyrywać swe ręce z jej rąk. Potem, gdy ona go nie puszczała, zaczął się z nią szamotać i wreszcie, przerażony zbliżającem się niebezpieczeństwem, równocześnie z jej rozpaczliwym okrzykiem: broń mnie, nie opuszczaj! uwolnił się z jej spazmatycznego uścisku i bły-

http://rcin.org.pl

skawicznym ruchem kota znikł w wnętrzu domu, barykadując się tam pospiesznie.

Została więc tylko ona. Przerażająco zmieniła się twarz jej, przed chwilą tak niedbała i swobodna. Na policzkach osiadła jej trupia bladość, w wzroku zaś, który wprost wpiła w napastnika, obok nieopisanego strachu, odbiło się zdumienie bezmierne...

A Hryńko stał już przy niej i wpatrywał się w nią przez chwilę upiorowo. Potem zdjął czapkę z głowy i bijąc pokłon do ziemi, zapytał ochrypłym głosem:

— A szczo, czy to ty, Matrena, czy nie?

Lecz nie doczekawszy się odpowiedzi, spytał po raz wtóry:

— A ten panicz młody — kochanek twój najdroższy?

Zaśmiał się, ale tak jakoś strasznie, że siedząca kobieta aż zadygotała. Nie mówiła nic, nie mogła wymówić nic, zmagnetyzowana od chwili spostrzeżenia go, widokiem tego człowieka.

Hryńkowi zaś, temu katorżnikowi wyklętemu, w miarę jak patrzał na ową kobietę, która zdawała się teraz z przerażenia obumarłą, powstawało w głowie, jak żywe, jak rozszalałe, wszystko to, co stało się kiedyś dawno, dawno, co już uważał za zmarłe i pogrzebione na wieki, a co teraz przychodziło znowu, jakby

http://rcin.org.pl

echo wspomnień, ale już inne, nowe, ohydne swą nieoczekiwaną bezczelnością, w odmiennem, całkiem odmiennem oświetleniu przeszłość obecnie malujące.

Och, jakże piekielną, jak potworną przedstawiła mu się rzeczywistość!

. . . . . .

Gdy Hryńko Pawluczak, młodym chłopcem będąc, opuścił dom rodzicielski, by szukać szczęścia poza granicami głuchej poleskiej Newadówki, potrzebą zarobku gnany, powędrował w świat. Wtedy zaczął swoją włóczęgę. Bywał w Kijowie, w Woroneżu, w Saratowie, w Niżnim i w Petersburgu nawet, najmując się wszędzie do robót stolarskich, z któremi był obeznany. Wreszcie nastręczyła mu się sposobność udania się do Moskwy, z której skwapliwie pospieszył skorzystać. Znalazł zajęcie bardzo dobre, roboty miał dosyć, a z biegiem czasu zaczął nawet robić oszczędności. Coraz częściej, składając w sienniku uzbierane na czarną godzinę pieniądze, myślał o powrocie do rodzinnych stron, do umiłowanej Newadówki, o której oddawna marzył już i do której wzdychał...

Ot, poprostu kuczyło mu się.

Bo ni po swojemu się uśmiać, ni zabawić po swojemu i rozweselić... W duszy jego rodziło się coraz większe pragnienie powrotu, a to nurtujące co chwila potężniej uczucie tęsknoty

http://rcin.org.pl

mamiło go i rozgorączkowywało. Wtedy widział Newadówkę, jak na dłoni. Na tle ogólnych błot i trzęsawisk, jak kępa między niemi w pośród boru dzikiego rozłożyła się i przytuliła ta Newadówka... Chat było nie wiele, mieszkańców też nie wiele, ale za to wszystko było tam takie rodzone i kochane, takie swojskie, dobre, przylepne, że nawet łby kołtuniaste większości w wspomnieniach nie raziły. Ot, w Moskwie było wszystko ogromne, bogatsze i wspanialsze, ba, nawet podobieństwa żadnego upatrywać nie można było, a jednak gdzie się jej z Newadówką równać! Hej, Boże miły, sokół jasny ona, zorza poranna lśniąca, słońce gorące świecące... Hej! Światło ona jedyne, Newadówka!

Życie tułacze z dnia na dzień obrzydło mu. Tęsknił.

Ale nie czas jeszcze niestety było wracać. Zapasy w sienniku okazały się za drobne, by o powrocie, i to owocnym, myśleć. Wszakżeć za to, co jest, ani piędzi ziemi w Newadówce nie odkupisz, a zaledwie kilkanaście balów na chałupę porządną nabędziesz! Trzeba okazać się cierpliwym i w czynach swych trzeźwym być... Jeszcze nie teraz...

Rzekł to sobie i przyjął miejsce u stolarza Morozowa, dawny majster bowiem umarł, a wdowa, kobieta już wiekowa, «interes» zwijała. Miejsce okazało się na szczęście niezgorszem,

http://rcin.org.pl

dobrze stosunkowo płatnem, roboty tylko było dużo, ale tej Hryńko nigdy się nie lękał i choć nie Herkules żaden, podołał przecież zawsze wszystkiemu.

Morozow, jak wielu, miał żonę. Była to kobieta młoda, lat dwudziestu najwyżej — zdrowa, silnie zbudowana, czarnowłosa... Białe, lekko śmietankowe ciało miała, figurę krągłą, a wszystko w sobie, jak utoczone. W stanikach, które nosiła, piersi jej wybujałe uwydatniały się obficie, biodra pod spódnicą się krągliły... Ładna, rozkwitła, bujna była, — «sławna» była.

A ona wiedziała o tem i jakby tem igrała. Lecz Hryńko nie patrzał na nią, gdyż nie miał zwyczaju spozierać na cudze żony z upodobaniem. Pilnował roboty i Morozowa, gospodynię omijając...

Nieraz, gdy heblował coś, albo obrównywał, wypadała z kuchni z rękawami do łokcia zakasanymi, przeźroczną szyję, obnażoną z powodu buchającego od pieca gorąca, wyginając, i mówiła coś do męża... Wtedy czasami jej oczy zielone, które nie wiadomo czemu mieniły się jak fala wodna, patrzały na Hryńka krótko, przelotnie... Spojrzał: drgały, błyskały niecierpliwością, rozdrażnione, wyzywające. Ale po chwili gasły. Spojrzał znowu: Morozowowej już nie było.

Wtedy często zadumany, nie zdający sobie z tego sprawy, wzruszony, pytał sam siebie

http://rcin.org.pl

coby to znaczyć miało, ale skąd i jaka mogła być odpowiedź? Spluwał w ręce i brał się do roboty z energią podwójną.

Głupia baba, Matrena!

A Morozow nie był bardzo z nią, Matreną, szczęśliwy. Przedewszystkiem był starszym od niej, daleko starszym i poważnym, człekiem surowym, statecznym. Czasami przy wieczerzy wyszczerzała Matrena białe swe równe zęby i odsłaniając w uśmiechu malinowe usta, chichotała nieszczerze, szydząc z spokoju i powagi męża. Wtedy często oczy jej się zwężały, nabierając jakby barwy stali, w wzroku pod uśmiechem kryła się złość, prawdę mówiąc — nienawiść. I gdy, bywało, pół-siedząc, jakby zwisając nieco omdlale, z podaną naprzód twarzą, falując lekko i drgając, poglądała na nich dziwna i nie taka, jak zwykle, wybuchając przytem śmiechem cichym, ale do odgłosów burzy podobnym, urywanym, — wtedy zdawało się, że ją jakaś wesołość bezprzyczynowa ogarnia... Ale nie. Patrzała jeszcze na nich, ot, rzekłbyś, że na duszy jej swobodnie, a nagle uderzała Morozowa niby żartem, lecz ze złością i wołała:

— Durnyż ty, Iwan, durny! Ej, stary! W kącieby już tobie przy piecu leżeć, pacierze klepać, Hospoda Boha o śmierć lekką prosić!

To było żartem, ale w tym żarcie czuć było jakąś dziką prawdę, jakieś bezbrzeżnie szczere

http://rcin.org.pl

życzenie, by żart-życzenie spełnić się zechciało, odrazę jakąś zresztą, żal i wybuchającą żywiołowo nienawiść do tego starego sensata-chłopa, który dla kobiety młodej i ognistej tylko obrzydliwym być mógł!

Hryńko tego dobrze nie odgadywał, lecz dusza jego drżała w takich chwilach, jakby coś niejasnego wyczuwała.

Polubił Morozowa i dlatego żal mu było majstra, określić jednak tego żalu jasno i wyraźnie nie umiał.

Czasami, później szczególniej, w kilka miesięcy już po objęciu miejsca u Morozowa, gdy często nieraz natykała się Matrena wypadkowo na niego, patrząc mu w twarz tak niezwyczajnie jakoś, jakby właśnie coś dla niego w oczach swoich miała, — na pozór zimny, w duszy jednak wzburzony i rozdrażniony, mawiał do siebie:

— Ot, głupi człowiek Morozow! Jemu się to żenić było i żonkę młodą brać? Kobieta ogień, kobieta żar, kobieta płomień... W niej krutytsia w niej wertytsia, w niej Bih znajet szczo! Krew jej na ciało bije, całe ciało zalewa! W niej siła jakaś nieszczera, siła wielka, może sam czort siedzi? Jemu, temu staremu, tolko łycho z toho!

Wtedy często stawało mu się markotno. Z jednej strony żal mu było Morozowa, tej durnej starej szczapy, dziada głupiego, któremu

http://rcin.org.pl

w pięćdziesiątce zabawy i rozkoszy z młodą żoną się zachciało, — z drugiej zaś coraz uporczywiej poczęły mu przychodzić na myśl wszystkie «jej» dziwne spojrzenia, przelotne ruchy, nic nieznaczące, a jednak wielce znamienne zdania, które czasami wypowiadała, słowem wszystko to, co jest niby prostem i zwyczajnem, a właśnie człowieka rozgorycza, rozdrażnia, czasami rozwścieczа, a trzeźwą, stateczną myśl z głowy przegania, odbierając spokój zupełnie...

Zaczynało to już teraz często nurtować Hryńka. Przytem zdało mu się, że drzemał dotąd, czy też był ślepym lub głuchym tylko... Bo nie myślał nigdy o kobietach tak, jak o nich myślećby może wypadało, i to mu się dopiero teraz u Morozowów dziwnem wydawać poczęło... Aj, bo nie durnyż był?

Matrena zaś poglądała na niego ciągle niespokojnie. Ot, taka bestya była, że słowa wyraźnie po ludzku nie zagadała, jeno w niej coś takiego tkwiło i od niej szło, — takiego niezwyczajnego, no, takiego niezwyczajnego, że aż cudnie było wspominać!

I czasami zaprzestawał chwilowo roboty, «drzemiąc» nad futryną albo drzwiami, które heblował, i rozmyślał a rozmyślał nad Matreną, nad jej siłą drażniącą, idącą coraz więcej od niej, bijącą coraz silniej...

http://rcin.org.pl

— A co? Nie idzie, zepsuło się? — pytał gdzieś z kąta dłubiący pracowicie Morozow.

Hryńko się budził z zamyślenia, z ust jego zaś wylatywało ciche na siebie samego przekleństwo. Głosem podnieconym odpowiadał:

— Nie! Dyabli nadali tylko, na sęk jakiś pogański natrafiłem!

I brał się ze zdwojoną energią do roboty.

Czasami zaś spoglądał z pod oka na Morozowa i mruczał:

— Ot, szczob tak meni! Dobry ty człowiek, ale nie dla młodej kobiety ty, dla krasawicy takiej, dla ognia takiego! Majster ty dobry, doskonały rzemieślnik, ale nie mąż! Siła ona niezmierzona, przepaść nieprzeskoczona, jej z tobą nic!

Mruczał i poglądał na Morozowa, jakby mu swe myśli głośno wykładał. Schylał głowę i dumał:

— Krasna ona, świt jasnyj! Ej, kobe to meni taka mołodycia!

Wzdychał, w ręce pluł i pracował goręcej, ale krew mu się burzyła. Obojętny i wesoły Hryńko począł stawać się posępnym i z podełba, jak wilk, patrzącym. Morozow klepał go po ramieniu:

— Szczo z toboj? No, idziem do «kabaku»! Chodź, bracie!

A gdy już pili, w miarę tego, jak w izbie

http://rcin.org.pl

stawało się coraz milej, Hryńko, chwytany za serce przez pitą na rachunek Morozowa wódkę, duszony przez wzbierającą mu w wnętrzu czułość, chciał często już pofolgować jej i powiedzieć od serca majstrowi:

— Iwan Nikiticz! Ty dobry człowiek i ja ciebie lubię! Ty, Iwan Nikiticz, żonę dziwną masz... Ty jej pilnuj i hołub ją, a i pilnuj, powtarzam!

Potem zaś, jakby go jeszcze większe rozczulenie porywało, chciał dodawać:

— I wiesz, co ci powiem, Nikiticz? Twoja żonka patrzy na mnie strasznie cudnie! Ja drżę od tych spojrzeń, a jej w oczach gorzeje... Więc pilnuj jej, pamiętaj, pilnuj!

Ale nie mówił nic, choć go serdeczność wprost rozbierała. Poprostu jakiś instynkt mówić mu nie pozwalał. W chwilach zaś tych rozmarzeń widział Matrenę lepiej, niż na jawie: jej toczone piersi, białą szyję i ręce, krągłe biodra, gładkie lica, smagłe krucze włosy i te oczy, te szatańskie zielone oczy...

Rozczulał się zupełnie i jakby pieścił ją wtedy myślą. Lecz z przeciwnej strony, z za stołu, miast twarzy Matreny — wyłaniało się spocone oblicze jej męża i poczciwy Hryńko mruczał:

— Ot, czyż na męża ty jej zdatny? I cóż' żeś człowiek dobry, sumienny majster, rzemieśl-

http://rcin.org.pl

nik doskonały? Ona ogień, ona przepaść zawrotna, ona wszystko, ale nie żona dla ciebie! I jakże ty tego widzieć nie możesz?...

* * *

Któregoś razu wyszedł Morozow raniutko za miasto do jednej z świeżo stawianych willi dla przyjęcia roboty stolarskiej. W izbie warsztatowej nie było nikogo, bo chłopców wyprawił majster po drzewo, które mieli przed południem przywieźć, a czeladnika zabrał z sobą. Hryńko zaś jeszcze nie nadszedł.

W kuchni, gdzie sypiali Morozowowie, panowała cisza, Matrena bowiem, nastawiwszy samowar i dawszy mężowi i chłopakom jeść naprędce, ile, że to było jeszcze bardzo wcześnie, i że zawsze pospać dłużej lubiła, zaraz po wyjściu Morozowa, korzystając z jego nieobecności, ułożyła się do snu ponownie.

Na dworze dzień już był zupełny. Poranny wiosenny chłód, pomieszany z rzeźką świeżością, wyganiał z powietrza resztki oparu, który się w niem kłębił i rozpościerał smugami Opar ten, rozdzierając się i rozpraszając, odsłaniał powoli z mglistych swoich konturów świat. Domki zarysowywały się już wyraźnie, gdzieniegdzie odrapana murowana kamieniczka świeciła wypełzłym swym kolorem, tuż przy niej za płotem sad duży, jakby na wsi, się rozciągał...

http://rcin.org.pl

Było tam ogrodów więcej. Raz wraz trafiałeś na nie, rzekłbyś, nie w mieście się znajdujesz. Ale to były krańce Moskwy, kąty już dalekie i ustronne, gdzie nie rzadko tuż za domem biegło na przełaj pole... Drzew też tu było i krzaków! W porannej mgle rodzącego się wiosennego dnia jakby budziły się z odrętwienia, w które ich noc zakuła, i wciągając chciwie ożywczy chłód, prostowały członki. Na wielu z nich posiadały już rojem ptaki, poważne wróble szare, i ćwirkając pracowicie, skakały z gałęzi na gałąź; trzepotały też hałaśliwie skrzydełkami, zda się, myły się. Od czasu do czasu, spłoszone przez rzadkich przechodniów, podrywały się całemi stadkami i przelatywały z wrzaskiem na sąsiednie krzaki lub drzewa, by za chwilę uczynić to samo. Na niebie zaś, hen, gdzieś nizko z za dalekich falistych chmur podnosiło się wolno niewyraźne słońce.

W godzinę może potem do drzwi mieszkania Morozowów zapukał, jak zwykle Hryńko. Odnajmował on izdebkę w sąsiednim zaraz domu, w warsztatowej bowiem u majstra nie chciał razem z chłopcami i czeladnikiem sypiać. Morozow nazywał go za to żartem «arystokratą».

Zapukał, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Z kuchni dochodził szmer lekkiego chrapania. Po chwili zapukał znowu.

http://rcin.org.pl

Ozwał się gniewny głos Matreny, jakby nagle ze snu zbudzonej:

— Kto «stuczy»?

— Ja! — ze zdziwieniem odparł Hryńko.

— A, wy??

Głos zmiękł. Później ozwał się całkiem już inaczej:

— Poczekajcie trochę, zaraz otworzę!

Hryńko słyszał, jak wstawała i krzątała się chwilę boso po kuchni. W minutę, dwie, drzwi otworzyły się na oścież.

— Wchodźcie! — zaśmiała się wesoło i głośno — a nie patrzcie bardzo, bo i nieubranam jeszcze z pośpiechu.

Hryńko stał zdziwiony. Jakże to? Witała go tak swobodnie, bezceremonialnie, nie bacząc na obecność męża, witała go, tłómacząc się, iż «nie bardzo» ubrana, a pora była przecież już zwykła, o której zawsze przychodził? I spała jeszcze, gdy zastukał, hałasu zaś w warsztatowej, huku od roboty idącego, nie słyszał wcale.

Obejrzał się po kuchni. Nie spostrzegł nikogo. Łóżko Morozowa było puste, przykryte derką, jej — bieliło się pościelą, dopiero co widać opuszczoną...

Rozejrzał się znowu, wreszcie wykrzyknął:

— Gdzie wy?

Z kąta, za drzwiami, odezwał się śmiech:

— Nie patrzcie... Wiecie przecież, żem nie-

http://rcin.org.pl

ubrana. Idźcie do warsztatowej, a ja skoczę i ubiorę się!

Hryńko odwrócił się szybko. Za drzwiami, ciągle do wnętrza kuchni od sieni rozwartemi, przytulona do nich i do ściany, stała Matrena.

Spojrzał i ciarki przeszły go po ciele, potem krew rzuciła mu się do głowy i wnet spłynęła do serca. W głowie mu jakby zaszumiało, wargi zadrżały, oczy wpił w kobietę i patrzał a patrzał...

Wreszcie ona tupnęła nogą, obutą w włożony naprędce «klapeć».

— No, cóż, czego stoicie?

Nie odpowiedział nic. Drzwi tylko popychał, jakby je pragnął zamknąć za sobą.

Nie puściła klamki, on pchał.

— Idźcie do warsztatowej! — tupnęła znowu.

W oczach jej zaświeciły iskry, ale nie gniewu. Po wargach przeleciał lekki, drwiący grymas.

Stała w narzuconej naprędce spódnicy, odsłaniającej nogi, obute w «klapcie». Pod cienką tą spódnicą rysowały się wszystkie szczegóły jej pysznego ciała... Na ramionach miała chustkę, rodzaj szalu, który przytrzymywała jedną ręką, gdyż drugą ściskała klamkę. Nie szczelnie ją ta chustka zakrywała. Zwisając jednym końcem, odsłaniała na piersiach głęboko wyciętą koszulę i wyzierające z niej złotawe, śliczne

http://rcin.org.pl

piersi... Ręka, trzymająca drzwi, obnażona była zupełnie i uwydatniała się w powietrzu posągowemi liniami swych kształtów. Od całej zaś stojącej kobiety biły ciepło snu niedawnego i żar młodego bujnego ciała...

— A, a, a? — bąkał pytająco Hryńko, a w oczach jego palił się płomień, po ciele przechodziły drgania. — A, a, a?...

— Pójdziecie, czy nie?! — niby gniewnie, lecz z pół-śmiechem zapytała Matrena, starając się osłonić trochę zbyt odkryte piersi.

— Ja idę, idę... — bąkał, próbując jednocześnie zamknąć koniecznie drzwi.

Lecz ją to wszystko rozbawiło. Zaczęła się śmiać serdecznie:

— Ha, ha, ha, ha!... Ha, ha, ha, ha!... Zgłupieliście, czy co? Ha, ha, ha, ha!

Zamknął drzwi. Przestała się temu sprzeciwiać. Ujrzał ją w pełnem świetle.

W głowie mu zatętniało, zęby zacisnął kurczowo.

— Krasawica, krasawica, krasawica! — wyrzucił przez nie sykliwie — krasawica!

— Co mówicie?

Oprzytomniał. Drżącym głosem zapytał:

— Szczo to? Gdzie Morozow?

Ukazał na uchylone drzwi do warsztatowej:

— Gdzie chłopcy?

Zaśmiała się znowu.

http://rcin.org.pl

— Nie rozumiecie? Chłopcy poszli po drzewo, przecież wiecie, że mieli dzisiaj iść, a Morozow do Sacharowa po robotę. Stiopka też!

— Poszli? Morozow poszedł? Kiedy?

— Durnyż wy! Rano dzisiaj, — dawno!

— A mnie o tem nic wczoraj nie mówił? — zadziwił się.

— Bo i po waszem wyjściu o robocie dopiero się dowiedział. Przyszedł Sacharow i mówi: Ojcze rodzony, musisz iść, roboty huk, podzielimy się! On, Morozow, nie chciał. Odpowiada: nie mogę, i swojej dosyć! Ale ten nie ustępuje, prosi, zapewnia, że do nikogo takiego zaufania, jak do niego, nie ma... Cóż? Poszedł Iwan, a i czeladnik też... Hryńka — powiada — nie wezmę, bo i nic ważnego... Niech — powiada — rano, gdy przyjdzie, tę robotę kończy, co ją wczoraj ze mną zaczął, a popołudniu to i ja już pewnie nadejdę, gdyż tylko obejrzeć idziemy, pomiary zrobić i z budowniczym pogadać... No, więc nie posyłano po was! Pocóż było posyłać?

— I Morozow poszedł?

— A poszedł!

— I wy sami?

— A sama!

— I tak spaliście do tej pory?

— A spała!

— I tak mnie otworzyliście?

http://rcin.org.pl

— Durnyż wy, czy co? Przecie, że otworzyłam... Któż otworzył? Widzieliście!

— Widziałem! I tak sama zostaliście, i spaliście do tej pory i Morozow z Stiopką do Sacharowa poszli, chłopcy zaś po drzewo, a mnie to wczorajsze kończyć, com z Nikiticzem zaczął? Dziw, dziw!

— Co tu dziw? Wściekliście się, czy co? Idźcie do warsztatowej!

— A to herbaty nawet nie dacie? — zapytał po chwili przeciągle, takim jednak głosem, jakby mu więcej o przedłużenie tu pobytu, niż o śniadanie chodziło.

Spojrzała na niego, zgarniając chustę na piersiach.

— Aj, prawda! — wykrzyknęła — toż wam się herbata należy... Zapomniałam!

Zaraz jednak dodała:

— Ale idźcie już, idźcie do warsztatowej, tam wam przyniosę! Widzicie, i samowar wygasł, rozdmuchać nanowo potrzeba!

Lecz on się nie ruszał. Jakby pragnąc wbić sobie w pamięć obraz obecny tej kobiety, patrzał a patrzał...

Ot, taką, a nie inną, widywał ją, tę dziwną, w snach i rojeniach... Taka, nie inna, dur mu zadawała...

A ona usiadła na łóżku i gniotąc obfitemi biodrami miękką pościel, z której niedawno wy-

http://rcin.org.pl

skoczyła, i która zda się pełna była jeszcze jej ciepła, snu i oddechu, — żałośnie, całkiem dla niego niespodzianie, mówić zaczęła:

— Bogaż wy się nie boicie, Hryńko, wstydu za grosz w sercu nie macie, stateczności w duszy! Widziane, by chłop obcy do nieubranej kobiety, żony cudzej, przychodził i stał tak a patrzał i ślepie wytrzeszczał? Toż wam w oczach nieczyste świeci! Wyż nie wiecie, co robicie! Nu, przyszli, zastali jeszcze śpiącą i trza było nazad iść! Toż nie mogłam ubrać się odrazu, na poczekaniu i już ubrana otworzyć? Tego ja nie potrafię! A wyście się dobijali! Więc otworzyłam, ledwie się nakrywszy, wy zaś zamiast do warsztatowej iść, po kątach patrzycie, zali mnie nie wypatrzycie, a jak wypatrzyliście, to i dawaj drzwi zamykać! I wciąż pogląda a pogląda, jakby było na co, i wstydu porządnej kobiecie nie oszczędzi i jeszcze prosi, żeby samowar przy nim nastawiać! Wyż patrzcie, żem ja nie ubrana i wstyd mi ciało pokazywać, powinniście iść... Idźcież! A Morozow, gdyby był, to nie wiem, coby na to powiedział!

Usta Matreny się skarżyły i gromiły, oczy jednak nie zdawały się tego powtarzać. Chustka zwisła jej prawie zupełnie, odsłaniając wyciętą koszulę, kolano prawej nogi uniosła w górę i objąwszy je oboma rękoma, przechyliła się trochę w tył... W tej niedbałej, zmysłowej pozie

http://rcin.org.pl

odkryła lewą nogę do pół-łydki, spódnica bowiem się podniosła. Bujne włosy, ledwie szpilką spięte, rozmotały się i całą falą opadły jej na ramiona... Biła od niej lubieżność.

Hryńko stał, jak uroczony. Zapomniał o wszystkiem, co go otaczało. Widział tylko ją, dyablicę pyszną i kuszącą, pełną niezmiernego uroku... Przez spieczone wargi syczał:

— Aj, Matrena, Matrena!

Lecz z nią zaszła jakby nagła zmiana. Przestała mówić o niewłaściwem jego postępowaniu. Przez twarz przeleciała jej fala krwi i rozlała się gorącym rumieńcem po szyi. Oczy zabłysły, zagorzały, zapaliły się płomieniem dziwnym... Spojrzała na niego przeciągle, tak, jak demon tylko spogląda...

Hryńka zadławiło w gardle, do ust poczęła mu napływać gęsta ślina, która kleiła jego wargi. Zaczął drżeć.

Ona przestała się śmiać, przestała mówić, jeszcze patrzała... W spojrzeniu tem było mistrzowstwo: tak patrzą tylko wirtouzki zmysłowości.

Szał go ogarnął. Zbladł, zzieleniał, na twarz wystąpiły mu plamy...

Ona patrzała.

Zbliżył się do niej szybko, jakby pragnąc, by mu nie uciekła, by nie zmieniła durzącej pozy, i dławiony namiętnością, bełkotać zaczął:

— Szczo, szczo, szczo?...

http://rcin.org.pl

Lecz ona nie ulękła się, nie drgnęła nawet. Słyszała wyraźnie gwałtowny szczęk jego zębów, uderzających o siebie, jakby w paroksyźmie. Tęczówki jej się zwęziły. Zuchwale spojrzała mu w oczy.

— Niczeho! — rzuciła wzgardliwie, pewna tryumfu.

Zmysłowa woń i ciepło, które od niej szły i biły już blizko, odurzyły go do reszty. Chwycił ją za ramiona, chustka opadła jej z pleców. Zaświeciły mleczne jej ręce, ramiona i gors...

— Matrena, Matrena!

— Puść!

— Matrena, Matrena!

— Boże... Puść!!

— Matrena, Matrena... — szeptał blademi wargami, krwią nabiegłemi oczyma pożerając ją...

Był jak w konwulsyi. Ona udawała, że się broni. Ciało jej rozgorzało, niby wulkan. Wzywała męża, odpychała Hryńka, ciągnąc go zarazem ku sobie. On otoczył ją rękoma i przytuliwszy do siebie z całej mocy, wpił swe usta w jej piersi i całował je bez upamiętania... Jeszcze zdawała się bronić, ale już dreszcze poczęły nią wstrząsać i jakby bezwiednie objąwszy go za szyję, oddała mu uścisk...

---

http://rcin.org.pl

Dnia tego Morozow wrócił wesoły do domu. Dobry interes zrobił! Sacharow nietylko, że połowę roboty mu odstąpił, ale jeszcze inną lepszą obiecał. Wesoło było w duszy...

Z radością uściskał żonę. Odsunęła się od niego, jakby ją wąż ukąsił.

Hryńko pracował, aż drzazgi sypały się na podłogę. Już z daleka usłyszał Morozow jego robotę. Gdy wszedł do warsztatowej, zadziwił się:

— Już kończysz! A ja myślałem, że dla nas obu do jutra przy tem pracy starczy!

Hryńko nie odrzekł nic. Z głową na dół owisłą, z oczyma wlepionemi w deskę, heblował zapamiętale.

— Hryńko, a, Hryńko, ty do roboty jedyny! Ciebieby zawsze w domu zostawić, a samemu choć do szynku... Wszystko zrobisz!

I zatarł Morozow ręce z zadowoleniem. Ten dzień był dla niego pomyślnym.

* * *

Dla Hryńka zaczęły się chwile upojenia, okres szczęścia i szału. Tę, która w myśli jego już dawno pierwsze zajęła miejsce, posiadł. Oddała mu się cała, oddała zupełnie.

Szara natura poleszuka zdolną była do uniesień. I patrzał odtąd w jej oczy, aby myśl każdą

http://rcin.org.pl

w nich wyczytać, zamiar najlżejszy przeczuć... Kochał ją, kochał!

Bez wahania oddał jej kryniczność swej czystej dotychczas duszy, rzucił na własność szczerość uczciwego serca... I tylko jedno piekło go i bolało, jedno krwawiło i spokoju mu nie dawało...

Nurtowało go uczucie winy.

Bo był przecież wiarołomcą, złodziejem cudzego szczęścia, grabicielem cudzej pomyślności. Oszukał Morozowa, oszukał swego druha dobrego! On to był Judaszem-Iskaryotą, on!

Myśl ta, jak posępne widmo, wpiła się w mózg jego i wlekąc się za nim wszędzie, nie dawała mu spokoju nigdzie, wyrzucając mu w oczy bez wytchnienia podłość jego i niegodziwość.

To był głos sumienia.

Daremnie wmawiał w siebie, że to, co się stało, stać się musiało, że prędzej czy później stałoby się bez wątpienia! Daremnie... Sumienie wykazywało mu obłudę tych dowodzeń, fałsz wykrętów... I w takich chwilach, w takich ciężkich dla siebie walkach i rozterkach duchowych, pragnąc zagłuszenia i odurzenia, rzucał się jeszcze silniej w odmęt pieszczot miłosnych Matreny. W jej objęciach chciał zapomnieć o wszystkiem, wymazać wszystko...

http://rcin.org.pl

A ona była taki płomień, taki żar! Moc oddania w niej była tak bezmierna!

Instynktownie jednak, przebiegle, przebiegłością, którą daje miłość niedozwolona, ukrywali oboje swój stosunek przed mężem. Morozow zajęty był, jak zwykle, tem bardziej, że i robotę miał teraz doskonałą, płatną dobrze i pewną. «Kapcaniał» tylko coraz bardziej, to jest stygł, ciężki się robił...

Ach! Toż nieraz, gdy Hryńko już poszedł po robocie do siebie, gdy wieczór spłynął, a w izbie, w kuchni, lampka zajaśniała wesoło, Matrena, czując gorąco nieznośne, rozpinała cokolwiek stanik i odsłaniając ciało — krągłymi, jakby rzeźbionymi kształtami zapadała niedbale na krzesło, by dumać... Pyszna jej pierś podnosiła się i opadała równomiernie, jak fala pełna, lecz spokojna, harda zaś głowa przechylała się w tył i znajdując tam podparcie z wzniesionych nad ramionami rąk, spoczywała na nich, oplecіona bujnymi kędziorami włosów, spadających fantastycznie na plecy...

Wtedy z przymkniętemi oczyma, z wyrazem nieuchwytnym na twarzy, snuła nić... Przebiegała myślą wszystko, co się stało dawniej i teraz niedawno, wszystko, co przeszło, albo dopiero przechodziło.... Siłą wyobraźni budziła z wspomnienia fakty i układała je jeden po drugim...

A wspomnienie się kłębiło. Przychodziły na

http://rcin.org.pl

pamięć momenty różne, momenty dziwne i niejednakowe. Z tego wszystkiego zaś wyłaniało się niezłomne, pogardliwe przekonanie, którego na długo przed pamiętnym rankiem nabrała, że Hryńko musiał stać się jej, jej!

I znowu zarysowywał się w myśli ten ranek i ten uścisk, i wszystko, wszystko!

Dreszcz ją przechodził, gorąca fala krwi płynęła po ciele i rozlewała się po tkankach ciepłem łaskotliwem. Zamykała oczy zupełnie. Ot, zda się, niema nikogo, tylko Hryńko, tylko ona... Patrzy na nią, jakby ją żebrał wzrokiem: Matrena, Matrena? Ona uśmiecha się mglisto, zdaje się być bierną... Lecz oto zbliża się: ona czuje, czuje już coraz bliżej jego tchnienie... Przyciska rękę do zaczynających się burzyć pełnych swoich piersi: niech się zbliży! Po ciele błogi, drażniący przelata prąd...

Odchyla nieco powieki. Taka pyszna, taka zmysłowa, taka powabna! Drażniąca, wabiąca, do szaleństwa doprowadzić mogąca!

I patrzy: a tam w kącie Morozow siedzi, lulkę powoli ćmi, a lulka lada chwila zgaśnie. Kiwa się lekko i kołysze, sennemi oczy gdzieś w ścianę bezmyślnie pogląda. Usypia... Za chwilę zaśnie.

Ach, i nie widzi jej, nie odczuwa jej! Nic, nic nie widzi, nie może nawet, nie jest już w stanie odczuć uroku jej szatańskiego!

http://rcin.org.pl

Otwiera oczy zupełnie. Tak, tu niema nikogo, niema Hryńka, jest tylko on, Morozow! Tylko on, ten stary trup, którego ona kilka tygodni temu zdradziła...

Ciało jej wstrząsa się dreszczem, usta zaciskają się. Świecącemi, rozszerzonemi, wrażemi oczyma rzuca mu:

— Nenawiżu...

W wzroku jej jaśnieje już teraz w całej swej bezdennej pełni niewyrażona nienawiść:

— Nenawiżu, stary trupie... Nenawiżu...

A Morozow już zasnął. Fajka upadła mu na kolana, a z kolan zsunęła się na ziemię. Brodę opuścił na piersi i chrapie.

Matrena ma oczy szeroko rozwarte. Patrzy niemi gdzieś w dal... W głowie jej szumi pytanie:

— Kiedyż i ten drugi stanie mi się równie wstrętnym?

* * *

Pewnego popołudnia niedzielnego udał się Hryńko do mieszkania Morozowów. Morozow miał wyjść gdzieś za interesem, Matrena czekała.

Lecz gdy wszedł do ich kuchni, otworzywszy nie zamknięte na zatrzask drzwi, straszny przedstawił mu się widok. Włosy zjeżyły mu się na głowie, dzikie jakieś, paniczne przerażenie rozszerzyło oczy, a z przygniecionej jakby nagle obuchem piersi wydobył się tylko świst.

http://rcin.org.pl

Na powalanem krwią łóżku leżał z rozpłataną głową Morozow. Obok na podłodze walała się zwyczajna ciesielska siekiera, a w rogu, niedaleko pieca, z rozwianymi włosami i rozszalałem w oczach spojrzeniem siedziała Matrena.

Nagle drgnęła. Usłyszała, że ktoś wszedł. Zwróciła oczy ku drzwiom. Spostrzegła kochanka.

Przez chwilę jeszcze patrzała na niego. Potem zaśmiała się dziko:

— Już go niema!

Ukazała białą, zbroczoną krwią, ręką na trupa.

— I nie będzie! — dodała.

W obłąkanym wzroku Hryńka malowało się przerażenie. Widać było, że nie zrozumiał jeszcze dobrze strasznej tragedyi, że daremnie sili się na pojęcie tego, dlaczego ów człowiek nie żyje... Ale nagle jakby umysł jego się rozświecił, ciemność, zalegająca go, rozdarła, jakby w tej chwili dopiero właśnie odczuł całą okropność tego, co się tu stało i co się już nie odstanie, bo rzucił się ku martwemu ciału zamordowanego.

— Morozow, Morozow, Morozow! — jęknął, chwytając zastygłą, bezwładnie zwieszającą się rękę trupa — Morozow!

http://rcin.org.pl

W oczach jego była jakby niema prośba, modlitwa niema o to, by ten, co leżał już cichy i obojętny na wszystko, poruszył się, drgnął, powstał...

— Morozow, Morozow, Morozow... — żebrał, przyciskając rozpalone usta do ręki trupa — Morozow, Morozow! — wykrzyknął głosem strasznym, rozpacznym, rozdzierającym...

Ale ozwał się tylko śmiech kobiety:

— Już go nie będzie nigdy!

Klęczący mężczyzna wzdrygnął się. Zrozumiał okropną prawdę i kurcz wstrząsnął nim na ten głos kochanki-zbrodniarki, głos mężobójczyni... Pochylił się jeszcze bardziej. Usta jego wpiły się w rękę nieboszczyka, grube palące łzy padały mu z oczu jego na nią i zastygały...

— Wiarołomca, Judasz-Iskaryota, grabiciel, łupieżca, złodziej! — huczało w jego głowie i odbijało się echem tysiącznem o tkanki jego mózgu. — Kat!

Zdawało mu się, iż ręka nieboszczyka drga wstrętem, że ją napawają obrzydzeniem łzy jego, łzy strasznego, piekielnego bólu, żalu...

— I już go nie będzie nigdy! Słysz, Hryńko, nigdy? I już go nigdy nie zobaczymy i nie przeszkodzi nam nigdy! Słysz, Hryńko, nigdy? Nigdy — ten pies, ten trup, to stare bezkrwiste bydlę... I nigdy spać się już nie położy i rezać

http://rcin.org.pl

już więcej nie będzie potrzeby... Słysz, Hryńko, nigdy? Ha, ha!!

Hryńko szeptał modlitwę za umarłych. Może choć tego nieboszczyk nie odrzuci ze wstrętem, może choć to od swego krzywdziciela i pośrednio kata przyjmie...

A Matrena wstała, oszołomiona, upojona, zbryzgana krwią, taka, jaką ją Hryńko niedawno temu ujrzał, w koszuli na piersiach odkrytej, obnażona, pół-naga, i zbliżyła się do niego, jakby mu się tu, w obliczu tej śmierci i tego martwego ciała męża po raz ostatni, wolna już, oddać chciała.

Lecz on ją odtrącił.

— Zabiłaś! — wyrzekł chrapliwym głosem, ukazując ręką na trupa — jego zabiłaś! Precz!

Oto jaką była ta straszna kobieta, która mu życie złamała, którą kochał i za którą się poświęcił, wziąwszy dobrowolnie jej winę na siebie i obróciwszy wszystko przeciw sobie tak, że Matreny nawet nie aresztowano. W sądzie silił się na szyderstwo, opisując przebieg zamordowania przez siebie Morozowa, a choć w duszy miał piekło i w sercu dziki obłęd — mówił to i czynił dla niej, w której chwilowy tylko upadek chciał wierzyć. Więc żył jedną na katordze myślą, że okropnem swem i bez-

http://rcin.org.pl

nadziejnem życiem okupił grzech i wyżebrał tam w pozagrobowym świecie u Morozowa przebaczenie dla niej i dla siebie i że duch zdradzonego przyjaciela pozwolił mu uważać Matrenę wobec Boga za małżonkę, wyprosiwszy u Najwyższego opamiętanie dla występnej, cnotliwą, pełną skruchy i niezgłębionego żalu pokutę, wraz z pragnieniem dalszem życiem niezmazanem starcia z siebie piętna ohydnego i straszliwego...

Tą nadzieją żył. I oto, że nietylko nic z tego się nie spełniło, ale ujrzał ją upadłą już zupełnie, zbrodniarkę bez poprawy, nałożnicę ostatnią, rynsztokową, plugawą! Wszakże to ona była ową osławioną kochanicą inżynierską, od której aż się trzęsło wszędzie w L***, łatwo zaś było odgadnąć, że nie był to pierwszy jej po nim kochanek... A lat tyle marzył, nie przestawszy kochać jej, że po wspólnej — jej tam, a jego tu — pokucie, dusze ich, już czyste, spotkają się z duszą Morozowa w światłości wiekuistej za grobem, by żyć w niezmąconem szczęściu — szlachetne!

Tak marzył biedny, nieszczęśliwy, z pośród społeczeństwa uczciwych na zawsze wygnany wyrzutek, a ona, zbrodniarka nikczemna, ot co!

. . . . . .

Ból, szaleństwo i niezmierzona nienawiść zatargały nim:

http://rcin.org.pl

— Suka ty nieszczera, gadzina! Bestya, żmija, płaz!

Porwał jej rękę i cisnąc gwałtownie zbielałą ze strachu wiarołomczynię, począł szeptać złowieszczo, chrapliwie, dziko:

— Ja tobie wierzyłem... Tyś u mnie jedyna była, światem moim byłaś i ja ci się sprzedałem... Sprzedałem sumienie, sprzedałem szczęście, sprzedałem jego — Morozowa, sprzedałem wszystko! A ty, suka, szczo, szczo, szczo?

Rzuciła się przed nim na kolana i poczęła wić się u nóg jego.

— Hryńko — wyła — Hryńko, pomyłuj, pomyłuuuuj!...

Odskoczył od niej ze wstrętem. Straszny był.

— Nie! — wydusił rzężąc. — Bud' proklata, bud proklata, bud' proklata!

Ręka jego spoczęła błyskawicznie na haku, który mu wyglądał z kieszeni. Przez chwilę cisnął go konwulsyjnie, jakby go chciał wydobyć i jednem uderzeniem rozpłatać czerep szatanicy. Ale na twarzy jego odmalowała się okropna walka, pasował się z sobą... Wtłoczył hak napowrót do kieszeni.

I tylko jakby raz jeszcze chcąc spojrzeć w te zielone, mieniące się oczy, które kiedyś były mu szczęściem całem, zbliżył się do niej i wyrzucił chrapliwie:

— Ot, żeby ty człowiek była, jaby ciebie

http://rcin.org.pl

nogami pokopał, podeptał, stratował! Zeby ty bestya była, jaby ciebie zarżnął, zamordował! Ale ty nie człowiek, nie bestya, ty potwór! Ja tebe dotknąć się brzydzę, ja tebe nenawiżu!

— Hryńko!!

— Won, sobako, nie dotykaj!

Pełzała jeszcze, nurzając się w pyle ziemi... Włosy jej się rozwiały, suknia rozdarła. Swemi zielonemi, przejmującemi oczyma wpatrywała się w niego jak pies, żebrząc łaski, i zarazem jak śmiertelny, zakamieniały wróg, dyszący zemstą za wzgardę. Potem, przyciskając rękę do rozdartego na piersiach stanika, wpiła w niego swe oślepiające, zachodzące krwią białka i wyszczerzając jakby do konwulsyjnego uśmiechu ostre swe równe zęby, czekała...

Lecz on się zatoczył, jak pijany, pełen tak piekielnego bólu, że aż z rozkoszą graniczył, i idąc w drogę swojego ciemnego przeznaczenia, w straszną drogę swego beznadziejnego, okropnego życia, wyszeptał jej raz jeszcze spiekłemi ustami:

— Proklata, proklata...

Z okna domu swego patrzał na niego zmartwiały ze strachu inżynier...

Wieś Łagiewniki (W. Ks. Pozn.) — Berlin. 1897—1899 r.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

BARAN

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I.

Ach, jakim baranem, jakim skończonym i typowym baranem był ten głupi, wprost idyotyczny ze swem spojrzeniem śmiesznych, rybich oczu, ten cały kochany, obrzydliwy Szereszewski! Zdawało się, iż nie można było chyba spotkać większego monstrum od niego, większego dziwactwa i śmieszności nad tę małą, nietłustą i niechudą, wiecznie przerażająco jednostajną i niekształtną figurę «obywatela» Szereszewskiego...

Bo Szereszewski był przecież demokratą. I ktokolwiek nazwałby go panem, albo pochlebił mu w jaki inny sposób, zrobiłby sobie z niego wroga nieprzejednanego.

Obywatel Szereszewski, obywatela Szereszewskiego, obywatelowi Szereszewskiemu, obywatelu Szereszewski! Nie inaczej! Obrazę, dąsy, albo zgoła nieodpowiadanie wywołałby ten, ktoby z lekkiem sercem mógł zapomnieć o demokratyzmie Szereszewskiego...

I czyż to nie baran?

http://rcin.org.pl

Ale nietylko to stanowiło właściwość obywatela Szereszewskiego. Ten urzędniczyna z marną pensyą śmiał być czasami tak dumnym i nieprzystępnym, że często zakrawało to na gruby żart z jego strony. Może czynił to dlatego, że mu tam ciągle łatki przypinano, że mu często bardzo dokuczano, a może dlatego, że nikt z nim żyć już pod koniec nie chciał. I choć rodziny nie miał tak dobrze, jak żadnej, a z powinowatych nikogo, nie szukał jednak znajomości łaskawych nawet na tym zabitym deskami od świata partykularzu, gdzie mieszkał.

Ostatnie kilka lat spędzał na wzór pustelnika. W jego dwóch pokojach parterowych zawsze było głucho, bo kiedy znajdował się w biurze, panowała tam cmentarna cisza, gdy zaś wracał do domu, obładowany plikami papierów i jakichś notat szarych, to siadywał w wytartym swym fotelu przy stole, zawalonym masą chaotycznie rozrzuconego papieru, i zagłębiał się w pierwszej lepszej książce, czy szpargale, lub patrzał w przestrzeń, zapamiętały bezmyślnie... Jego łysawa głowa bywała całkiem pochylona, a okrągławe plecy, w jakimś tabaczkowym surducie uwięzione, tak przygięte, że sądziłby można, iż to niezwykły ciężar do ziemi je przytłoczył.

Szereszewski często zapominał nawet zaparzyć sobie herbatę, którą miał zwyczaj pijać wieczorami. Jego maszynka spirytusowa stała

http://rcin.org.pl

opylona i posępna w kącie, daremnie wyczekując, aż «pan» napełni wodą kociełek i zapali osmalony knot... Wtedy obywatel Szereszewski był zdolny przesiedzieć tak do północy i dłużej, bez najmniejszego ruchu, jak istny sfinks. Tylko od czasu do czasu szelest przewróconej karty dawał znać, że ten, który ją odwrócił, nie drzemie nad książką, lecz czyta...

Czasem przychodził Walenty, bo Walentowa od roku już nie żyła, i gderząc, według zwyczaju, robił coś w pokoju Szereszewskiego, bez zbytniego zwracania uwagi na jego obecność. Szereszewskiego gniewało to wchodzenie stróża i przerywanie mu biegu skupionej nad przedmiotem myśli, zwykle też wpatrywał się w niego niespokojnie, czekając, rychło załatwi się ze swymi interesami i wyniesie «do dyabła». Uskutecznienie tego witał z ulgą dla swych podrażnionych nerwów i podnieconego umysłu. Walenty, który w gruncie rzeczy był najpoczciwszym pod słońcem człowiekiem, zdawał się nie zważać na te objawy «nijakiego», jak przywykł nazywać Szereszewskiego. Gdy jednak czuł, że jego krętanina przebiera dozwoloną miarę i sprawia niekłamaną przykrość temu oto człowiekowi, wychodził nareszcie i tylko rzucając z podełba spojrzenia, mruczał:

— Patrzcie, jak to cojkiesik rozmerwerwowany, akuratnie, jak kobita... Skaranie boskie!

http://rcin.org.pl

Szereszewski chwytał położony przed chwilą szpargał i starał się wertować go zawzięcie dalej. Czasem jednak odchodziła go całkiem ochota do przebiegania oczyma tych ciemnych liter i wtedy, założywszy ręce w tył i spuściwszy wzrok na dół, przechadzał się pośpiesznie, mierząc krokami długość pokoju tu i tam, często do północy...

II.

Pewnego razu, już pod zimę, gdy surowe powietrze i silne wiatry poczęły przenikać ludzkie ciała brutalnie, gdy te nadchodzące chłody listopadowe stawały się coraz nieznośniejsze, zmuszając każdego do szukania ciepłego kąta w pokoju, lub pospiesznego wydobywania grubych palt i okryć, Szereszewski, wyszedłszy z biura na obiad, który sobie robił sam, udał się, jak zwykle, do mieszkania swego, położonego na dalekim końcu miasteczka.

Wpatrzył się przed siebie. Liście już opadły i drzewa wyciągnęły ku ziemi suche swe, czarne ramiona. Drogi zawalone były żółtymi płatkami, porzuconymi tysiącami wszędzie, zda się nędznymi, pohańbionymi, żałosnymi... Na wielu z nich widniało zaskrzepłe błoto, na wszystkich zaś brud i pył... W okół wszędzie była ciężkość i jakiś chłód nielitościwy i posępny. W powie-

http://rcin.org.pl

trzu nie rozlegało się świegotanie ptaków, a po równinach pomrukiwanie i ryczenie bydła. I fujarki dźwięku już nie uchwyciłeś, w wesołe krakowiaki wsłuchać się nie mogłeś... Smutniało na ziemi i w sercu robiło się tęskniej... Hej, gdzie to te zboża złociste i pola zielone i ptaki świegocące i wszystko, co raduje, uszczęśliwia? Zginęły biedne — szara i posępna jesień przyszła i nakryła wszystko!

Szereszewski zamyślił się ponuro. Nieskończona szarość, która była wszędzie naokół, pomieszana z brudem ulicy i nieczystością kamienic, robiła niewymownie przykre wrażenie. Oko nie mogło spocząć na czemś weselszem, jaśniejszem, wszędzie, gdzie tylko się zwróciłeś, widziałeś ciężką jednostajność...

Obiad dziś mu nie smakował. Befsztyk się przypalił, kartofle się wysuszyły. Zup na szczęście nie jadał...

Usiadł na fotelu zły i zgnębiony. Jakże mu już wszystko obrzydło!

Wtem wzrok jego padł na półkę, gdzie leżały zżółkłe zakurzone pliki papierów. Wyzierały z nich i gazety odrapane, pomięte, i jakieś papiery kancelaryjne, i świstki zatłuszczonych notatek. Wpośród nich widniała jakaś plika, owiązana sznurkiem, na pozór różniąca się cokolwiek od innych, przyzwoitsza...

Szereszewski sięgnął po tę plikę. Rzucił ją

http://rcin.org.pl

na stół, aż kurz wzbił się w powietrze. Potem rozerwał sznurek i po stole rozsypały się... listy.

Wziął machinalnie jeden z nich i zaczął odczytywać.

Był stary, stareńki, datę nosił odległą. Pan Szereszewski utkwił w nim wzrok i czytał. Nagle drgnął, westchnął, zmienił się na twarzy, list odsunął, oczy wpatrzył przed siebie i chwilę spoglądał niemi, jak lunatyk. Potem niespodzianie w tych zrudziałych oczach ukazały się dwie prawdziwe, nie udawane, bo i udawać dla kogo nie było, łzy, grube łzy, i stoczyły się ciężko po twarzy.

Obywatel Szereszewski płakał...

A list był prosty, tak prosty, jak papier, na którym został napisany. I czytał Szereszewski raz jeszcze:

— «Helenka kazała powiedzieć ci, że cię kocha, kocha, kocha i to koniecznie powtórzyć trzy razy, a podkreślić ze sto.. Ślicznie wygląda! Podobno już za miesiąc wasz ślub? Jaka ona dobra, jak o tobie myśli — nie uwierzysz! Szczęśliwym jesteś, mogąc w ręce takiej kobiety oddać życie swoje i złożyć u nóg jej swą miłość, której nie wiem, czy może być kto więcej wart od tego anioła...»

W głowie zasuszonej mumii, która zwała się panem Szereszewskim, stanął jak żywy cudny obraz młodej ukochanej kobiety... Widział jej

http://rcin.org.pl

twarz spokojną a bladą, oczy cherubina o głębi szmaragdowej i wązkie usta, które opromieniał uśmiech... Następnie widział ją w białej ślubnej sukni z welonem na głowie, a siebie we fraku z krawatką białą u szyi, jak przysięgali miłość wzajemną. Potem ujrzał i dzieciątko, które mu w rok dała, a potem... ach, i myśleć strasznie!

I ona i dzieciątko porzucili go; poszli tam, gdzie jest lepiej. A on został, został... I tak już zostanie, bo to był jeden jego pierwszy i ostatni błysk — ona i to niemowlę. Teraz... teraz było dość czasu myśleć i zastanawiać się nad tem, dlaczego on właśnie został, a nie poszedł z Nimi?...

Mógł sobie łamać głowę dowoli, miał czas i będzie go miał zapewne jeszcze długo, długo!...

«Szczęśliwym jesteś, mogąc w ręce takiej kobiety oddać życie swoje i złożyć u jej nóg swą miłość, której nie wiem, czy może być kto więcej wart od tego anioła» — błyszczało ognistemi zgłoskami wszędzie, gdzie zwrócił wzrok swój błędny...

Myśl, myśl o tem, panie Szereszewski!

. . . . . .

Więc głupi baran sądził, że te wspomnienia zaryl i pogrzebał tak głęboko, że już nigdy nie przyjdą do niego takie żywe, tak przerażająco żywe, jak właśnie przyszły w to jesienne popołudnie?!

http://rcin.org.pl

Skrył głowę w rękach i położył ją na krawędzi fotelu. Potem pierś jego wątła, chuda, poczęła poruszać się coraz gwałtowniej, aż wstrząsnęła się spazmem. Z pod palców, cisnących twarz, wyciekały, jakby sznurki, łzy grube i kapały na podłogę. Następnie skurczył się jeszcze bardziej, jakby chciał cały wcisnąć się w fotel, zniknąć, zczeznąć, ale nagle zadygotał konwulsyjnie i z ust jego wyszedł spazmatyczny, rozdzierający, pełen bezmiernej skargi i bólu krzyk:

— Helciu, Helciu moja, czemuś mnie opuściła?!

Krzyk obił się o ściany i skonał. W pokoju było zimno, głucho, pusto...

Warszawa. 1899 r.

http://rcin.org.pl

W WIECZÓR KARNAWAŁOWY

UŁAMEK ŻYCIA

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

W pokoju jadalnym dyrektorstwa, przy stole sutą kolacyą zastawionym, rozmawiano dość żywo. Kółko było ściśle rodzinne. Pani domu, smukła, dystyngowana kobieta, lat czterdziestu kilku, ubrana w czarną elegancką suknię, miała twarz spokojną i inteligentną. Przy niej siedziała jej córka, lat dwadzieścia najwyżej liczyć mogąca, wysoka, miła blondyna, z odcieniem jakiejś zadumy w oczach; tuż obok jej ojciec, mężczyzna nizki, krępy, ale żwawy, sypiący dowcipami co chwila. Jadł z apetytem, przynaglając do tego również żonę i córkę. Podsuwał z uprzejmością półmiski i gniewał się żartem, że zabiegi jego pozostają prawie bezowocnymi.

Z przeciwnej strony stołu rozparli się na dwóch drewnianych zydlach staroniemieckich młodzi panowie dyrektorowicze. Jeden, oficer od huzarów, słuszny, barczysty, wesoły, trochę jak na wojskowego przystało w obejściu «sans façon»; drugi, cywilny, średniego wzrostu, mocny szatyn, otwartej, pociągłej twarzy, okolonej su-

http://rcin.org.pl

tym zarostem, rozprawiał spokojnie i z godnością, choć nie bez dobrego humoru i swobody...

Nagle pani przemówiła:

— Wczoraj na balu u hrabiny Steinheimowej opowiadano mi o tem strasznem, podwójnem samobójstwie, którego dopuścili się Poliński z żoną... C'est affreux! I gdy się pomyśli, że byli tacy młodzi! Cóż wy na to?

Pytanie, zwrócone do siedzących, pozostało przez chwilę bez odpowiedzi. Pan zdawał się nie bardzo tem przejmować; panna się zamyśliła, utkwiwszy wzrok swój w płonącą lampę; oficer od huzarów jadł z apetytem, a młody cywilny gasił na ustach uśmiech, z którym dopiero co coś bratu opowiadał...

Wreszcie pani powtórzyła:

— I cóż wy na to?

— Słyszałem o tem — mruknął z nad talerza huzar.

— Rzecz niewątpliwie tragiczna — rzekł pan.

— Znudziło im się życie — odezwał się z gorzką ironią cywilny.

Pani popatrzała na córkę.

— A ty, Marto? — spytała.

— Ja? Nie powinni byli tak umierać, pomimo wszystkiego, co popchnąć ich do tego kroku musiało... Mnie się zdaje, że samobójstwo to rzecz niegodna — wyszeptała panna.

http://rcin.org.pl

Cywilny zwrócił oczy na siostrę; po chwili zapytał spokojnie i łagodnie:

— Dlaczego, Marto?

Młoda dziewczyna zmieszała się:

— Ty wiesz, Pawle, dlaczego... Czyż wolno odbierać sobie życie?

— A jeżeli żyć nie mogli? jeżeli to życie było dla nich męczarnią?

Panna smutnie pochyliła głowę i zamilkła.

— Więc ty, Pawle, uważasz — wtrącił się do rozmowy pan, dotykający dotychczas dyskretnie wykałaczką, pod osłoną ręki, zębów — że można czasami popełnić samobójstwo? Wątpię, czy wolno tak umierać!

Młody człowiek poruszył się lekko, niecierpliwie.

— Czy wolno? — zapytał. — A jeżeli się umiera czystym i prawym, jeżeli się nie jest w możności zastanawiania nad pytaniem: czy wolno? Więc cóż czynić, gdy życie sprzykrzy się swoją okropnością, gdy stanie się wręcz dalej niemożliwem?

— Każdy musi czekać swego końca — zauważyła surowo pani.

— I wlec tę taczkę beznadziejnie, póki los mu sam się nie przysłuży... A jeżeli ktoś nie chce, nie może — za nic, za nic?

— Gorzko nastrojonym jesteś...

http://rcin.org.pl

— Pragnę postawić się tylko w cudzem położeniu — odparł ponuro — i zrozumieć je.

Rozmowa urwała się na chwilę. Paweł zamyślony milczał i wpatrywał się chmurnie w stojący przed nim kosz z owocami. Po pewnym czasie się odezwał:

— Bo czemże innem jest to, jak nie zrzuceniem z siebie bezmiernego, nad siły ciężaru? zsumowaniem rachunku życia? Jedni nazywają to tchórzowstwem, drudzy bohaterstwem — zagadka! Bolesna tragedya, krwią mażąca wszystko, rzadziej komedya — nic ponad to!

— Lecz po cóż rozprawiać o śmierci — przemówił, jakby otrząsając się z niemiłego, spadłego nań nagle wrażenia — kiedy jest tyle innych tematów do rozmowy? Mówmy o czem innem!

— Choćby o tym balu maskowym z przed trzech dni, na którym tak zgrabnie tańczyłeś i świetnie intrygowałeś panny w swym kostyumie Mefistofelesa. Zrobiłeś wprost «furorę»! — rzekł przyjaźnie i wesoło huzar.

— Albo o ślubie twoim, który ma się odbyć już przecież za tydzień! — odezwała się z ożywieniem panna. — Za tydzień!... Wyobrażam sobie, jak ty i Zochna radować się musicie! Szczęśliwa Zochna! Bardzo ją kochasz, Pawle?

Twarz Pawła na wspomnienie narzeczonej rozjaśniła się.

http://rcin.org.pl

— Czy i ty, Marto, zamierzasz mnie prześladować, jak Włodek? — zapytał żartobliwie.

— Pawle, obrażasz mnie! — zawołał z udanem oburzeniem huzar. — Powiedziałem tylko prawdę! Co zaś do naszej milutkiej przyszłej bratowej (niegodziwcze, wiedziałeś kogo wybrać!), to muszę ci oświadczyć, że i ona z ślicznym uśmiechem na ustach oświadczyła mi, że byłeś nieporównany, a nawet szepnęła mi na ucho, iż zawsze uważała cię i uważa za najlepszego, najmądrzejszego i najdowcipniejszego ze wszystkich mężczyzn. Uczułem się, ma się rozumieć, obrażonym, bo i mnie tem samem do owych gorszych, marniejszych zaliczyła. Nie pozwoliła ci tylko tego powtarzać, byś się nie zepsuł pochwałą. No, ale dla solidarności męskiej popełnię tę zdradę!

— Zochna? — zapytał rozbawiony Paweł.

— Tak.

— A ja mogę przyświadczyć — zaczęła śmiać się panna — bo akurat przechodziłam wtedy obok i słyszałam wszystko!

— Czy być może? — odezwał się zgorszony huzar.

— Niestety — odparła z pokorą panna.

Do rozmowy wtrącił się pan domu.

— Czy byłeś dzisiaj u nich, Pawle?

— Byłem — odrzekł młody cywilny. — Zochna zatrzymywała mnie koniecznie, bym został

http://rcin.org.pl

jeszcze parę godzin, ale biedactwo tak zmęczone po wczorajszym balu u hrabiny Steinheimowej, że nie miałem sumienia dłużej jej zanudzać. Umówiliśmy się na jutro, na ślizgawkę. Zochna obiecała ogromnie dużo się ślizgać ze mną i szczebiotać bez miary... Kochane dziecko!

— Wczoraj na balu — przemówiła z ożywieniem panna — pytała mnie, czy namyślę się wreszcie znowu ją odwiedzić?... Obiecałam napewno.

— Przedemną skarżyła się, że z ostatnią wizytą byłaś już dawno temu, dawno! Niedobra jesteś, Marto.

Dziewczyna zarumieniła się lekko.

— To prawda — odparła — ale nie winuj mnie. Karnawał! To jedno słowo mnie tłómaczy. Cóż Zochna mówi o ślubie?

— Nic. Dobra istota! Myśli tylko, jakby mi najprzyjemniej ostatki naszego narzeczeństwa przeszły... Poświęca się wprost dla mnie, słuchając nudnych moich rozmów...

— Szczęśliwy! — mruknął brat-huzar.

— Obmawiasz się, Pawle — rzekła z wymówką siostra.

— Nie! — odparł Paweł z prostotą.

Lecz pani, siedząca przez ten czas zadumana, poczęła ruszać głową, jakby chciała czemuś przeczyć i wreszcie wyrzekła:

http://rcin.org.pl

— A jednak to ciekawe... Dlaczego urwaliśmy wątek tej rozmowy? Wszak to ciekawe, prawda, Pawle?

Paweł przyjął zimno wezwanie. W oczach jego odmalowało się to samo niemiłe wrażenie, jakiego doznał poprzednio. Odpowiedział jednak uprzejmie:

— Owszem, mamo!

Wtedy huzar odezwał się, skończywszy wreszcie jeść:

— Według mnie — jest to nieszczęsne, trudne do rozwiązania zagadnienie. Pozornie zdaje się, że to wszystko jedno, czy sam pakuję sobie kulę w łeb i kończę rachunki trochę wcześniej, czy na wojnie lub w innej jakiej okazyi kto inny mi ją wpakuje, czy też, jak filister, umieram na łóżku. Rezultat ten sam, termin tylko niejednakowy. I pomimo wszystkich społecznych i religijnych hamulców, widzimy jednak ciągle, że samobójstwo szerzy się między ludźmi bez skrupułu... A środków zaradczych na to niema. W nędzy ludzkiej, w strasznych nieraz stosunkach życiowych i życiowej męce trzeba szukać rozjaśnienia owej zagadki. I póki to wszystko się nie zmieni, póki między życiem a człowiekiem będą się wytwarzały okrutne kolizye, póty to trwać nie przestanie. Że zaś tak było od początku świata i tak z pewnością będzie — więc i samobójstwo pozostanie nadal,

http://rcin.org.pl

jak dotąd, błędną ucieczką dla tych wszystkich, którym źle, okropnie źle na świecie!...

Skończył, i zapaliwszy wyciągniętą z srebrnej papierośnicy cygaretkę, zaciągnął się dymem.

Paweł zwrócił się do brata i spytał napozór żartobliwie głosem przyciszonym:

— No, no, sądziłem, że cię tylko porwać i unieść mogą Fifi z cyrku i ta dyablica Stella z baletu, wiesz?

— Cóż znowu! — oburzył się zaatakowany.

— Jest jedna kwestya — przemówił poważnie po chwili Paweł, jakby rozwijając dalej myśl brata — to odpowiedzialność swego bytu przed ogółem, przed całą społeczną gromadą. Lecz powtórzę tu raz jeszcze: gdy ktoś nie może być pożytecznym, gdy pewne fakty i okoliczności nie pozwalają mu utrzymać swego «ja» w zdrowiu moralnem i fizycznem, cóż mu czynić należy? Dlatego to chwyta się tak często truciznę lub rewolwer i kończy z szaloną żądzą wszystko. Ta straszna chwila zaś, którą przeżyje samobójca w świadomości, że niezadługo bryłą zimną tylko będzie, ów żal, ból i bądź co bądź ciężkie uczucie chaosu, samopoznanie tego, iż w dziwny, niedozwolony sposób odchodzi z tego świata, czy nie łagodzi to choć trochę goryczy ludzkiej przeciwko niemu?... Jak rozwiązać ten węzeł i kto go rozwiązywać bę-

http://rcin.org.pl

dzie?... Jest prosta odpowiedź: nie wolno! Ale na tę odpowiedź *tamci* mają inną: nie możemy!

W głosie jego zabrzmiały rozdrażnienie i niepokój. Patrzał na zebranych, jakby oczekiwał od nich zaprzeczenia...

Ale wszyscy siedzieli cisi, niby owiani nagle czemś z tego chłodu, który idzie od każdej śmierci. Głowy pochylili, na twarzach ich odmalowało się jakieś uczucie nieprzyjemne...

— Ja nie wiem, czybym się zabić mogła — odezwała się wreszcie pani, podnosząc głowę, którą zamyślona spuściła poprzednio. — To musi być straszne!

Nikt nie odpowiadał.

— I gdybym już — ciągnęła — umierać miała, umierać z własnej ręki, tobym pragnęła umrzeć w pełny, jasny, słoneczny dzień letni, oblana potokami światła, z ostatniem pożegnaniem tego, co tu życie i radość niosło na ziemi...

— Ja — odrzekł huzar — nie. Mnie wszystko jedno. W dzień, w nocy — wszystko jedno! Gdybym coś podobnego postanowił, starałbym się tylko zgłuszyć swe «ja» cokolwiek...

— Z bojaźni? — spytał ciekawie słuchający go ojciec.

— Nie! — rzucił niedbale młody. — Śmierci nie powinienem się bać, bo to byłoby śmieszne, ale ot tak, żeby się złudzić, iż odejście z tego

http://rcin.org.pl

padołu nie jest tak przerażająco prozaicznem jakiem być musi!

— Ja — rzekł ojciec — gdybym się zabijał, zabiłbym się w nocy.

— A ja — odezwała się panna, jakby zbudzona przez nich z zadumy — ja zabiłabym się rano, wczesnym rankiem... Najlżejby mi było. Lecz ja nie popełniłabym samobójstwa nigdy — dodała ze smutnym uśmiechem.

Rozprawiano jeszcze w dalszym ciągu, omawiając poszczególne usposobienia. Paweł tylko milczał, nie wyraziwszy swego zdania. Więc ojciec zapytał go:

— A ty, zabiłbyś się?

— Ja? Może... gdyby...

— Gdyby co?

— Gdybym czuł, że żyć już dalej normalnie napewno mi nie sposób...

— A kiedybyś się zabił: rano, w południe, w nocy?...

— Nie wiem. Wtedy, kiedybym największe pragn...

Nagle twarz mu się wykrzywiła straszliwie, ręce skurczyły, oczy stanęły w słup, a nogi poczęły bić w powietrzu, jak bije niemi zarzynany kur...

Jęknął. Przyszedł niespodziany atak.

Wszyscy porwali się przerażeni. Ojciec poskoczył do kuchni, siostra do sypialni, niosąc

http://rcin.org.pl

środki pomocne. Huzar zerwał się z zydla i podtrzymał bezwładnego brata; pani ujęła zwisającą głowę młodzieńca...

Tak spoczywał na rękach najbliższych. Wreszcie atak minął.

Paweł, pełen nadziei, młody, piękny Paweł, któremu się życie uśmiechało i który miał je niezadługo podzielić z drugą ukochaną istotą, był epileptykiem...

Zdawało się, iż ta straszna choroba, czyniąca go nieszczęśnikiem, ustąpiła już po długiej a mozolnej kuracyi nazawsze, że go opuściła...

Snuł pełen radości myśli o błogiem odtąd i jasnem, niekalekiem jutrze... Aż oto rozwiały się marzenia, straszna rzeczywistość przyszła, ukazując swą potworną twarz, a przekonanie, że jest już uleczonym, było tylko piekielnem złudzeniem...

Co miał począć nieszczęsny kaleka w pozornie zdrowem ciele? Co mu czynić należało wobec blizkiej już przyszłości, przyszłości, gdzie ma być i *ona?*...

Rodzina, zgnębiona, że ataki wróciły, siedziała przy stole, rozmawiając cicho. W oczach ich stało widmo choroby, która przywlekła się znowu napawać ich zgnębieniem.

Po chwili Paweł wstał i udał się do sąsiedniego pokoju, który był jego gabinetem, by

http://rcin.org.pl

napić się zimnej wody, robiącej mu dobrze w takich razach.

W czas jakiś matka się odezwała:

— Ty, Marto, połóż się dzisiaj wcześniej spać... Jutro bal u Franzeninich, a wczoraj także tańczyłaś...

— Dobrze, mamo — odrzekła dziewczyna — ale jeszcze czas...

Lampa płonęła jasno. W błyskach, które rzucała, twarze siedzących malowały się wyraźnie. Pokój zaległa cisza. Urwany chwilowo wątek rozmowy nie wiązał się jakoś nanowo.

Paweł nie wracał...

Nagle w drugim pokoju rozległ się huk i coś jakby runęło na ziemię. Straszne jego echo odbiło się ponurym, wstrząsającym zgrzytem w sercach i mózgach obecnych. Na twarzach ich odmalowało się przerażenie, w oczach rozpacz. Zdawało się, że niedawna ogólna rozmowa przemknęła, jak błyskawica, przed nimi i że ten chłód, który wtedy dał im się tylko uczuć, powiał teraz po nich z całą swą mrożącą, śmiertelną potęgą i zlodowacił ich.

Pani zerwała się z krzesła. Twarz jej stała się upiorowo bladą, a oczy łzawemi, jak u sarny, którą mordują. Głosem złamanym, rozpacznym i rozdzierającym krzyknęła:

— Paweł, Paweł, Paweł!...

Nie omyliła się.

http://rcin.org.pl

Gdy dorwali się do sąsiedniego pokoju, by ujrzeć, co się stało, zastali wijącego się już tylko w przedśmiertnych drgawkach samobójcę, w którego zaciśniętej dłoni tkwił jeszcze dymiący rewolwer...

Rokitno w Lubelskiem. 1899 r.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

W SŁOŃCU

SYMFONIA ŚWIATŁA

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Taki cudny, taki piękny, taki pełny, jasny dzień! Nie, doprawdy, trzeba być już nie wiem kim, żeby w taki letni, wonny i słoneczny dzień nie pójść z panną Lunią na łąki, nad rzekę, nad Dziewulkę, dla narwania pęków całych niezapominajek na jutrzejsze święto...

Tak, pójdę z panną Lunią!

Pójdę i pójdę bez mamy, bez tej obrzydliwej, nieznośnej jej mamy, o której, choć bawię u niej w gościnie, bez uczucia rozpaczy pomyśleć nie mogę!

W minutę byłem już gotów i pukałem do okien panny Luni.

— A co tam?

— Panno Luniu, droga panno Luniu, niech pani kładzie kapelusz jak najprędzej i idźmy, idźmy, bo umrę z niecierpliwości! Droga panno Luniu!

— Ale o co idzie, panie Bolesławie? Dlaczego pan ma umierać?

http://rcin.org.pl

Grymas niezadowolenia i rozpaczy wykrzywił mi usta. Znowu ta kobieca niedomyślność! A ja czuję, że spacer będzie wspaniały i że trzeba spieszyć, bo do obiadu już niedaleko...

— Ach, panno Luniu, dlaczego mnie pani męczy?! Pójdziemy się przejść, przejść nad Dziewulkę... Pani wie, nad Dziewulkę? O, jak cudnie na dworze!

Potoczyłem ręką naokół, ukazując jej kąpiące się w złocie słońca i mieniące się w blaskach świetlnych pola i łąki...

Zaklaskała w ręce:

— Ach, jak to dobrze! Pójdziemy, panie Bolesławie? Jak to dobrze!

Nagle twarz jej się zasępiła.

— Nie mogę, zapomniałam! Nie mogę... Mama jest zajęta przeglądem jeneralnym drobiu, więc nie będzie nam towarzyszyła, a bez mamy, pan wie, nie wypada!

Zacząłem z uniesieniem całować drobne jej, wyciągnięte przez futrynę okna, rączyny.

— Najdroższa panno Luniu, najmilsza panno Luniu! Niech pani zechce, niech pani raczy pójść! Mama nie będzie nawet wiedziała...

Jakże dziękowałem w duszy tej mamie, że opiekuje się swemi kurami i indykami! O, jakże ją za to błogosławiłem!

— Najmilsza panno Lunieczko, niech pani raczy?

http://rcin.org.pl

Złożyłem błagalnie ręce, czekając zmiłowania.

Przez chwilę się wahała, jakby namyślała... Potem twarz jej się rozjaśniła.

Wybuchnęła srebrzystym śmiechem:

— Dobrze, dobrze, pójdę; ale mamie ani mrumru!

Pogroziła mi ślicznym paluszkiem:

— Jak będziemy przechodzili koło kurników, to mnie pan sobą zasłoni? Ha, ha, ha!...

I chwyciła rozkosznica pasterkę, z fantazyą wkładając ją na blond główkę, bujne zaś warkocze rzuciła niedbale na plecy. Potem schwyciła parasolkę i za chwilę już zbiegała ku mnie.

Ach, Luniu, Luniu, czarodziejko, wiochno polna, kwiatku skromny a uroczy!

Szliśmy tryumfalnie nad Dziewulkę.

Mała filutka nie dała mi jednak spokoju:

— Dlaczego właśnie teraz i właśnie dziś pan koniecznie na spacer mnie wyciąga?

Chłód zmroził me członki. Co jej rzec?... Czy to, że ją kocham do szaleństwa, że bez niej żyć nie mogę, czy też to, że za nią w tysiąc ogni skoczyć jestem gotów? Że ją ubóstwiam, że za nią szaleję?...

Boże! Mam lat dwadzieścia pięć, a ona siedemnaście, czyż dziwnem się to wydać może, dziwnem — moja miłość?

Więc jak jej odpowiedzieć? Dziś przyrzekłem

http://rcin.org.pl

sobie wyznać jej wszystko; ale tak znagła — nie mogę, nie mogę... Strach mnie jakiś ogarnia, Boże, głupie uczucie bojaźni... Nie, poczekam, aż dojdziemy nad Dziewulkę; tam powiem wszystko...

Uśmiechnąłem się nieszczerze, jakbym uśmiechem tym pragnął pokryć nurtujące mnie uczucie strachu. Tymczasem, ha, może uda mi się wybadać ją choć trochę, odgadnąć, przeczuć!...

Czy zgodzi się? Tak, czy się zgodzi?

Serce zabiło mi, jak młotem. Straszliwa wątpliwość targnęła duszą. Ale nie, Lunia mnie kocha, ja to spostrzegłem oddawna, Lunia kocha, kocha! Więc odrzekłem:

— Chcę nazbierać z panią niezapominajek na jutrzejsze święto... Pani wie, nad Dziewulką rosną takie piękne!

Spojrzała na mnie przenikliwie. Potem, nie spuszczając ze mnie oczu, odparła śmiało:

— Nieprawda!

«Nieprawda!» Powiedziała: «nieprawda!» Zgadła: «nieprawda!»

Krew zaszumiała mi w głowie. Więc wie! Więc przeczuwa, więc odgaduje, jakie niezapominajki zerwać pragnę?

Moja droga, złota dziewczyna!

Ale udałem oburzenie.

— Jakto: nieprawda? — rzekłem. — Dlaczego: nieprawda? Pani już zapomniała, jak

http://rcin.org.pl

zrywaliśmy ten chaber na porębie? Dlaczego nie mamy zrywać niezapominajek?

— Bo nie o niezapominajki panu idzie!

I jednocześnie wydęła śliczne usteczka, chrapkami nosa poruszając, jakby miała parsknąć.

— Pan Bolesław oszukuje! — dodała. — Pan Bolesław zwodzi... Nieładnie!

— Panno Luniu — oburzyłem się — nie zwodzę! Jak dziadusia kocham, nie zwodzę! O, proszę patrzeć — dodałem, wyciągając z kieszeni motek białej bawełny — co ja tu przygotowałem... To na wiązanie bukietów!

— A ja, jak mamę kocham, mówię szczerze, że pan Bolesław oszukuje i oszukuje, napewno oszukuje! Wiem, wiem! Ja się znam!

Cóż miałem robić? Jeżeli tak dobrze, tak napewno wie! Ale to przecież obraza taka nieufność. Doprawdy, nie powinienem się już więcej odzywać i dalibóg, że się nie odezwę... Niech zobaczy, jak to miło komuś kłamstwo zadawać, niech naprawi błąd! Przytem... takie nieporozumienie, to nawet mi na rękę, jak dziadka kocham, na rękę, bo chwilowo uwalnia od objaśnień, a ja się tego objaśnienia tak boję, doprawdy aż wstyd, a boję się... Ach, jakie nieznośne położenie!

Nie, nie odezwę się!

Już srogą przybrałem minę i kroczę koło

http://rcin.org.pl

niej pełen chmur w obliczu, z brwiami jowiszowo na czole zmarszczonemi, nieprzystępny... Poznaj Luniu, co to jest mnie nie ufać!

Ale ona nie zdawała się zważać na to. Szła lekkim krokiem tuż koło mnie i, potrząsając jak swawolny dzieciak parasolką, nuciła coś wesoło... Czasem wiatr wionął jej kosą, czasem poswawolił z sukienką... Wtedy unosił, jakby dla podrażnienia mnie, jej spódniczkę, unosił trochę, figlarnie, odsłaniając wysmukłe, w czarne, ażurowe, cienkie pończochy ubrane nogi dziewczyny, i migał falbanami jej rożowej halki... Tłumiła sukienkę od niechcenia, oganiając się od wiatru, jak się ogania od muchy niesfornej...

W tem pełnem oświetleniu słonecznem, na tle bujnej zieleni łąki, była jak zjawisko.

Wreszcie weszliśmy w morze zboża.

Kłosy, falując, gibotały się i wiewały na wsze strony miarowo, to znów niespokojnie i, jakby pragnąc nam okazać swą radość i zadowolenie, muskały nas po plecach i twarzach poufale i przyjaźnie. Środkiem zboża, dzieląc pole na pół, wiła się ścieżyna... Świeży, potężny, ciepły aromat bił z tego chaosu, z tego lasu zboża i rozpływał się niezmiernemi falami naokół. W powietrzu była niemoc, ale nie ta martwa, senna, jak czasami na jesieni, lecz letnia — tytaniczna, uśpiona tylko i pozorna, niemoc, która burzę rodzi... Niezliczona ilość bławatu

http://rcin.org.pl

barwiła się niebieszczą, naśladując jakby nitki przetykanego drogiego kobierca... W gąszczu pola wszędzie ćwirkały utajone milionowe świerszcze, z pod nóg wyskakiwały przestraszone koniki i, bzykając sykliwie, rzucały się w kłośne fale... W takt ich bzyku grały na wszelkie tony i wtórowały im smętną, to znów skoczną melodyą miliardy innych owadów...

Lunia szła, targając ręką kłosy i przesuwając dłonią po nich. Czasem obłuszczyła niektóry z ziarna prawie już dojrzałego i, gryząc je, żuła jakby dla rozrywki... Oczy jej wpatrzone były w kołyszące się zielone morze, uszy zdawały się nasłuchiwać melodyi, którą wiatr na zbożu wygrywał. Słońce padało na nią szeroko i piekło delikatną jej twarzyczkę.

Zdawało mi się, że nie ubliżę swemu przed chwilą postanowieniu, jeżeli się odezwę do niej raz jeszcze na krótko i to dla jej tylko dobra:

— Panno Luniu, słońce pali twarz pani... Niech pani rozepnie parasolkę!

Spojrzała na mnie. W jej oczach był tłumiony śmiech:

— Czy panu zależy na mojej twarzy?

— I owszem! — odrzekłem, chcąc nadać moim słowom ton łaskawej życzliwości, powiem nawet niedbałej, czując jednak niestety zarazem, że najniepotrzebniej, najnędzniej w świecie, głupio, bardzo głupio się rumienię...

http://rcin.org.pl

To jest właśnie mieć takie kretyniczne, wyznam szczerze, idyotyczne, nerwowe, wrażliwe usposobienie!

Ach! Chętnie byłbym się teraz wypoliczkował za takie zarumienienie!

A jej tego tylko było potrzeba! Żebyż przynajmniej była udała, iż rumieńca mego nie spostrzegła. Ale nie, taka niedelikatna, wszystko jej to jedno! Ma się rozumieć! Jeszcze mówi:

— Jak to gorąco! Ledwie oddycham z tego żaru, a pan już wypieków dostał na twarzy.

Tego było już zanadto! Trudno dalej zważać na uczyniony dobrowolnie ślub! Zmusza mnie sama do obrony!

Przymrużyłem więc oczy, niby z blasku, w rzeczywistości jednak, by jej zrobić takie podwójne «oko», i drwiąco (przynajmniej tak mi się zdawało) zapytałem:

— Ja dostałem wypieków; ale pani, panno Luniu, już całkiem chyba się rozpłomieniła? Pani *lubi* takie gorąco, panią to podnieca i rozżarza... O, jak pani tchnie już cała ogniem złośliwości!

Wydęła usteczka z grymasem:

— Ach, fe! Ja płonę? Ja tchnę ogniem złośliwości? To pan jest złośliwym, panie Bolesławie! Nie, pan jest więcej, niż złośliwym!

Uśmiechnąłem się pogardliwie:

— Jaaa?

http://rcin.org.pl

— Tak, pan! Pan mi zaczyna dokuczać i nigdy już z panem nie pójdę! Dobrze mi tak, nie powinnam była iść! Mama i tak mnie skrzyczy... A zresztą jeszcze czas, jeszcze mogę się cofnąć i nadejść, nim mama kurniki opuści... Do widzenia panu, ja wracam.

Wychodziliśmy akurat z fal zboża. Dziewulkę widać było, jak na dłoni. Staj kilka jeszcze przez łąkę i już będziemy nad jej brzegiem.

Lecz na podobne *dictum* stanąłem jak wryty. Spojrzałem niedowierzająco na nią. Obróciła się na pięcie i stała z wyciągniętą ku mnie ręką. Patrzałem więc, zgłupiały, nie mogąc słowa wymówić.

Ale ona, widząc, iż spoglądam na nią bez giestu, rzuciła:

— Ha, jak pan nie chce nawet ręki podać, to nie! Obejdzie się! Jedna więcej impertynencya, nic ponad to! Żegnam!

Struchlałem. Ona to naprawdę chciała uczynić — nielitościwa, bez serca, kamienna! Ona to uczyni! Zapomniałem w jednej chwili o wszystkiem i rzuciłem się szczerze strwożony ku niej:

— Panno Luniu, co pani chce zrobić? Ja panią nie puszczę, ja pani drogę zastąpię! Panno Luniu... Jak pani może, jak pani śmie? Jeżeli pani wyrządziłem przykrość, jeżeli obraziłem, to przepraszam, stokrotnie przepraszam... Ja wiem, że ja jestem gbur i źle wychowany, i odwołuję,

http://rcin.org.pl

odwołuję wszystko... Pani tego nie uczyni, błagam panią, zaklinam panią... Panno Helko!

Stała, obrócona twarzą ku Dziewulce. Na dźwięk ostatniego słowa zwróciła się szybko ku mnie i zapytała żywo:

— Jak pan powiedział?

— «Panno Helko...»

Zaklaskała w ręce. Potem zaśmiała się, jak wesoły dzieciak, któremu się coś ogromnie spodobało, i niepomna na okrucieństwo, z jakiem się nademną znęcała, wybuchnęła:

— Jak to ładnie, jak to oryginalnie! Nikt mnie tak dotąd nie nazywał! Papo mówi Helenka albo Helunia, a mama i wszyscy Lunia... Ale mnie się podoba ta nowa nazwa. Panna Helka, panna Helka! Czy to pan wymyślił?

— A któżby inny? — oburzyłem się, czując, że ta szczęśliwie i mimowoli wynaleziona «panna Helka» może mieć rozstrzygające znaczenie w obecnej sytuacyi i odwrócić grożący mi dotkliwy cios. — Ktoby inny ośmielił się to wymyślić?

Ale w jej oczach mignęła nieufność. Spojrzała na mnie badawczo. Potem pogroziła mi paluszkiem:

— Ej, bo jeżeli to nie pan, to muszę panu powiedzieć, że w tej nazwie niema nic szczególnego... *Nic szczególnego!* Pan, czy nie pan?

Rozkosz przeniknęła me członki. Nie prze-

http://rcin.org.pl

słyszałem się! «Jeżeli to nie pan, to w tej nazwie niema nic szczególnego...» O, Boże, jakież to słodkie...

— Jak dziadusia kocham, ja! Ja, ja, ja!

— A ja, jak mamę kocham, zaczynam w tem gustować... Panna Helka!

Już szliśmy znowu nad Dziewulkę. Zapomniała, zapomniała, droga, o powrocie i o wszystkiem... Szła obok mnie, śmiejąc się... Czułem, że w sercu mam wielką radość, w duszy szczęście. Między nami była już harmonia, słodka harmonia... Miłosnym wzrokiem ogarniałem jej wdzięczną postać i twarz anielicy, we wzroku tym wyrażałem dla niej najczulsze moje uwielbienie... Było mi dobrze.

Przed nami roztoczyła się zielonawa wstęga Dziewulki. Byliśmy już na jej brzegu. Woda płynęła leniwie, jakby senna, omywając i płucząc przy brzegach całe chmary zielska i wodorostów. Muszki i owady, gnieżdżące się tam obficie, wyskakiwały co chwila, jakby szarpane pobudzeniem, na szeroką taflę wody i, uderzając o nią, rozbijały ją na niezliczone pręgowate koła, rozchodzące się coraz szerzej... W gęstwie wodorostów i obficie na brzegu samym rosły, świecąc modrą niebieszczą, niezapominajki...

— Niech pani nazwie mnie też po swojemu — powiedziałem, podając jej pierwszy pęk narwa-

http://rcin.org.pl

nego kwiecia — niech pani mnie nazwie panem Bolkiem!

Nie usłyszałem odpowiedzi. Schyliła się, jakby pragnęła zerwać pęk niezapominajek, rosnących nad samą wodą. Poskoczyłem, by ją uprzedzić. Zerwane — przerzucałem do jej ręki, jak piłkę, a ona chwytała je w powietrzu. Nić z motka rozwinęła i zaczęła wiązać kwiaty w bukiet. Po chwili już miała w rękach spory.

Ale gdy tak wyszukiwałem nad wodą niezapominajek największych i najpiękniejszych, zdarzyło się, że parę razy obsunęła mi się noga i żem wraz z toczącą się z szumem w fale ziemią sam o mało nie wpadł do wody. Zaczęła mnie prosić, bym odszedł z nadbrzeża, że ma już dosyć kwiatów, że nie chce, bym wpadł do wody i może jeszcze utonął...

Wtedy poczułem, że w tym głosie, w tej prośbie jest coś więcej, niż zwyczajna, zimna grzeczność i uprzejmość... i postanowiłem wyznać wszystko, zrzucić z serca wszystko... Przybliżyłem się szybko do niej i wzruszonym głosem zapytałem:

— Dlaczego pani to mówi?

A ona jakby się zawahała na chwilę, lecz potem odrzekła:

— Bo pana byłoby żal...

Spojrzałem w jej oczy; były jasne. Więc spytałem raz jeszcze cicho:

http://rcin.org.pl

— Pani żal?...

— Mnie.

Przykląkłem przed nią. Jaka ona dobra, jaka moja jedyna! Jaka droga, jaka umiłowana!

— I pani byłoby żal i paniby nie chciała, bym zginął?... Jaka pani dobra, jaka najdroższa!

Zacząłem całować kraj jej sukienki:

— Niech pani będzie moją, niech pani będzie moją! Ja panią kocham, ja panią ubóstwiam, ja panią uwielbiam! Niech pani będzie moją na wieki... Ja panią kocham, panno Luniu, panno Helko!...

Dziewczyna nie odrzekła nic. Ręce pełne kwiatów opuściła bezwładnie na moją głowę, jakby tuląc ją do siebie. W jej oczach były łzy... Potem cichym, ale radości pełnym głosem odrzekła:

— I ja pana... panie Bolku!

Oberaudorf pod Kufsteinem. 1896 r.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

W CIENIU

SYMFONIA MROKU

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Milczącym i pełnym niewysłowionej melancholii był poważny park w Zalesińcach. Ciężkie niebo rozpostarło się jak płachta nad światem i zawisło zgorzkniałe i smutne. W wilgotnem powietrzu unosił się mętny jakiś opar, w całem przestworzu leżała omdlała, niema martwota. Był to jeden z tych dni jesiennych, kiedy dusza zdaje się uciekać gdzieś z dzikim krzykiem w przestrzeń, lub jak ptak spłoszony i drżący zaszywa się w najtajniejsze głębie. Taka niemoc i tak bezdenny smutek opanowały całą naturę, że nawet zblakłe liście, lękliwie trzymające się jeszcze drzew, chciały odlecieć od nich, zda się, jak najprędzej, by szukać u matki-ziemi spokoju wiecznego śmierci. I nawet ptak nie zerwał się z gałęzi, nie zaświegotał żaden... Cisza nudna i rozpaczliwa ogarnęła wszystko.

Trawa na gazonach, po bokach alei i dróżek, choć nie żółta jeszcze, skurczyła się w sobie, zgięła. Była cała mokra, nie od tej rosy jednak, jaką okrywa się każda roślina w prze-

http://rcin.org.pl

czysty poranek majowy, tchnący niewyrażoną świeżością wiosny, lecz od zgniłej jakiejś wilgoci, nagromadzonej niewiadomo skąd, wciskającej się z uporem w każde źdźbło nieledwie. Żwir na starannie utrzymanych drogach był jakby zrudziały, piasek, którym posypano węższe ścieżki, brudny. I nic nie przypominało letniego wyglądu tego parku, gdy nakształt młodej dziewczyny świeżością tchnął i urokiem. Starzec to raczej teraz już zgarbiony i zmęczony, z goryczą w swym niepokoju zastygły. I tylko chłodem, tylko pustką wieje od niego, w skrytych czeluściach, przysiągłbyś, odgłos płaczu się rozlega... Hej! Straszna, piekielna tęsknota rwie tam i szarpie wszystko, a ni słońca, ni życia już nie masz!

Pan Bożysławski siedział na ławce pod kasztanem. Przed nim rozciągała się niknąca gdzieś w dali perspektywa wielkiej poważnej alei, za plecyma jego kłębił się cały las młodych, a już steranych krzaków. Głowę miał opuszczoną, podpartą na wychudłych przezroczystych rękach, i tonął w ponurej zadumie.

Dziwnie mu dzisiaj było na duszy i doskonale do tego wewnętrznego jego nastroju pasowały posępność i chłód natury. Jakaś pełna ironii i bolesna harmonia zapanowała między nim, a wszystkiem, co go tu otaczało. I nic nawet nie starało się jej zepsuć, bo jak w przy-

http://rcin.org.pl

rodzie, tak i w nim całym była teraz jedna tylko graniczącą z bezwładnością gorycz...

Przez głowę snuły mu się roje myśli — tyle, tyle myśli! Jedna rodziła drugą, wiły się pasmem nieprzerwanem i uciekały gdzieś w dal, ustępując miejsca innym... A on chwytał je, by wtłoczyć napowrót do mózgu i zgrupować wszystkie — aż do ostatniej.

Dzisiaj rano otrzymał list, arkusz papieru w białej sztywnej kopercie, na którym wypisano te słowa: «Kochany Edwardzie! Zenia wyjeżdża jutro do Paryża. Jeżeli chcesz, przyjedź dzisiaj do Zalesiniec. Może pragnąłbyś się z nią pożegnać...»

Pisała to stryjenka Joanna, u której Zenia Tolchowiczówna już od dłuższego czasu bawiła.

Zenia... Smukła, wysoka panna z obliczem Madonny, z głębokiemi jak toń oczyma, z kruczymi, od czoła do pół-uszu zaczesanymi włosami i z rękoma filigranowemi, przedziwnie kobiecemi... Spokojna i poważna dziewczyna, na której czole w najweselszych nawet chwilach błąkał się cień jakby smutku, z której wzroku przebijała zaduma...

Taka serdeczna, prosta, a królewska... Tak potrafiąca przykuć do siebie uwagę nietylko wdziękami swymi fizycznymi...

...«Jeżeli chcesz, przyjedź dzisiaj do Zalesiniec...»

http://rcin.org.pl

Oto jest. Przyjechał.

...«jutro wyjeżdża do Paryża». Do Paryża...

Uśmiechnął się gorzko, a serce jego przeszył dojmujący ból. Nigdy więc już nie rozsłoneczni się tu w Zalesińcach tak, jak się rozsłoneczniało dotąd, ciężka i ponura pustka owładnie tu znowu wszystkiem...

Wie jedno, wie niezłomnie: pójdzie, musi iść precz jak najdalej stąd, gdzie jakieś serce zabiło może dla niego goręcej, gdzie mógł ukoić umęczoną duszę i znaleźć radość i szczęście...

Pamiętał te lata dziecinne, gdy w naiwności chłopięcej klasyfikował kobiety na «jasne» i «ciemne». Te jasne wydawały mu się zawsze dziwnie czystemi, cudnemi. Zda się, niewidzialne skrzydła u ramion miały, na twarzach czarowniesłodki uśmiech, w oczach mglistą tęsknotę... I takie były przytem nieskalanie-święte, promienne... Raz ujrzał gdzieś smutną gibką lilię i od tej chwili zapomnieć jej nie mógł. Takiemi liliami wydały mu się te «jasne», które wyobraźnia dziecięca stwarzała. Serce jego biło, a dusza niewinna drżała... Instynktem małego mężczyzny odszukiwał w nich źródło światła, odczuwał to, co w dojrzałym nostalgią się staje... Jakiś ból pragnienia rodził się w nim, a miał świadomość bezwiedną, że ten krzyk serca znajduje oddźwięk w tych istotach tylko... Tkliwość

http://rcin.org.pl

serdeczna kobieca i urok duszy nieuchwytny wabiły go już wtedy nieprzeparcie ku sobie.

I teraz był pewnym, że jedną z takich «jasnych», jedną z najlepszych, jest bezwątpienia Zenia. Zenia, co jak promień słońca wnosiła z sobą blask czegoś kojącego, co widokiem swym krzepiła i jakby otuchy dodawała. Taka srebrzysta, świetlana, z tak nieuchwytnym czarem we wszystkiem, że godzinami z nią przestawać można było z coraz większem pożądaniem jej obecności...

Dwa miesiące temu przyjechał do Nabolewa, który tylko o wiorst kilka od Zalesiniec stryjenki Joanny oddalonym był. Przyjechał z Nauheimu, gdzie na kuracyi bawił. Owionęła go znowu cisza spokojnego wiejskiego dworu, na polach zaś i w lesie rozgwar przyrody, tak w niczem do hałaśliwej gorączki «badów» niepodobny... Z ulgą jakąś powitał to wszystko, był pewnym, że dla przerażającej apatyi, która nim owładnęła, stanowiło to tło najodpowiedniejsze...

Był niestary jeszcze. Miał lat trzydzieści pięć dopiero, życie słało się przed nim szerokie. Był niezależnym: piękny Nabolew, wolny od długów, stanowił wcale pokaźną fortunę. Rodziców stracił już dawno, opiekowali się nim krewni, póki sam opieki nad sobą nie roztoczył. Sióstr, braci — nie miał nikogo, młodość spędził w gimnazyum,

http://rcin.org.pl

w uniwersytecie i na praktyce, później u siebie na wsi, w Warszawie, zresztą i zagranicą, otoczony zawsze małą, ale dobraną gromadką przyjaciół i kolegów. Nie używał też życia zanadto, umiał utrzymać miarę i z tych zapasów z młodością unieść siły nie nadwątlone zbyt swawolą... Interesował się wieloma rzeczami: na uniwersytecie uchodził za «dobrą» bardzo głowę, czytał dużo i gorąco zajmował się sztuką, on, o którym niektórzy z lekceważeniem mawiali, że to wcale do jego «trzeźwego» hreczkosiejstwa nie pasuje...

Zresztą nie dbał o to. Szedł przez życie jak tysiące i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jest człowiekiem pospolitym. Życiowe burze dlań nie istniały, bo i jakież mogła mu zabezpieczona jego egzystencya gotować? Z natury refleksyjny, spokojny, nie umiał, nie potrafił rzucać się dobrowolnie w odmęt... A jeśli pragnął wielkiego wzruszenia, jeśli pożądał czegoś, co wstrząsa — to nie szukał i nie zdobywał tego, lecz czekał. Wpatrzony uporczywie w wibrującą koło niego rzeczywistość, zasłuchany w odgłosy życia, wyglądał czasem z niepokojem, czy to wielkie wzruszenie się nie zjawia, lecz oczy jego pozostawały wtedy zawsze szeroko rozwartemi, a na twarzy nie zadrgał zwykle ani jeden muskuł... Garnął się do czegoś i zarazem był sztywny. Chciał głębi, któraby

http://rcin.org.pl

go pociągnęła, a nie wiedział, że czasami trzeba umieć spojrzeć w taką głębię i przenikliwie określić, jaką ona jest.

Dręczony niepokojem, zaczął odbywać długie włóczęgi po zagranicy. Zachwycały go najwięcej dzieła sztuki tam nagromadzone, olśniewała czarowność kultury artystycznej. Lecz ani Monachium ze swemi Pinakotekami, ani Drezno ze swą galeryą, ani Paryż ze swym Luwrem i muzeami, ani inne liczne miasta ze zbiorami sztuki i swem w tej dziedzinie życiem, ani stary wreszcie, tak przedziwnie i głęboko niezwykły Rzym nie zaspokoiły choć w części jego potrzeby zainteresowania się czemś bardziej. Cząstka jego duszy była wrażliwa na to piękno, lecz co miało poruszyć cały ten drugi jej odłam, który jakby pustką wionął? I jakby potrzebą jakąś naglony, począł się oglądać za tem, co miało mu w tę inną część duszy ciepło wielkie wlać... Bo czuł, że coś, choć jedno i jakiekolwiek, przejść przez życie ludzkie powinno, coś, co zostawia wrażenie i daje tyle wspomnień...

A ponieważ wiedział dobrze, że nic, co «nie jest z tego świata», nie rozpłomieni go do tyla, by miało mu dać to ogromne wrażenie, więc stosunkowo rychło zrozumiał, iż tem może i napewno będzie dla niego miłość serdeczna, prawdziwa.

Bo długo już, choć nieświadomie, tliło w nim

http://rcin.org.pl

zarzewie tego samopoznania, aż rozjaśniło się ogniem jasnym. W duszy swojej i sercu uczuwał jak miliony pustkę i jak miliony bezwiednie tęsknił... Zrozumiał, że i on, t. zw. filister, musi czemś zapełnić sobie życie, sięgnąć po taką gwiazdę choćby, która się miłością kobiety nazywa. Tylko nie wiedział zupełnie dobrze, czy taką gwiazdę znajdzie i czy mu ona da to słodko-spokojne światło, o jakiem już coraz częściej i gorączkowo marzyć zaczął...

Tak, nie wiedział. Mógł z podniesionem czołem powiedzieć, że serca nie zbrukał, ani duszy skalał... Nie miał na sumieniu żadnej niedoli kobiecej, ani nie okłamywał nigdy nikogo. Jeżeli zaś był wtajemniczonym w quasi-miłość, to dały mu ją poznać istoty, które lubiły wyłącznie jego kieszeń. Dlatego też ta jasna, ta inna, ta tak pełna wymarzonego uroku, że aż prawie mistyczna — prawdziwa, świetlana miłość była dla niego jakby zagadką...

Więc demon tęsknoty zaczął targać nim i gnieść go bezlitośnie i brutalnie. Bo Bożysławski, w którym to pożądanie zaczęło wzrastać coraz goręcej, nie chciał jednak zwątpić, że taką srebrzystą kobietę, taką *swoją* odnajdzie...

Kochaną chciał mieć, jedyną i serdeczną, którąby mu zarazem i żoną była, i siostrą, i dzieckiem... Czystą tę duszę kobiecą, będącą zwierciadłem, w którem się aniołowie przeglą-

http://rcin.org.pl

dają, tę łzę, co w perłę się zamieniwszy, sercem kobiecem nazwaną została. Niepokalanej swojej pragnął, której z dumą i szlachetną pychą oddać można honor swój, powierzyć wszystkie świętości serca — przeczystej, co samem swem tchnieniem odświeża stęchłą atmosferę życia, wiośnianej, co wiosnę w duszy budzi...

I zdawało mu się, że jeżeli wiele żąda, to dlatego, iż i on, jak każdy, szczęście swe posiąść chce. A od chwili, gdy choć częściowo pozbył się swej bierności duchowej, gdy doszedł do jasnego samopoznania, że za kochaną kobietą tęskni, od tej chwili przeczuł, że tam gdzieś muszą jednak takie drogie dziewczyny istnieć...

To też z niepokojem oglądał się wokoło, podobny do tego człowieka, który, wyciągnąwszy spragnione ręce przed siebie, głosem pełnym modlitwy woła: przyjdź!...

Czuł, jak pospolite i małostkowe życie ludzkie w niczem do tego podobnem nie jest, co nieraz się w duszy wyśni, co czasem tworzy się bezwiednie... Widział, jak owe liczne kobiety, które spotykał i które znał, odbiegały od mglistego choćby typu tej, uczynionej przez niego. Ale też nie zniechęcał się tem, bo odgadywał trafnie, iż ziarno w plewie zrzadka znaleźć można. Niecierpliwiło go jedno: że plew tych tak dużo...

http://rcin.org.pl

A nie był bynajmniej człowiekiem, który «uczuł potrzebę ożenienia się» jedynie. Nie, on chciał tylko tej istoty, z którą tak dobrze, tak strasznie dobrze jest pójść przez dalsze życie ręka w rękę, serce w serce, dusza w duszę, tej najbliższej i najlepszej...

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Bożysławski się wzdrygnął...

I znalazł taką!

. . . . . .

Znalazł ją. Była przystojną, niektórzy mówili nawet, że ładną, pochodziła z dobrej, podobno nawet bardzo dobrej rodziny, miała, jak to wszyscy o tem wiedzieli, duży posag, przytem dosyć powabne kształty, włosy trochę rudawe, takie właśnie, które «działają», a oczy dziwne i wcale nawet niezwyczajne... Umiała niemi patrzeć, patrzeć tak, jak potrzeba. Ręce jej mogły się podobać, stopy również...

Znalazł ją, Łucyę. Była więc tą srebrzystą, świetlaną, była tą wymarzoną, o której śnił... Czuł doskonale, że marzenia mają swoją granicę i że nawet w tej promiennej, w tej *kobiecie,* której pragnął każdym fibrem swych nerwów, każdym odruchem myśli, znajdą się pewnie ludzkie ułomności. Na to był przygotowanym, bo nie był ostatecznie dzieckiem. Ale o tej,

http://rcin.org.pl

która miała się stać jego, myślał jakoś inaczej...

. . . . . .

. . . . . .

Córka znanego w Warszawie bogacza... Rodzice jej prowadzili dom elegancki, wystawny... Ona sama tańczyła dosyć dobrze i doskonale prowadziła interesującą rozmowę w salonach...

. . . . . .

To jest ta jego, z którą pójdzie przez życie...

I nastąpi dzień pierwszy, drugi, dziesiąty, nastąpi tysiączny, a on będzie zawsze z nią, z nią, z nią...

Ona to uczyni dom jego domem spokoju i szczęsnego zacisza, ona ukoi go nieraz i rozżalonemu szeptać będzie słowa pociechy... Jej czysta kobieca łza zleje się z jego męską łzą, by potoczyć się cicho daleko... W jej sercu zbuduje ołtarz swój...

. . . . . .

. . . . . .

Siedział. Głowę ogarnął rękoma, palce wcisnął w skronie... Usta jego wykrzywił spazm, policzki mu drgały. Z powietrza, hen gdzieś zewsząd, spływała ku niemu martwa jakaś i złowroga cisza, nozdrza wyczuwały grobową jakby wilgoć...

Dlaczegóż nie ma o tem myśleć? Wszak myślał już tyle! Jeden raz więcej — nic ponad to!

http://rcin.org.pl

I tam gdzieś indziej, tam daleko od Łucyi, zobaczył oczyma duszy inną słodką postać... Twarz Madonny, usta wązkie, z których zdawało się coś czarownego spływać, głękokie jasne spojrzenie, blade, zawsze smutne czoło... Nie patrzał na nieprzeparty urok fizyczny tej dziewczyny tylko. Była dla niego tak przeczystą zawsze, że nie potrafiłby nigdy pokalać jej niziskiem spojrzeniem, o tem mógł z podniesionem czołem i z czystem sercem powiedzieć. Była tak przedziwnie dobrą i kobiecą, że słodycz i ukojenie szły od niej jakby odruchowo. W jej obecności niebo wydawało się przezroczniejszem, powietrze więcej ożywczem. Była, zda się, źródłem wszystkiego, co dobre i szlachetne.

Ta droga, ta najdroższa Zenia...

. . . . . .

Ubiegłe miesiące zimowe spędził właśnie w Warszawie. W wirze życia towarzyskiego stykał się z różnymi ludźmi, spotkał też i ją, Łucyę. Znał ją już zresztą dawniej, z Ostendy jeszcze, gdzie dwa lata temu z rodzicami bawiła. Już wtedy uderzyło go w niej coś wyzywającego i dała mu do myślenia dziwnemi i gorącemi spojrzeniami, któremi go zawsze ogarniała... On przyjmował to chłodno, z pewną nawet surowością. Nie uczyniła jednak nic niestosownego nigdy.

Później stracił ją z oczu, aż kiedyś na jednym

http://rcin.org.pl

z prywatnych balów spotkał ją w Warszawie. Nawiązała się rozmowa, wspomniano mimochodem Ostendę... Spotkał ją następnie jeszcze parę razy, a jeden z jego i ich znajomych wymógł na nim wizytę w tym domu. Sam nie wiedział, dlaczego to uczynił, pewnie dlatego, że ten dom i ta panna byli mu najzupełniej obojętni.

I oto, zapraszany uprzejmie przez jej rodziców, a i przez nią także, zaczął bywać coraz częściej... Później w lecie oni pojechali do Nauheimu i tam znowu spotkał się z nimi wypadkiem. Łucya stała się złym jego duchem: czuł, że ciemna burza zawisa nad nim, że ta kobieta będzie jego nieszczęściem... Wspólny pobyt u wód zbliżył ich zanadto i tam właśnie wydarzyła się owa rzecz, od której wolałby wszystko, choćby najgorsze...

Bo tej dziewczyny nie kochał, nie czuł dla niej nic. Była dla niego, jak głaz, jak coś niesłychanie obojętnego, bezdennie obcego... Jak pustka, jak ciemność...

Gdyby mu kto był przedtem powiedział: oświadcz się jej i uczyń ją swą żoną — wzruszyłby tylko ramionami. Gdyby chciał wmówić w niego, że w tej kobiecie jest choć drobna cząstka tego wszystkiego, o czem on marzył — poczytałby go za głupca lub waryata. A teraz — ha, ha! Teraz może on sam będzie to wmawiał w siebie!

http://rcin.org.pl

Oświadczył jej się na drugi dzień zaraz i został przyjęty. Łucya była małostkową, była ładną lalką tylko, lekkomyślną, ale nie była z gruntu zepsutą. Nie chciała nawet z początku go wiązać, choć drżała na samo wspomnienie tego, co uczyniła. Tem bardziej on postanowił spełnić swój obowiązek i spełnić go natychmiast. Został jej narzeczonym.

. . . . . .

I pamiętał swój początkowy bezwład, przerywany wybuchami goryczy. Pamiętał swoją późniejszą obojętność i sztuczne pogodzenie się z losem, wmawianie w siebie, że to było jego fatum, że głupcy tylko sądzą, iż można znaleźć w życiu kobietę-lilię, taką kobietę, o jakiej on marzył, dziewczynę z sercem i duszą, nieskalaną... Ale później przyszło jakieś głuche, dzikie uczucie buntu: za co, dlaczego? Do szaleństwa nieledwie, z całą mocą ukrywanego, doprowadzały go czułość Łucyi i jej quasi-miłość.

Rozpacz porywała go na myśl, że za jedną minutę szału będzie, musi tak ciężko pokutować, że z tą kobietą podzieli życie... A choć myślą, duszą i sercem odpychał ją ciągle precz od siebie — to jednak wiedział niezłomnie, że do niej i tylko do niej należy!

Siedzieli w Nauheimie, z nim razem dopiero chcieli do Warszawy wracać. Lecz on nie mógł tam z nimi wytrzymać, dusił się... Ślub nazna-

http://rcin.org.pl

czono na zimę, on wyjechał do kraju, niby dla urządzenia domu w Nabolewie i poczynienia wszystkich niezbędnych przygotowań, w rzeczywistości zaś, by wyrwać się stamtąd jak najprędzej, by być choć kilka tygodni samotnym — za wszelką cenę.

Jechał, ogarnięty dziką jakąś zmartwiałością i takim też do Nabolewa przybył. Pragnął się zagłuszyć, później nie próbował się już łudzić. Gniótł w sobie zmorę, która go szarpała, milczał... Stryjence Joannie nie wspomniał nawet o zmianie, jaka zajść w jego życiu miała... Po co?

A tam właśnie w Zalesińcach poznał Zenię.

Poznał ją, Zenię Tolchowiczównę, i ukochał bezgraniczną, bezbrzeżną, rozszalałą w swej sile miłością. Pokochał ją całem swem nieobjętem pragnieniem miłości, które, jak mękę, nosił w sobie tak długo, całą mocą wszystkich swych lepszych porywów, wszystkich najczystszych, najgłębszych i najświętszych uczuć...

A ona, zdaje się, pokochała go także...

. . . . . .

Stryjenka Joanna pragnęła skrycie tego związku, to było widoczne. Zenię poznała niedawno, rok temu, u rodziców jej w Sandomierskiem, ale polubiła ją gorąco, oceniwszy pewnie prędko niezwykłe jej zalety serca i umysłu. Nie «łowiła» go jednak dla Zeni, o tem mógł

http://rcin.org.pl

się przekonać choćby z tego, że zaprosiła ją do Zalesiniec w porze, gdy on w żadnym razie w Nabolewie bawić nie miał. Przyjechał wcześniej i niespodziewanie, a stryjenka ani odgadywała przyczyny...

Zenia zresztą sama za dumna i za uczciwa była na to, by w takie wyrachowania bawić się miała. Lecz stryjenka, w której ta myśl, to gorące nawet, choć nie wyjawione nigdy ani słowem życzenie, zrodziły się przy wzajemnem — jego i Zeni — zapoznaniu się i zbliżeniu dopiero, nie wiedziała biedna, że on jest już skuty na zawsze...

A tak pamięta tę chwilę, kiedy ją po raz pierwszy ujrzał, gdy stryjenka Joanna z zdziwieniem życzliwem po raz dziesiąty chyba o przyczynę niespodziewanego przyjazdu pytając, przedstawiała go jej: mój synowiec, Edward Bożysławski. Pamięta, że z Zenią, choć tak mało jej znany, długo, długo tego wieczoru rozmawiał i że mówił z jakąś rozkoszą niezwykłą... Pamięta, jak te czyste wązkie usta poruszały się lekko, jak z nich płynęła czarowna jakby melodya... I przypomina sobie, z jakim bólem z Zalesiniec wtedy odjechał, jak mu ciemno i głucho było w wielkim dworze w Nabolewie...

I później był raz znowu jeszcze. Zenia wyszła gdzieś w pole, zastał tylko stryjenkę. Tak mu było dziwnie, nieprzyjemnie... Mimowoli spo-

http://rcin.org.pl

glądał wciąż przed siebie, czy nie ujrzy wysmukłej wysokiej sylwetki... A stryjenka opowiadała o niej, o ich domu, o jej rodzicach... On słuchał, słuchał.

Z taką serdecznością opowiadała o niej, z takiem ciepłem. I dowiedział się wtedy, że Zenia bawi w Zalesińcach już miesiąc i że zabawi jeszcze dwa. A później jedzie do Paryża do wujowstwa.

Stryjenka była ogromnie uradowana pobytem Zeni w Zalesińcach. Uderzyło go zdanie stryjenki: «z tą dziewczyną żyje się szerzej, pełniej...» W owych słowach tkwiło, zda się, wyjaśnienie ogromnego uroku, jaki Zenia na wszystkich podobno wywierała.

Dowiedział się również, że była najstarszą z rodzeństwa i nad wszystko umiłowanem dzieckiem pana Tolchowicza, człowieka prawego, zacnego. Była tą dobrą, jasną, która nietylko dzieckiem, ale i powiernikiem i przyjacielem najlepszym być potrafi. W szeregu innych zapamiętał jeszcze jedno: dwa razy oświadczano się Zeni i dwa razy odmówiła. Nie kochała podobno.

W trakcie tej rozmowy nadeszła ona. Była cała zaróżowiona, zachodzące słońce złociło ją łagodnie. Stanęła smukła, powiewna, z prostotą podała mu rękę. Zdało mu się, że ją zna dawno, dobrze.

http://rcin.org.pl

Z goryczą wspomniał wówczas Łucyę. Nawet pod względem fizycznym była biegunową antytezą Zeni.

Nie bawił tego dnia długo w Zalesińcach, choć znowu utonął prawie w rozmowie z Zenią. Poprostu zląkł się: czuł, jak bardzo zaczyna lgnąć do tej dziewczyny i jak w nim pożądanie jej obecności wzrasta. Postanowił przełamać to w sobie, zdusić. Pożegnał się dosyć spiesznie i wrócił do Nabolewa.

Długo w noc przesiedział wtedy u siebie, rozmyślając ciężko, gorączkowo. I przyszedł do przekonania, że w Zalesińcach już więcej być nie powinien, że musi z Nabolewa wyjechać. Odpychał od siebie myśl, by do tej słodkiej dziewczyny serdeczniej zbliżyć się można, by wolno ją było przygarnąć duchowo ku sobie i tkliwszymi więzami splątać. Więc choć za pierwszym zaraz razem uczyniła na nim wrażenie tak głębokie i wielkie — odganiał tę marę całym wysiłkiem woli od siebie jak najdalej...

Następnego dnia zaraz kazał spakować najniezbędniejsze rzeczy, zdecydowawszy się na wyjazd natychmiastowy. Gdy jednak powóz zajechał, a on wspomniał, że naprawdę ma wyjechać i może już nie ujrzeć więcej Zeni, zesztywniał jakby z osłupienia. Patrzał machinalnie na wysmukły faetonik i kopiące niecierpliwie przy podjeździe konie, które, zda się, rade były

http://rcin.org.pl

ponieść go jak najprędzej do stacyi kolejowej, skąd łatwo już dojechać mógł do samego Nauheimu chociażby, do Łucyi...

I konie wróciły do stajni: nie pojechał. Cały tydzień jednak omijał jak najstaranniej Zalesińce, z jakimś uporem głusząc samego siebie... Chodził i jeździł w pole, wydawał rozkazy, dozorował, spierał się nawet z chłopami. Mimowoli przypominał sobie odległe czasy praktyki u Naworskiego w Tomachniewicach, gdzie z wielką chęcią «zabijał się» poprostu pracą. Miał uczucie, że zagłębia się w mroczną jakąś i pospolitą studnię, na której dnie topią się wszystkie bezwładności, apatye i bóle życia...

Ale po tygodniu dostał liścik od stryjenki. Pytała: «co się z tobą, chłopcze, dzieje, czemu nie przyjeżdasz i nie pogadasz ze mną?... Panna Tolchowiczówna wspominała z wielką przychylnością i życzliwością o tobie. Przyjedź, będzie nam wszystkim trojgu weselej...»

Długo trzymał ten list w ręce, wczytując się chciwie w ustęp o Zeni. Jakaś szalona tęsknota, dławiona przez niego samego tak silnie, zatargała nim znowu. Poczuł niezwalczoną chęć ujrzenia Zeni ponownie.

Raz tylko jeszcze... A później już odjedzie, odjedzie napewno...

Jak zdrój ożywczy na oazie pociągała go,

http://rcin.org.pl

zmęczonego obłudą i mirażami życia podróżnika, ta przeczysta dziewczyna...

I dlatego nie może się wahać. Raz jeden jeszcze chce, pragnie, musi ją zobaczyć.

Pojechał. A potem zapamiętał się i nie miał już siły spełnić danej sobie obietnicy. Pojechał znowu raz i drugi, a potem jeździł coraz częściej. I zapomniał o wszystkiem, nie chciał pamiętać o niczem. Widmo Łucyi stawało mu czasami przed oczyma, ale odpychał je z nienawiścią od siebie, odwracał się od niego ze wstrętem. Z złym uporem dążył tam, gdzie rozjaśniały się jego serce i dusza, z drżeniem i ponurą rozkoszą wchłaniał swe bezmiernie bolesne ukojenie, swoje ciemne szczęście...

. . . . . .

I nie powiedział jej, że należy do innej, że nie jest wolnym. Nie spełnił uczciwego obowiązku względem istoty, dla której jednak gotów był teraz oddać krew, ciało, mózg, pójść w piekło...

Tak strasznie odpychał to od siebie, tak przeraźliwie bał się tego... I widział, że ona, ta najdroższa, nigdy, ani na jedno mgnienie, nie posądzała go o nic złego...

Żenia ukochana... Taka dobra, słodka i łagodna, kobieta z duszą. A obok tej duszy zarzyło się w niej serce, będące niem nietylko

http://rcin.org.pl

z swej nazwy... To wszystko zaś oświecał umysł wykształcony i podniosły...

Wierzył, chciał wierzyć i przedtem, że takie, choć nieliczne, kobiety są na świecie. A teraz on sam oto spotkał podobną, do której konwulsyjnie wyciągały mu się ręce, którąby z niewyrażoną radością i szczęściem chciał zabrać na swą wieczną własność i nie może, nie wolno mu za nic, za nic!

Więc oszałamiał się z dziką jakąś chęcią. Czuł, że postępuje względem niej niegodnie, a względem siebie zabójczo, ale nie miał już siły się cofać... Z dobrowolną ślepą zaciekłością szedł w otchłań.

Bo ileż z nią wieczorów przegwarzył, ile dni razem spędził! Stał się prawie domownikiem w Zalesińcach, w Nabolewie zwykle noce jedynie spędzając. I tylko miał jedno pragnienie: być z nią wszędzie, zawsze...

Widział, że po bliższem ich wzajemnem i serdeczniejszem poznaniu się i ona zaczyna lgnąć do niego, że instynktownie szuka go koło siebie... Czuł się lepszym w tym czystym stosunku do niej, żadna myśl brudna, żadne gminne pragnienie nie zamąciło umysłu jego, nie skalało spojrzenia, którem ogarniał śliczną jej postać... Opowiadał jej o swem dzieciństwie, o latach dojrzalszych, o tem, co przeżył, co widział i przemyślał... Mówił szczerze i nie podawał się

http://rcin.org.pl

za lepszego, niż był nim w istocie, słuchał, co ona mówiła... Tylko o wstrętnym epizodzie swego życia milczał, milczał z uporem zaciekłym, nie wspomniawszy nigdy ani słowem o Łucyi... Jakaś odraza i ból, i gorycz, i nienawiść, i strach obezwładniały mu i zamykały usta.

I słuchał znowu, bo ona coś opowiadała. A słuchał z takiem skupieniem, z takiem pragnieniem słuchania, że z nią był wtedy tylko i przy niej. Jak cichy cudny powiew biegły jej słowa i rozpływały się melodyą dziwną... Tak właśnie, nie inaczej, drga w tęskny wieczór letni czemś nieuchwytnem przestworze, zlewając w jedną całość dźwięki, tworzące muzykę... Zmysły jego usypiały... Patrzał na prześliczną twarz Zeni, poił się artyzmem jej kształtów i odczuwał tylko harmonię... W jej przepięknem ciele szukał chciwie serca i duszy i odnajdywał je.

Nieraz pragnienie szalone porywało go, by paść przed tą kochaną kobietą na kolana i wymodlić ją dla siebie, zabrać... Powiedzieć jej, jak ją bez granic umiłował, jak mu się drogą stała, z jaką radosną chęcią podzieliłby z nią życie... Lecz wtedy stawała mu w oczach postać Łucyi ze swymi krągłymi, wydatnymi kształtami, z jakimś zmysłowym na ustach uśmiechem, postać dobrze tańczącej i doskonale prowadzącej banalną rozmowę panny, kobiety

http://rcin.org.pl

pospolitej i szablonowej, jego narzeczonej. Piołunowa gorycz wykrzywiała mu usta, wzrok gasł. Mrok słał się przed nim...

Aż oto dzisiaj rano właśnie, po dwóch dniach nieobecności w Zalesińcach, otrzymał list od stryjenki, który sprawił na nim wrażenie mrożące, list, który go oprzytomnił. Zenia odjeżdża — wirowało mu w mózgu, choć mógł to przecież przewidzieć, słysząc o terminie wyjazdu dość często. Starał się jednak o tem nie myśleć, odpychał to od siebie... Lecz teraz daremnem było wszelkie łudzenie się i oszałamianie... To, co się stać miało, stało się.

I wie, że dzieje się straszna jakaś krzywda. Bo i jakże tu będzie bez tej Zeni, do której on duszą i sercem należy, jak żyć będzie bez niej i czy wogóle tak żyć może?

Wczoraj otrzymał list od Łucyi. Dopominała się o częstszą korespondencyę i zapytywała, jak dalece postąpiło urządzenie przyszłego ich «gniazdka» Nabolewskiego... Ma więc odpowiedź na swój ból i rozpacz, na wszystko, co w nim wiadomość od stryjenki z nową siłą rozbudziła...

A Zenia? Może już oddawna oczekiwała od niego słowa drogiego, instynktem kobiety, która pokochała, pragnąc je usłyszeć. Może serce jej drżało tak samo, jak drżało jego serce, może myślała, że on przyjdzie do niej i powie jej:

http://rcin.org.pl

weź mnie na wieki! Może niepokój bolesny ogarniał ją na myśl, czy on to wymówi, a skromność dziewicza i szlachetna delikatność kobieca nie pozwalały jej dać poznać tego po sobie...

. . . . . .

Wcisnął głowę z całej mocy w dłonie. Siedział pochylony, zdrętwiały, złamany. Tak strasznie chciałby jej to powiedzieć! Życie wydałoby mu się dobrem, szlachetnem. Poszedłby przez nie jakiś odrodzony moralnie, z wiarą w owocność takiego istnienia. Stworzyłby sobie cel w daniu szczęścia tej kobiecie, a gdyby los pobłogosławił ich dzieciątkiem, wychowaliby je wspólnie na człowieka-obywatela. Słońce zajaśniałoby dla niego i błękit roztoczyłby się nad nim. Z chciwością wchłaniałby to, coby mu orzeźwienie niosło, piłby z źródła, które moc daje. Przy świętem ognisku, którego ona byłaby kapłanką, znalazłby ukojenie i podnietę do wszystkiego, co dobre, wzniosłe i czyste...

A teraz... Nie będzie jej tu już jutro, nie będzie nigdy i zniknie dla niego, jak miraż szczęścia, które on mógł posiąść... Nie może, nie wolno mu sięgać po to szczęście, byłby podłym. I tak postępował niegodnie...

Nagle dreszcz przeszył go. Zdało mu się, że usłyszał czyjś łagodny głos: «pan przyjechał, panie Edwardzie?» Podniósł głowę i spojrzał

http://rcin.org.pl

przed siebie: przed nim stała Zenia Tolchowiczówna.

* * *

Wstał pospiesznie, nerwowym ruchem jakby otrząsając się od huraganu myśli, który przed chwilą huczał mu w głowie. Drgnął przy uścisku białej wązkiej jej ręki, ogarnął ją bezbrzeżnie bolesnem spojrzeniem...

A nią szarpał jakiś dziwny, dojmujący niepokój. Jutro już oto miała wyjechać, musi wyjechać... Gdy dano jej znać, że Bożysławski przyjechał — serce zabiło w niej gwałtownie.

Nie wiedziała o liście pani Joanny.

Milczała, czując, jak ciężko byłoby jej cośkolwiek teraz powiedzieć. On stał, jak skamieniały. Wreszcie się odezwała:

— Nie wiedziałyśmy o pańskim przyjeździe. Nie zajechał pan przed ganek...

— Zostawiłem konie przed stajnią. Jacyś interesanci są podobno we dworze?... W parku siedziałem...

Chciał się uśmiechnąć, grymas tylko wykrzywił mu wargi.

— Pani Joanna za chwilę ułatwi się z nimi. Przybyli może przed godziną. Przyszłam, by poprosić pana osobiście do dworu.

Blade światło rozjaśniło jej oczy.

— Dziękuję pani bardzo — rzekł cicho.

http://rcin.org.pl

Stał, pochyliwszy głowę. Chciał patrzeć na nią, patrzeć aż do zapamiętania się, bez granic, nie śmiał jednak. Ból, wstyd, cierpienie — oszałamiały go... Miał uczucie, jakby go tysiącami ostrzy przeszywano, jakby w nim ostatnia struna, łącząca go z życiem, pęknąć miała... — Precz stąd, oszuście! — wyło mu coś nagle w duszy powstałego — precz, kochanku Łucyi, precz choć teraz! — Twarz pomarszczyła mu się, wzrok wbił w ziemię.

— Pani wyjeżdża? — wykrztusił.

— Tak...

— Do Paryża?

— Tak...

Zdjął kapelusz, przegarnął włosy rękoma. Czuł, że go coś dławi w gardle, że piersią jego zaczyna targać jakiś spazm... Zacisnął dłoń kurczowo.

— Więc pani jutro wyjeżdża? — pytał po raz drugi, aby coś powiedzieć, aby nie milczeć.— Do wujowstwa?

Lecz nagle jakby się coś w nim przełamało, jakby tama, powstrzymująca w nim wylew tego wszystkiego, co przemyślał i co przecierpiał, się zerwała, bo zaczął mówić szybko, błędnie:

— Pani wie, ja tu przyjechałem, by zobaczyć panią... Ja chciałem, musiałem panią zobaczyć!... Ja nie mogłem wyrzec się ujrzenia pani!...

http://rcin.org.pl

Ona stała cicha, z głową pochyloną, niema. Czarne jej cudne włosy mieniły się barwą jakby fioletu, śnieżnej białości twarz przypominała puch łabędzi...

Patrzał na nią rozbłysłym, gorzejącym wzrokiem. Chwilę jakby walczył z sobą, jakby się pasował. Przełamał się jednak.

— Nikczemny jestem — rzekł gorączkowo — pani wie, nikczemny? Może mnie pani brała za człowieka uczciwego, prawego? Ja chciałem już dawno wyjechać, — nie mogłem! Tak mnie coś strasznie przykuwało tu, ciągnęło... A ja mam... narzeczoną, narzeczoną!... Pisała do mnie nawet, pytała, czy nasze «gniazdko» Nabolewskie już gotowe... Nie chciałem myśleć o niej, chciałem się w niepamięć zamienić... Pragnie, by nasz ślub odbył się jak najprędzej, by mogła mi dać szczęście... Pani wie — szczęście, to jedno słowo *szczęście* — takie przerażająco radosne i takie straszne zarazem! Będę, muszę być z nią szczęśliwym, muszę się z nią ożenić... I choć siedziałem w Nabolewie, to jednak wiedziałem, że się z nią połączę... Bo i jakże ja mogę inaczej postąpić, jak, panno Zenejdo? Odpychałem ją od siebie, odwracałem się od niej, przeklinałem ją, przepędzałem precz od siebie jak najdalej — z oczu, mózgu i duszy, a ona powracała zawsze, jak upiór i jak upiór wżerała się we mnie... Łucya — pani wie, ta dobrze tańcząca i dobrze

http://rcin.org.pl

flirtująca panna, moja narzeczona. Bo ona — kończył jakimś prawie chrapliwym głosem — mnie kocha, kocha!

Zenia stała nieruchoma, wpatrując się z odrętwieniem w oszołomionego bólem Bożysławskiego. Jej głębokie jak toń oczy miały wyraz halucynacyjny, biała twarz pokryła się lekkim niezdrowym rumieńcem. Ręce opuściła bezwładnie, wargi rozchyliła...

A on wpił w nią swój pełen niewyrażonej męki wzrok i patrzał na nią, jakby obrazem jej chciał nasycić duszę swą na wieki... Lecz nagle podszedł do niej szybko i głosem rozpacznym, złamanym rzekł:

— Tylko jedną, tylko panią ukochałem bez granic, bez granic! Do szaleństwa, całą duszą i sercem, wszystkiem, co może być w człowieku najlepszego i najczystszego... O pani myślałem, jak o źródle światła, które rozjaśnia życie, pani jest tą nieskalaną, świętą i serdeczną, co sercem i umysłem przykuwa do siebie na wieki, w pani jest to wszystko, co uczyniłoby dla mnie życie celowem i czarownem, gdyby mi wolno było sięgnąć po to szczęście!.. Tak strasznie cierpię... Panno Zenejdo, Zeniu!...

Zenia patrzała w przestrzeń, w wzroku jej była martwota... Przy ostatnich słowach Bożysławskiego wzdrygnęła się lekko, jak człowiek, spostrzegający przepaść, w którą się stoczyć

http://rcin.org.pl

musi. Złowieszcza cisza i nieukojony smutek parku zdawały się ogarniać ich coraz więcej, straszna, bezdenna melancholia natury zlewała się z śmiertelną goryczą ich dusz...

Nagle spojrzeli w stronę: gdzieś niedaleko rozległ się wesoły głos stryjenki. Szła uśmiechnięta beztroskliwie, dając im jakieś przyjazne znaki ręką. Była przekonaną; że Bożysławski uczynił nareszcie krok, którego sobie tak gorąco w głębi duszy życzyła, że oświadczył się Zeni... Spieszyła, by być świadkiem radosnego wzruszenia obojga, by ich pobłogosławić. Chciała złożyć im najserdeczniejsze swe życzenia dozgonnego szczęścia i cieszyło ją niewymownie, że może to uczynić...

Berlin—Warszawa. 1900 r.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

PANNA STASIA

Wesoły szkic bez najmniejszej pretensyi

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Czy znacie pannę Stasię, tę wesołą, filuterną pannę Stasię?

Znacie ją chyba i dlatego napewno nie będzie wam obojętnem usłyszeć parę słów o niej, coś z tego, co panna Stasia mówi, zamierza i... czyni. Na użytek zaś tych, którzy nie mieli szczęścia widzieć nigdy panny Stasi (bo i tacy barbarzyńcy pewnie się znajdą) powiem, że panna Stasia jest dość wysoką dziewiętnastoletnią blondyną (panna Stasia gotowa mnie ukamienować za to wydawanie jej z lat), o oczach niezbyt dużych, świdrujących i bardzo wesołych, nosku strasznie ciekawym i ustach wcale ponętnych... Panna Stasia nie lubi komplimentów, to też ograniczam się zawsze na niemem wyrażaniu jej mego przekonania, że jest bardzo niczego osóbką... No, ale gdy zapomnę w zapale o tem, to wtedy pozwalam sobie: pani, panno Stasiu, jest eteryczną i podobłoczną (wedle wyrażenia krakowskich dekadentów)...

Panna Stasia się śmieje:

http://rcin.org.pl

— Co, ja eteryczna, ja podobłoczna? Pan jest zabawnym, panie Janku!

Rzeczywiście, jestem zabawnym. Panna Stasia bynajmniej nie rości pretensyi do podobłoczności, chętnie chodzi po ziemi i nie liczy gwiazd na niebie... Fizycznie zaś jest pełną blondynką, o ruchach jakby cokolwiek omdlałych...

Ja zaś staram się, że to jestem w stosunku do niewiast zmienny jak kameleon, wpadać odrazu w drugą ostateczność i mówię:

— Nie, pani jest za pełną, panno Stasiu!

Czuję, że kłamię najbezczelniej, bo panna Stasia jest właśnie «w sam raz». Ale co mi to szkodzi podrażnić trochę pannę Stasię!

Patrzy na mnie zakłopotana, prawie zasmucona:

— Doprawdy, panie Janku? Tak, może pan i ma racyę... Ach, jakże chciałabym schudnąć!

— Niech pani pości...

— Dziękuję!

— To niech się pani kocha...

— Także dziękuję!

— Więc co?

— Więc nic!

Wzdycha, siada na foteliku i zamyśla się.

— Panno Stasiu — odzywam się po chwili — i pani wierzy tak wszystkiemu, co ja mówię? Nie spodziewałem się tego po pani!

— Więc jakże? — zapytuje zdziwiona.

http://rcin.org.pl

— A tak, że nie można być równie łatwowierną i brać wszystko, szczególniej odemnie, za dobrą monetę. Ja jestem...

— Blagier! — rzuca mi, rozgniewana moją bezczelnością, panna Stasia.

— O tak dosadnem określeniu właściwie nie myślałem... Ale jeżeli się pani podoba... Dla pani zresztą, panno Stasiu, mogę zostać nawet czemś, czemś już najgorszem!

— No, czem? — zapytuje zaintrygowana.

— Hakatystą! — rzucam ponuro.

— Doskonale! — śmieje się. — A tymczasem proszę mi, przyszły panie hakatysto, przynieść ten szalik, co leży na kozetce, bo mi zimno!

Panna Stasia jest ogromnie wesoła i ogromnie rezolutna. Ha, takiej ciętej panny nie spotkasz na każdym kroku! To też chłopcy boją jej się. — Panna Stanisława? Panna Stanisława «zjeździła» mnie raz tak, że aż strach! — przyznał mi się kiedyś któryś. — Z panną Stanisławą nie zaczynaj byle jak!

Ma racyę. Swoją drogą pomyślałem, że jest niedołęgą. Na sposób jest sposób i oto, gdy panna Stasia ostrzy na mnie ząbki, ja też swoich kiełków w spokoju nie zostawiam i puszczam języczek w obrót... Ha, ha, to dobre! Lubię pannę Stasię, lubię, gdy mnie masakruje, ale to nie przyczyna jeszcze, bym znosił wszystko

http://rcin.org.pl

z pokorą.... Czasem się nawet sprzeczamy: — «Och, panno Stasiu, pani jest okrutną!» — «A pan, panie Janku, nieznośny!»

Dobrze, będę nieznośny. I na złość, panno Stasiu, pokażę ci, że umiem być naprawdę nieznośnym!

Pewnego razu spotykam pannę Stasię na ulicy. Widzę, że jest przejętą czemś. Filuterne oczy jakoś podniecone, buzia wyraża zakłopotanie. Kłaniam się ogromnie elegancko, podchodzę:

— Moje uszanowanie, panno Stasiu! Czy wolno wiedzieć, gdzie pani dąży?

— Ach, to pan! Dobrze, że pan mi się nawinął, nie, niedobrze, wcale niedobrze, niech pan sobie idzie!

— Cooo? — robię zdziwione oczy. — Z początku dobrze, później niedobrze, cóż to wszystko znaczy?

— Ach, nic! Jestem zajętą, bardzo zajętą... Zresztą obrzydł mi już świat.

Panna Stasia idzie przyspieszonym krokiem, ledwie mogę za nią nadążyć.

Przestraszyłem się:

— Pani obrzydł świat? To może pani myśli o samobójstwie?...

— Myślę.

— I pani się chce naprawdę zabić?

— Chcę.

http://rcin.org.pl

Skandal, daję słowo. Ta panna Stasia chce się zabijać!

Protestuję ręką:

— Nic z tego, panno Stasiu. Póki ja tu jestem, włos z głowy pomimo woli nie spadnie pani, o nie! Panno Stasiu, niech pani powie, jakie pani ma zmartwienie?

— Ach, mój Boże, czy pan mi co pomoże? Zwyczajna ciekawość przez pana przemawia... Zresztą, ja się martwię głupstwem!

— To ładnie! Taka poważna panna i głupstwami się martwi... Bardzo ładnie!

— E, niech mi pan już nie przypomina, bo naprawdę zacznę się martwić... Dotychczas martwiłam się tylko przez pół!

— I idzie o?...

— Idzie o nędzne łyżwy. W niedzielę mam być na ślizgawce i nie mogę nigdzie odpowiednich łyżew dostać... Prawda, że to może irytować?

— Może. Może nawet rozwścieczyć.

— Fe, o tem nie myślałam. Ja się tylko irytuję... A pan czasami bywa wściekły?

— Bywam. Gdy ideału swego nie widzę.

— To pan się kocha?

— Pani nie wie o tem?

— Nie wiedziałam. Przecież pan mnie poprzysiągł wierność! Może to o mnie mowa?

http://rcin.org.pl

— O, wcale nie! Kocham się w kimś zupełnie innym!

— Szczerze! — rzuca mi panna Stasia.

— Dlaczego nie mam być szczerym?

Panna Stasia udaje oburzoną:

— Przecież pan mnie poprzysiągł wierność — powtarza — przecież pan jest moim narzeczonym!

Muszę dodać, że jestem dla żartów «narzeczonym» panny Stasi i że się jej pompatycznie ze sto razy już oświadczyłem. Co mi to szkodzi!

— Więc cóż z tego? — pytam spokojnie — czy narzeczony nie może durzyć się w innej?

— Nie może.

— A to dlaczego? Dobre sobie! Ja muszę pani stanowczo oświadczyć, że kocham się w jednej bardzo miłej panience.

— Pan śmie mi to mówić?

— Śmiem. Lubię szczerość.

— Szczerość nie na miejscu. Obrzydliwy letkiewicz! Przestaję być pańską narzeczoną.

— Co to, to nie — protestuję — to dobre! Ani myślę. Ja *chcę* mieć taką narzeczoną!

— Którą się zdradza dla innych?

— Którą się zdradza... «Miłość nie sługa, nie zna co to pany», a narzeczeństwo narzeczeństwem!

— Wstrętny pan Janek!

— Nieznośna panna Stasia!

http://rcin.org.pl

— Mimoza...

— Róża żółta, jak zazdrość...

Panna Stasia czyta na szyldzie jakiegoś sklepu: «Skład wyrobów żelaznych».

— Panie Janku — mówi — przepraszam, ale ja tu wstępuję.

— Po co? — pytam z rozpaczliwą miną.

— Jakto po co? Po łyżwy!

— Ach, łyżwy — przypominam sobie — łyżwy. Panno Stasiu, ja też wstąpię!

— Nie można.

— Panno Stasiu — proszę — ja pani poradzę, dobiorę. W tylu sklepach już pani była i nic odpowiedniego znaleźć nie mogła. Ręczę, że teraz pójdzie lepiej, ale ja muszę tam być.

— O, zupełnie niepotrzebnie. Żegnam!

Lecz los mi usłużył. Oto panna Stasia nie wchodzi do sklepu, tylko patrząc gdzieś w stronę, uśmiecha się wesoło.

Spoglądam i, o dobrzy bogowie, spostrzegam nadchodzącą ku nam zamężną moją siostrę, Maniusię.

Panna Stasia uśmiecha się coraz weselej.

— Pyszne, doskonałe spotkanie! — woła, podbiegając do Maniusi — nieocenione! Jak się wujeneczka miewa?

Siostra moja jest za mężem za Frankiem, człowiekiem poważnym i statecznym, «rodzonym» wujem filuternej panny Stasi. Często

http://rcin.org.pl

śmieję się, że przez niego i ja jestem wujem panny Stasi. Panna Stasia jednak tego nie uznaje i kpi sobie z takiego jak ja wujaszka.

Siostra uśmiecha się i patrzy dobrotliwie na pannę Stasię. Wita się ze mną:

— Jak się masz, Janku? Niedobry chłopcze, tydzień już cały do nas nie zaglądasz!

— Nie mogę — bronię się. — Roboty huk, po uszy zapracowany jestem... Obowiązki! — wzdycham.

— Tak, obowiązki! — przedrzeźnia panna Stasia. — Pan Janek jak mól grzebie się w książkach, całymi dniami ślęczy... Strasznie pracowity człowiek!

— Panno Stasiu — robię jej wyrzut — pani o tem wątpi?

— O, jeszcze jak! — rzuca i bierze się do całowania zarumienionej z mrozu Maniusi.

Maniusia bada sytuacyę:

— Cóż wy tu robicie, dzieciaki? Chodźmy!

— Co znowu! — oponuję. — Mamy kupować z panną Stasią łyżwy.

— *Mamy!* — podchwytuje panna Stasia. — Ja mam tylko kupować, pan Janek się przyczepił.

— Co, co, co? — pytam.

— Ma się rozumieć. Droga wujeneczko — zwraca się do Maniusi — niech wujeneczka wstąpi ze mną, kupiemy razem. A pan Janek może iść do domu!

http://rcin.org.pl

— Ani myślę — odpowiadam oburzony — także! Pani, panno Stasiu, zdaje się zupełnie o tem zapominać, że ja jestem co do łyżew znawca. Nikt pani nie wybierze takich jak ja, nikt podobnie mnie nie oceni w lot ich wartości...

— To jest, że pan koniecznie pragnie zanudzić mnie sobą?

— Koniecznie.

Panna Stasia zwraca się do Maniusi:

— Na upór męski wszak niema lekarstwa? Niechże wujeneczka już pozwoli wejść panu Jankowi z nami!

Siostra się śmieje:

— Ależ ja nie miałam i nie mam nic przeciwko temu... To ty, Stacho, udajesz, że nie chcesz brata...

— Co, ja wujeneczko? Pan Janek jest mi zupełnie obojętnym.

Wchodzimy.

Młody subjekcik rzuca się zaraz na cały stos odpoczywających spokojnie łyżew i głosem słodkim, jak cukierek, pyta:

— Który numerek, proszę pani?

Panna Stasia czuje się zakłopotaną. Ja w myśli kiwam litościwie głową.

— Który? — odpowiada. — No, przecież pan sam powinien wiedzieć.

http://rcin.org.pl

Wysuwa z pod sukienki nogę i ukazuje mu swój warszawski bucik.

— Aha — oryentuje się subjekcik — dwudziesty czwarty, dwadzieścia cztery centymetry.

Ale panna Stasia wie już nagle «który».

— Co — oburza się — dwudziesty czwarty? Dwudziesty trzeci, mój panie!

Subjekcik płonie, spuszcza oczy.

— Przepraszam — szepce zawstydzony.

Pomału jednak odwaga wstępuje w jego serce... Z hukiem i hałasem «maltretuje» nieszczęsne łyżwy, wreszcie przynosi jakieś niezgrabne halifaxy.

— Ależ ja chcę turfów — woła zrozpaczona już nie na żarty panna Stasia.

— Turfów niema — jąka onieśmielony znów młodzieniec — są jeszcze angielki...

— Niema??

Panna Stasia wstaje i mierzy biedaka zabójczem, pełnem wyniosłości spojrzeniem. Patrzy na Maniusię: Maniusia ma minę bardzo współczującej osoby.

— Nie, ja dzisiaj widocznie nigdzie już tych łyżew nie dostanę — odzywa się panna Stasia.

Ale na szczęście ja jestem. Zbliżam się szybko do subjekcika, daję mu energiczny znak ręką, by się usunął i sam z kolei rzucam się na drzemiącą kupę łyżew.

Szukam czas jakiś. Panna Stasia spogląda

http://rcin.org.pl

na mnie lekceważąco. Po chwili wydobywam z chaosu łyżew parę eleganckich damskich... turfów i to numer dwudziesty trzeci!

Doprawdy, świetnie mi się udało. Podaję je pannie Stasi.

— Co to?

— Turfy.

— Tur...fy?

— No, tak! Turfy damskie niklowane, pierwszy gatunek, noże stalowe, numer w sam raz dwudziesty trzeci — recytuję jednym tchem, jakby najlepszy w świecie subjekt.

Młodzieniec z za kontuaru spogląda na mnie z uznaniem. Pozwalam mu podziwiać się do syta.

Teraz na mnie przyszła kolej «dogryzienia» pannie Stasi.

— A co — pytam zimno — przydała się moja obecność w tym sklepie?

Panna Stasia zaś odwraca się i mając w ręce już swe turfy (ma się rozumieć), śmieje się:

— E, i bez panaby się obeszło.

Nie, to doprawdy oburzające!

Elegancki subjekcik zbliża się szybko:

— Czego więcej potrzeba?

— Potrzeba jeszcze — odzywam się — łyżew najdoskonalszych, najwięcej do nieprzewrócenia się na lodzie się nadających... Jednem słowem — łyżew dla mnie, kochany panie.

http://rcin.org.pl

Stos łyżew trzeszczy znowu pod delikatnymi palcami eleganckiego subjekcika.

— Pan się ślizga? — pyta mnie panna Stasia.

— Jeszcze jak... Niczem eskimos!

— A te łyżwy po co pan kupuje?

— Jakto po co? Żeby się ślizgać!

— Zapewne. Tylko, że lepiejby było, gdyby się pan nie ślizgał wcale.

— Proszę, i to dlaczego?

Panna Stasia milczy. Maniusia się wtrąca:

— Stacha boi się, byś nie zechciał przyjść do «Doliny»... Nie ma ochoty z tobą się ślizgać!

Panna Stasia czerwieni się lekko:

— Co znowu, wujeneczko? Pan Janek może śmiało przyjść do «Doliny». Ja chodzę do «Wioślarzy».

— To i ja przyjdę do «Wioślarzy».

— Obejdzie się.

— Dlaczego?

— Bo ja pana nie lubię, rozumie pan? Co za nieznośny człowiek!

Ale buta wstępuje w me serce.

— Odkądże to? — pytam. — Pani zawsze przepadała za mną...

— Ach, co za zarozumialec... Niech wujeneczka da panu Jankowi za uszy!

Subjekcik podaje nam zawinięte w papier łyżwy. Płacimy i wychodzimy.

http://rcin.org.pl

— Stacha, chodź do mnie — proponuje Maniusia — mam świetne befsztyki na śniadanie i cały stos pomarańcz... Janku, chodź także!

— Ehe — myślę sobie — jutro! Poczekaj już ty, panno Stasiu!

— Jezus Marya — chwytam się za głowę — na śmierć, zupełnie zapomniałem! Co ja pocznę nieszczęśliwy? Obiecałem Kazikowi być o wpół do drugiej w jego «atelier» na pewno, a teraz już druga!

— Wielkie rzeczy — rzuca panna Stasia.

— Wierzę, dla pani, ale dla mnie, dla mnie!

— Któż to jest ten pański Kazik? — pyta ironicznie panna Stasia.

— Malarz, prawdziwy malarz, a w wolnych chwilach atleta.

— Atleta?

— No, tak. O, taki Herkules, brodacz okropny, niedźwiedź!

— I atleta?

— Straszny. Jedną ręką sześć pudów podnosi.

— No, no!

— I cóż wy tam macie robić? — zapytuje Maniusia.

— Masę rzeczy. Układamy jednodniówkę, jakiej świat jeszcze nie widział i nie zobaczy... Kolosalna!

— Taka wspaniała?

http://rcin.org.pl

— O, tak. Taka wspa...nia...ła! Żegnam panie.

— Już i tak się pan spóźnił, panie Janku. Dobrze tak panu.

— Doskonale. Gardzę sam sobą... Żegnam.

— Do widzenia. A niech pan nie przychodzi do «Wioślarzy»!

— Nie.

— I niech pan zgubi coprędzej swe łyżwy.

— Zgubię.

Wsiadłem do dorożki i kazałem się zawieźć... w Aleje na ślizgawkę. Kaźka i tak w Warszawie niema, a panna Stasia niech wie, że i bez niej można świetnie holendrować i robić ósemki na lodzie!

. . . . . .

W parę dni później znalazłem się na schodach mieszkania Maniusi. Ach, te siostry, szczególniej zamężne! Okropność doprawdy, jak częstych wizyt wymagają, a gdy wykręcasz się człowieku na wszystkie możliwe i niemożliwe sposoby, gdy chcesz «dmuchać», zasypują cię lawiną takich choćby wyrzutów: «zupełnie o mnie zapomniałeś», «przestałeś mnie uważać za siostrę», «nie chcesz już o mnie wiedzieć», «zobojętniałeś dla siostry, którą kiedyś przecież kochałeś!»

Brr! Nie, nie lubię słuchać tych zarzutów choćby dlatego, że niema w nich ani krzty prawdy. Ot, czas przechodzi niepostrzeżenie,

http://rcin.org.pl

a choć nieraz nogi same radeby ponieść — zawsze coś stanie na przeszkodzie.

Franek, ten «poczciwy frant», gdy słyszy czasami takie moje tłómaczenie się, pokręca zaraz wąs i motając go na palec, śmieje się dwuznacznie:

— Wiemy już, co to za przeszkody nie pozwalają ci być, mój Jasiu, «correct» na punkcie rodzinnym, och, wiemy! Niedarmo wczoraj uważałem, jak na Marszałkowskiej robiłeś oko do jakiejś wcale przystojnej brunetki!

— Mój Franku — oburzam się — przesadzasz. Wczoraj nawet na Marszałkowskiej nie byłem, a zresztą wiesz dobrze, że w najgorszym już razie działają na mnie tylko blondynki!

— Uhm — mruczy Franek — uhm!...

Stało się. Jak nadmieniłem, w parę dni po spotkaniu z panną Stasią i Maniusią ocknąłem się na schodach mieszkania tej ostatniej. Trzeba przecież dać znać, że się żyje i że się pamięta o najbliższych. Dzwonię. «Młodsza» otwiera. Pytam z miną uroczystą: czy państwo są w domu? — «Szą» — odpowiada i szczerzy jednocześnie do mnie dwa rzędy ostrych młodych i białych zębów.

Zabawną jest ta dziewczyna czasami!

Zdejmuję pompatycznie palto i padam w jakieś męskie objęcia, jak się domyślam Franka, gdyż w przedpokoju jest dosyć ciemnawo. Czuję

http://rcin.org.pl

niezwykle szybkie poruszenia wąsideł na mojej twarzy: to Franek mnie całuje.

— Nareszcie, ty nic dobrego, nareszcie się zdecydowałeś!

— Franku, Franeczku — nie mogłem!

— Czy znowu dama z Marsz...?

— Psst, co znowu! Imaginujesz sobie!

— No, no, nie wstydź się. Nie zdradzę cię.

— Ależ, mój Franku. Cały dzień ślęczałem nad «Znużeniem» Angela Mosso...

— I jesteś znużonym?

— Fatalnie.

Poprawiam krawat na chybił trafił, bo czuję, że się zsunął. Chcę wyjść z ciemnego przedpokoju.

— Maniusia jest? — pytam.

— Jest.

— Zajęta może?

— Bynajmniej.

— Cóż tak lakonicznie odpowiadasz?

— Cóż tak lakonicznie zapytujesz?

— Ty, ty, stary! — śmieję się. — A pamiętaj, nie wyjeżdżaj znowu tak prędko z Warszawy, bo zawsze tęsknię ogromnie za tobą!

— I dlatego, gdy jestem, przychodzisz raz na miesiąc? Znają cię dobrze, niegodziwcze!

Wchodzimy do gabinetu. Ciemno, choć oko wykol, ani sposób cośkolwiek rozpoznać. Pytam zdziwiony:

http://rcin.org.pl

— Cóż to za egipskie ciemności?

Nagle z okolicy, gdzie powinna znajdować się otomana, odzywa się głos:

— Dobry wieczór, Janku!

Jest to głos Maniusi.

— Dobry wieczór — odpowiadam. — Czy jesteś chorą, Maniusiu?

— Nie, tylko cokolwiek zmęczoną. Wybacz, że nie wstaję.

— O, co znowu! — mówię i zbliżam się, by się przywitać z siostrą. Chwytam w powietrzu dłoń jej, ale wydaje mi się jakoś zbyt pełną. Nic to — myślę — brak kłopotów, to i rączki pulchnieją!

Składam kilka siarczystych na ręce pocałunków.

Nagle odzywa się śmiech jeden, drugi, trzeci, jakimś cudownym sposobem zapala się prawie sama lampa i obok rozbawionej Maniusi spostrzegam niemniej rozweseloną... pannę Stasię.

Nie tracę jednak przytomności:

— Moje uszanowanie! Zaraz się domyśliłem, że to rączka jakiejś denerwującej rusałki... Pani pozwoli, że ja jeszcze raz...

Ale panna Stasia chowa ręce za siebie:

— Co znowu? Amator!

Trochę mię przybiła tym «amatorem». Amator! Prawda, że amator, phii, dlaczegóżby nie?

http://rcin.org.pl

Witam się z Maniusią, do panny Stasi robię «perskie oko».

— Nieprzystępna... Bogini, na Olimpie siedząca, do zwykłych śmiertelników niepodobna... Wysokopromienna, olśniewająca!...

Panna Stasia się śmieje:

— I co jeszcze? Doskonale, doskonale!

Franek sprząta z biurka swe papiery inżynierskie i odzywa się:

— Zagramy w szachy, Jasiu?

Patrzy na mnie z przymileniem, wąsidłami rusza, jak sum.

Oj, ten Franek! Za szachami w piekło do samego Lucyperaby poleciał!

Ale Maniusia protestuje:

— Mój kochany, bardzo proszę, już zostaw, nie namawiaj Janka na szachy... Pokłócicie się znowu i to będzie rezultatem gry... Bardzo cię proszę!

— Moja Maniu — mruczy Franek — że też ty zawsze we wszystkiem upatrzysz coś niedobrego? Zdaje ci się tylko, że my się z Jasiem kłócimy... My tylko tak ożywiamy sobie grę!

— Ładne ożywienie! — wtrąca się panna Stasia. — Do oczu sobie podobno skaczą i to się nazywa ożywieniem. Dziękuję za coś podobnego!

— Jak się to moja siostrzeniczka rozgadała — robi uwagę Franek.

http://rcin.org.pl

— Ma się rozumieć. Wujek zawsze powinien słuchać żony, to dobrze na tem wyjdzie!

— Fiu! — odpowiadam za Franka, podrażniony tą zalecaną względem żon uległością. — To pani, panno Stasiu, będzie próbowała tego na swoim pantoflu!

— Jeżeli się taki znajdzie — odzywa się Franek.

— Dlaczego nie? — mówi Maniusia. — Stacha będzie energiczną żoną!

Biorą się za ręce i całują — dwie sprzymierzone przyjaciółki.

— Jasiu, zagrasz? — pokazuje mi Franek zdaleka konika szachowego.

Kiwam głową, że «tak».

Franek ustawia stolik. Robi to z przejęciem i precyzyą.

Maniusia wstaje z otomany.

— Franeczku, proszę cię, nie graj.

— Moja Maniu, dlaczego? — oburza się Franek.

— Bo się pokłócicie — odpowiada z niezachwianem przekonaniem Maniusia.

Franek wzrusza ramionami, jakby chciał rzec: zabawne są te kobiety! — ja uśmiecham się wesoło.

Nagle ktoś chwyta mnie za rękę i sadza «par force» na otomanie:

— Panie Janku, słyszy pan? Jak wujenka

http://rcin.org.pl

nie pozwala, to nie można i basta! Zadnych opozycyi... Proszę bawić mnie!

Twarz moja się przedłuża:

— A jeżeli zaapeluję do pewnej osoby, w której chwilowy tylko brak bezstronności chcę wierzyć?...

Panna Stasia patrzy na mnie wyczekująco.

— ...i poproszę ją o wstawiennictwo za mną?

— To «osoba» zrobi poważne oczy, na twarz przybierze smętny uśmiech i powie raz jeszcze, ale w formie łagodnej: nie można, dzidzi, nie można, bo to «be»!

— Czy i włosy przygładzi?

— Owszem...

— Więc proszę... — patrzę modląco.

Lecz «osoba» uważa za stosowne wczas się cofnąć, by nieopatrznego przyrzeczenia nie dotrzymać. «Rzuca» się na mnie:

— Panie Janku, dlaczego pan nie był u «Wioślarzy»? Jak pan śmiał nie być?

Nie, to doprawdy pyszne! Ja mam chodzić do «Wioślarzy», gdy ona mi tego najwyraźniej zabroniła! To też pytam z zdziwieniem:

— A pani zakaz?

— To było tylko tak!

— Tylko tak? To tylko «tak» robi się *takie* komedye? Ty, chłopcze, wiedz dobrze, że kiedy mówię czarne, to ma być właśnie białe — i odwrotnie? Ucz się poznawać najzwyklejszą

http://rcin.org.pl

kobiecą kokieteryę i nie bądźże tak głupim? Ech, ja się na takiego wcale nie nadaję!

Zrywa się i przeszywa mnie roziskrzonym wzrokiem:

— Jak pan śmie, panie Janku?

— Jak śmiem? — odpowiadam drwiąco. — Mam prawo. Do «Wioślarzy»! Chodziłem tylko do «Łyżwiarzy»!

— Doskonale. Ofiarowałam już na mszę dwa dni temu, dziękując Bogu, że mnie uchronił od nieznośnego, szalenie nudnego pańskiego towarzystwa.

— A ja ofiaruję na dwie, trzy nawet, by mnie ustrzegł od zamienienia z panią choć jednego słowa.

— Zuchwalec!

— Despotka nieszczera!

— I pan nie zamierza nigdy przyjść do «Wioślarzy»?

— Nigdy.

— Świetnie, bo jabym pana nauczyła!

Pogroziła mi palcem, dając do poznania, jakby to ona mnie strasznie «nauczyła».

— Jaaaasiu — daje się słyszeć przeciągły głos Franka — chodź grać, już załatwiłem z Maniusią kwestyę. Wolno grać, tylko za pierwszą sprzeczką szachy pójdą w ogień i już wtedy amen!

— Wujeneczko — oburza się panna Stasia —

http://rcin.org.pl

jak można być tak słabą i ulegać pod wpływem pierwszej lepszej prośby? Niech wujeneczka będzie oporniejszą!

— Ty, ty, oporo! — odzywa się Franek. — Nie buntuj, bo się z tobą rozprawię!

— Kupi mi za to wujek trzy funty cukierków?

Wąsy Franka się poruszają:

— Tak, kupię!

— Może iść po czekoladki? pytam z ironią.

— Jeżeli pan ma ochotę...

Przygryzam wargi i udaję, że nie słyszę. Moja chuda kieszeń studencka nie zniosłaby takiego straszliwego wysiłku pieniężnego.

— Tchórzy pan — rzuca panna Stasia z złośliwym uśmieszkiem. — Proszę się uspokoić, żartowałam!

— Nie wiem nawet, co pani mówiła... Myślałem o filozofii Platona. Profesor Stumpf ma się szerzej o nim w letnim semestrze rozwodzić... Szkoda, że pani nie będzie tego słyszała!

Zapadam w «kontemplacyę». Franek ustawia szachy, patrząc z miłością na sterczące równo w szeregu figury.

Lecz nagle słyszę zapytanie:

— Czy pan lubi taniec?

— Czy to ma być preludyum do nowej rozmowy w rodzaju: czy pani lubi ser? — zapytuję.

http://rcin.org.pl

— Nie — odpowiada zimno panna Stasia. — Proszę mi dać odpowiedź.

— Ogromnie lubię.

— I pan tańczy dobrze?

— Bardzo dobrze.

— Także zarozumiałość! Dlaczego pan nie odpowiedział, jak należało: tańczę źle?

— Co? — oburzam się. — Ja mam mówić, że tańczę źle, skoro wszystkie panny obsypują mnie pochwałami i prawie mdleją mi z rozmarzenia na rękach? Jeszcze czego!

— Ciekawe panny...

— I bardzo. Nie mogę się wogóle uskarżać na brak powodzenia.

— W tańcu — rzuca z pogardą panna Stasia.

— Tak jest — odpowiadam z mocą.

— Więc i ja chcę poznać pańską zręczność. Zapraszam pana do pierwszego walca na balu w «Dolinie».

Poglądam «zdębiały».

— Pani, tyle szczęścia... — bąkam — tyle niezasłużonego honoru... A ja pani tak dokuczałem!

— Więc pan przyjmuje?

— Jak pani może nawet pytać o to? Ależ ma się rozumieć i to z rozkoszą!

Panna Stasia wstaje:

— No, teraz mogę panu oświadczyć, dlaczego wyrządziłam panu «tyle szczęścia»... Oto kuzy-

http://rcin.org.pl

nek Wacek założył się ze mną, że pierwszy «tour» w pierwszym walcu on będzie za wszelką cenę ze mną tańczył, choćby mnie na złość, na co mu pokazałam ogromną figę i odpowiedziałam, że na świętego Jurka, albo jak się ociepli! Wacek się oburzył i powiedział: zobaczymy! Dobrze, zobaczymy! Pierwszy «tour» więc ofiaruję panu, panie Janku, i mam nadzieję, że czyniąc to dla mnie, nie zbraknie panu w odpowiedniej chwili odwagi «odsadzić» Wacka odemnie i spełnić wraz ze mną tę czarę rozkoszy, która się pierwszym walcem nazywa!

— Owszem, ale...

— Ale co?

— Ale wolę jej nie spełniać.

— Coooo?...

— Tak — odpowiadam z głębokiem przekonaniem. — Stu pani Wacków odsadzałbym codzień, dla sportu choćby, ale być tylko pierwszym lepszym, który służy za narzędzie zemsty czy intrygi, fi, to nie w moim guście! Dlatego też zwracam pani skwapliwie tę czarę i życzę, by nektar smakował dobrze!

— Panie Janku, pan tego nie zrobi!

— Zrobię. To dobre! Gdyby pani była powiedziała: «Kocham cię i dlatego chcę zatańczyć z tobą», tobym odpowiedział: «wzrusza mnie twa miłość i uczynię to dla ciebie», ale tak?! Uuu, ani myślę!

http://rcin.org.pl

Franek zaczyna stukać w szachownicę.

— Jasiu! — woła.

— W tej chwili — odpowiadam i przeszywam jeszcze o ile się da pannę Stasię najbardziej zabójczem spojrzeniem.

— Jeżeli pan nie będzie na balu w «Dolinie» — mówi panna Stasia — i nie będzie stał za mojem krzesłem, czyhając na pierwszy walc, to niech pan wie, że przestanę się z panem znać!

— Na balu będę, za krzesłem stać będę, gdy zaś zagrają pierwszy walc, potrzymam pani wachlarz i zacznę podziwiać taniec pana Wacka.

— Jaasiu! — słyszę znów głos szwagra.

— Zaraz. Będzie pani bardzo wygodnie tańczyć z kuzynkiem...

— Nie chcę, rozumie pan? Jemu na złość nie chcę pierwszego walca z nim tańczyć. Ogromnie mi na tem zależy.

— To może który z tancerzy się zmiłuje?

— Wacek mu zrobi awanturę...

— Jaasiu!

— Idę. A mnieby nie zrobił awantury? Byłbym zresztą przygotowany na poskromienie zazdrosnego...

— To niech pan poskromi. Na innych liczyć nie można.

— Dla idei służenia za manekin? Ani myślę!

http://rcin.org.pl

— Ja pana lubię przecież...

— Nie może być?

— I nawet wyznam, że bardzo lubię... Żartowałam!

— Wiemy, co to znaczy. Nie ja się biorę na takie plewy!

— Pan pozwala sobie nie wierzyć? Ma się rozumieć, że żartowałam. Z czystej sympatyi tylko pragnę z panem tańczyć.

— Nic z tego.

— Jakto? Impertynent! Jak pan odpowiada?

— Z godnością. Ostatni walc — owszem, pierwszy — za nic.

— Obejdzie się. Niegodziwiec! Nie wolno panu, zabraniam zbliżyć się do mnie na balu, rozumie pan?

— Rozumię.

— Jaaaaasiu! — woła zirytowany Franek — grasz, czy nie grasz, bo jak babcię kocham niesłychane rzeczy, sto razy już wołałem!

— Gram, gram, już idę.

Panna Stasia mierzy mnie od stóp do głów i udaje się za Maniusią do jej pokoju. Ja zasiadam do stolika, biorę dwa pionki w ręce i losujemy.

* * *

http://rcin.org.pl

— Szach królowej! Chcę wziąć prawą wieżę i zdaje mi się, że ją wezmę.

— Jutro! Królowa się cofnie pod króla, a wieżę zasłania pionek. Będzie twoją, lecz nie w tej partyi.

— Zobaczymy!... Szach królowej!

— Znowu? Dobrze, dobrze... Ano, szach twojemu królowi! Ciekawym, gdzie pójdziesz?

— Phi, byle gdzie... Zroszuję.

— Przez szachowane pole roszować nie wolno. Pamiętaj o tem, bratku!

— Bagatela! Myślałem, że cię okpię... Posuwam króla pod konia, niema innej rady.

— Straciłeś więc roszowanie. To mi na rękę!

— Ciemięzco, wiem o tem! Ostrzegam cię, że twoja dama w szachu. Widzisz, jaki jestem szlachetny!

— Podziwiam. Idę z damą do ciebie. Niech twój konik ucieka.

— Ucieknie, ucieknie... Szach królowej!

— Cóż ty się na tę koronowaną osobę tak uwziąłeś? Biorę konia laufrem.

— Bierz. Odbijam pionem i daję znowu szach królowej!

— A ja biorę sobie darmo pioneczka. Lubię tak.

— Nie widziałem. Lepiej było odbijać drugim koniem. Cofnę się.

— Gramy bez cofanek. Ani myślę!

http://rcin.org.pl

— Raz tylko, jeden tylko raz?

— Ani pół nawet.

— Dobrze. Temu czarnemu raz.

— Dlaczego nie...

— A teraz tym obojgu raz... A co, złapałeś się? Ha, ha!

— Co? Prawda! Nie, ależ ja nie uważałem... Co znowu, nie przystaję!

— Jakto?

— Cofnę się.

— Jak się ociepli, braciszku! To tak śpiewasz teraz, a przed chwilą przyjemnie było złapać sobie mojego pionka darmo? Widzisz, jak to źle smakuje... No, nie martw się, nie martw. Bardzo przyjemny lauferek. Pyszne to jest, znakomite!

— Co jest znakomitem? — pyta jakiś dźwięczny głos.

Spoglądam. We drzwiach od saloniku stoi panna Stasia.

Branie darmo laufra, proszę pani — odpowiadam bez zająknienia — takiego sobie laufrunia!

Gładzę «laufrunia» ręką. Odpoczywaj, kochanku!

— Już pan zabrał wujowi figurę?

— On mnie też zabrał.

— Piona! — rzuca ze wzgardą Franek.

http://rcin.org.pl

Podparł głowę ręką i zadumał się nad jakiemś niezwyczajnem posunięciem.

— Niech pan to odda zaraz wujowi! — tupie nóżką panna Stasia.

— Aha, myślę — odpowiadam — dla pani pięknych oczu? Myślę!

— Dla oczu, czy nie dla oczu, a oddać proszę. Oddaje pan?

— Nie.

Panna Stasia podchodzi i stara się zdradziecko schwycić mi nieboszczyka-laufra.

— Czy pan już zapomniał, że «c'est que la femme veut...

— ...Dieu le veut»? Owszem, pamiętam, ale to nie zawsze, panno Stasiu. Ładnie na takiej kombinacyi ród męskiby wyszedł!

— Może źle?

— Najgorzej. Ja jestem za emancypacyą kobiet, więc żadnych średniowiecznych ckliwych rycerskości...

— Za emancypacyą! Taką fartuszkową?

— Może...

— Właśnie. Oddaje pan figurę?

— Ostatecznie... A dostanę co za nią?

— Nic.

— To nie oddam.

Panna Stasia patrzy na mnie:

— Mogę się nad panem ulitować. Otrzyma pan przebaczenie za niedawną niegrzeczność...

http://rcin.org.pl

Pańskie szczęście, bo byłabym się do skończenia świata do pana nie odzywała!

— I dlatego, nie mogąc wytrzymać, zaczęłam przed chwilą rozmowę?

— To było tylko od niechcenia.

— Aha!

Z wielkim moim żalem nieboszczyk czarny laufer zmartwychwstaje. Jeden wróg więcej.

— Proszę kończyć prędzej tę nieznośną partyę, bo się nudzę — mówi panna Stasia. — Dziwię się, że pan ośmiela się wogóle grać przy mnie.

— Uczyniłem to przez miłosierdzie chrześcijańskie... Franek pół życia oddałby za partyę szachów.

— Szach twemu królowi, Janku! — odzywa się Franek.

Zwracam skwapliwie wzrok na mą miniaturową armię. Nieprzyjaciel powoli, ale systematycznie obsacza mnie i atakuje ciągle goręcej. Już coraz węższym pierścieniem opasują mnie czarne wstrętne pionki, wieże chyłkiem starają się podsunąć ku mojej królowej. Czuję, że nadchodzi przełomowa chwila. Jednem ciekawem posunięciem wywołuję chwilowy popłoch wroga, lecz Franek oryentuje się prędko. Ze zdwojoną energią zapędza mnie z królową na lewe pole szachownicy, wytężając jednocześnie wszystkie swe siły dla unieruchomienia ważniejszych mych

http://rcin.org.pl

figur... Sytuacya zaczyna być dla mnie nieprzyjemną, tem bardziej, że panna Stasia od czasu do czasu rzuca zapytania, na które, miast poświęcać całą swą uwagę grze, muszę odpowiadać...

Wreszcie lekki dreszcz przeszywa me ciało i zaraz potem bezsilny gniew mną owłada: królowa moja wpadła w misternie splątane sieci nieprzyjacielskie i o zgrozo, niema już dla niej ratunku!

— Panie Janku, panie Janku — mówi panna Stasia.

— Co takiego?

Franek patrzy zimno na mnie. W oczach jego jest coś z nieubłaganej surowości wroga, który przeprowadziwszy dobrze strategiczne ruchy, wie, że za chwilę zgniecie przeciwnika. Chłodno rzuca:

— Graj!

— Panie Janku — ciągnie z przymileniem panna Stasia — niech mnie pan nauczy grać w szachy?... Mój panie Janku, ja takbym się chciała nauczyć grać w szachy!

— Dobrze, panno Stasiu — odpowiadam sztywno — jeszcze czas na pogadanie o tem. Muszę uważać... Królowa moja w niebezpieczeństwie...

— Królowa twoja należy już do mnie — odzywa się zimno Franek, szachując ją po raz ostatni i... skutecznie.

http://rcin.org.pl

Stało się więc!

— Tak jest — kłaniam się z lodowatą «kurtoazyą».

— Więc pan mnie nauczy grać w szachy? — pyta panna Stasia.

— Na...u...czę — krztuszę.

Och!

Czuję, że mam ochotę rozwalić całą szachownicę.

Gra nie trwa już długo. Po stracie królowej jestem tak osłabiony, że z trudem paruję ciosy nieprzyjaciela. Pod wpływem szczebiotu panny Stasi robię jeszcze kilka nowych kapitalnych błędów... i ostatecznie przegrywam.

Szach i mat!

Wstaję. Jest mi jakoś nieswojo. Z drugiego pokoju daje się słyszeć głos Maniusi:

— Proszę, chodźcie na herbatę.

Panna Stasia zwraca się ku mnie:

— Pozwalam panu siąść koło mnie przy stole.

Owszem, owszem. Przez tę pannę Stasię przecież przegrałem. Powiem jej za to parę słów prawdy przy kolacyi!

Idziemy. Panna Stasia szczebiocze bez miary. Nagle słyszę jej cichy głos:

— Pan jest jednak dobrym chłopcem, panie Janku.

— ?...

— Oddał pan wujowi figurę i dlatego on

http://rcin.org.pl

wygrał. Ja tak panu przytem przeszkadzałam, że nic dziwnego, iż pan nie mógł uważać... Mój Boże, jakaś tam marna partya szachów! Czyż nie przyjemniej jest słuchać tego, co ja mówię?

Uśmiecham się. Potem zaczynam śmiać się wesoło:

— Ej, panno Stasiu, co za filutka z pani! Czy godzi się tak żartować z biednego chłopca?

— Wcale nie żartuję — odpowiada stanowczo panna Stasia. — Ja wiem przecież, że pan gra lepiej od wuja...

— Nie idzie mi o to — mówię szczerze.

— ...i że pan woli mnie, niż jakieś tam szachy!

Żadnych już słów prawdy nie myślę pannie Stasi mówić. To jest osóbka, która każdego rozbroi. Podaję jej rękę i ściskam dłoń panieńską serdecznie na znak prawdziwej sympatyi. Przy pożegnaniu zaś, życząc jej dobrej nocy, mówię sam, z własnej, nieprzymuszonej woli:

— Panno Stasiu, ja przyjdę do «Doliny» i pierwszy walc zatańczę z panią napewno i.. z zadowoleniem niekłamanem.

— Dobrze — odpowiada — będzie mi bardzo przyjemnie.

A po sekundzie dodaje:

— I jakże nie ma mieć racyi ten, kto twierdzi, że pan jest prawdziwie miłym chłopcem?...

. . . . . .

http://rcin.org.pl

. . . . . .

Dzień jest piękny i słoneczny, choć są to już resztki dychawiczne lata, lub jeżeli kto woli — czarowne początki jesieni, mówiąc otwarcie: poprostu środek Września. Na ulicach Warszawy snują się całe roje «boskich» dziewczynek, opiętych starannie w filuterne staniczki, bluzki, spódniczki, niektóre już w żakiety, lekkie zresztą, jak się rzekło bowiem — dzień jest piękny i słoneczny. Z upodobaniem spoglądam na urodziwe twarzyczki i urocze figurki Warszawianek, okiem prawie-znawcy oceniam grubość talii, długość stóp, wymiar dłoni... I oto głowę mą wypełniają myśli melancholijne. Te «szelmutki» są rzeczywiście zgrabne i foremne, jak sarny, ani cienia w nich niema masywności i wybujałości, wołającej o pomstę do nieba. Jak żywe stają mi przed oczyma wielkorękie i długostope piękności berlińskie... O, Boże, za coś tamte niewiasty tak ciężko pokarał?

Idę krokiem wolnym, powiewnym. W kieszeni czuję błogie pustki, pod czaszką nie mam żadnych «wściekłych» pomysłów, ani wstrząsających tematów — dlaczegóż nie mam iść lekko i wdzięcznie? Rozglądam się ciekawie — Warszawa po długiem niewidzeniu wydaje mi się znów zajmującą. Patrzę bezczelnie w ślipki snującym się panienkom, do młodzieńców, jako mniej zajmujących, nie robię «oka». Po bruku

http://rcin.org.pl

turkoczą dorożki, tramwaje *szorują* ciężko, dzwoniąc co chwila hałaśliwie. Błoga ciszo wsi — jakże daleko już jesteś poza mną!

Gdzie zmierzam? Ma się rozumieć, w «Aleje»! Przyjechać do Warszawy i nie iść zaraz po obejrzeniu «Nowego Świata» w Aleje Ujazdowskie — na to trzeba albo nie znać Warszawy, albo nie mieć w sobie nic z temperamentu Warszawiaka. Lecz ja, ja cię znam, Warszawo! Laskę między palce, bukiecik w klapę od marynarki i jazda po świeże powietrze w Aleje!

W Alejach jest względnie spokojnie. Publiczności mało, ta co jest — prawdziwie «spacerowa». Słońce miejskie, dość skromne na ulicach, tu rozhulało się swobodnie. Szerokiemi smugami zalewa bruk i chodniki, pieści się z osowiałemi nieco drzewami, swawoli po ich wierzchołkach. Czasami, jak przekorny dzieciak, zabawi się między pożółkłymi już liśćmi w «chowanego» i ośligznie się promieniem po korze. Znać jednak, że utraciło już wiele z swej niedawnej jeszcze jaskrawości...

Idę, przyglądając się z zajęciem wszystkiemu. Każdą ławkę, każde drzewo prawie znam tak dobrze, tak dawno... Mimowoli rozczulam się: o moje czasy dzieciństwa!

Czasy dzieciństwa... Tu przecież, nie gdzieindziej, chodziłem z t. zw. boną na spacer, tu starsi i silniejsi odemnie chłopcy zapraszali mnie

http://rcin.org.pl

uprzejmie do wspólnej zabawy stereotypową formułą: «czy kawaler chce się bawić?», a pokryjomu kuksali jednocześnie, aż miło. Tu babrałem się w «pyle ziemnym», robiłem babki z piasku, udawałem konia lub woźnicę, budowałem barykady, grałem w «berka», «czarnego luda», «klipę» i tym podobne specyały, tu pokazywałem język przechodzącym chałaciarzom i dostawałem za to za uszy, tu wreszcie łamałem bezskutecznie głowę nad pytaniem, skąd «bony» biorą na poczekaniu rożnych miłych frantów i o czem tak długo i tak serdecznie z nimi gawędzą? Tu też, może na tym samym rogu, kupowałem od «narożnego» za strzeżoną bohatersko dziesiątkę *panieńską skórkę* i «delektowałem» się nią, nie wiedząc jeszcze niestety, że prawdziwa panieńska skórka smakuje daleko lepiej...

O, moje czasy dzieciństwa — gdzież wy, gdzież wy? Minęłyście, jak sen i już nie powrócicie więcej! Przeszłością tylko jesteście, mglistem i oddalonem wspomnieniem!...

Zwieszam głowę, zwalniam kroku, zamyślam się i jeszcze chwila, a ryknę w duchu rzewnym płaczem. Prawie mi się chce mieć znowu osiem lat i zabawić się w «berka», choćby «kucanego».

Lecz nagle ktoś zagradza mi drogę i nad samem uchem słyszę energiczno-drwiące pytanie:

— O czem?

http://rcin.org.pl

— Panna Stasia! — wołam, cofając się instynktownie, wyrwany brutalnie z głębokiej mej zadumy.

— Jam jest! — odpowiada — i to wiedz, nieszczęsny człowiecze, że musisz zaraz powiedzieć, o czem tak bardzo myślałeś?

— Czy tak? — pytam i «cucę» się zupełnie, nie zapominając przywitać się z matką panny Stasi. — Potęga wspomnień mnie ogarnęła.

— Dawnych, czy niedawnych?

— Dawnych, bardzo dawnych... Moje uszanowanie, jakże zdrowie? Ogromnie się cieszę z tego spotkania!

— Lepiej byłoby, gdyby *niedawnych*. Dlaczego pan nie był w Krynicy??

Masz babo placek! Tego się spodziewałem! Krzywię się, jakbym piołun w zębach rozgryzł.

— W Krynicy? Ależ, panno Stasiu... W Krynicy... — cóż znowu? Znaleźć się w miejscowości, gdzie same bladolice niewiasty o przykrótkim oddechu wzdychają do słońca, czy księżyca — nie, nie mogłem!

— Pan obiecał!

— Tak, obiecałem, ale nie miałem siły dotrzymać. Proszę sobie wyobrazić: byłem już w Krakowie i... dmuchnąłem do Ojcowa.

— A później?

— Później czarowałem swą osobą Nałęczów.

http://rcin.org.pl

— A Nałęczów pana?

— Dlaczego nie? Wcale się dobrze bawiłem!

Czynię kilka nerwowych obrotów laską. Niema co, «wkopałem» się! Panna Stasia pogląda na mnie z ironią, szyderczem współczuciem i... obrazą.

— Wiedziałam z góry, że tak będzie — mówi zimno — po panu nie można było się czegoś lepszego spodziewać. Nie wielka zresztą szkoda!

— O, o, o... — wzdycham.

— ...I to niech pan wie, że nawet dobrze się stało, boby mnie pan w jeden dzień zanudził!

— Ja też tylko dla pani dobra...

— Dosyć tych frazesów! Z naszej przyjaźni już kwita. Dawniej był pan często nieznośnym i nieposłusznym, ale dobrym w gruncie chłopcem, obecnie przestaje pan dla mnie jako taki istnieć. Będę pana tylko *tolerowała,* słyszy pan? W Krynicy byli inni, zabawniejsi od pana... I nic więcej, rozumie pan, tylko *tolerowała!*

— Rozumiem. A więc ręka! Od dzisiaj przestajemy istnieć dla siebie, jako sympatyzujący z sobą znajomi. Stosunek nasz ograniczy się wyłącznie do wzajemnej tolerancyi, bo nie wypada ludzi gorszyć jawnymi dąsami i niezgodą. Wszak tak?

http://rcin.org.pl

— Dlatego też przy innych możemy udawać dawną przyjaźń...

— I aby nikt nie brał z nas złego przykładu niezgody, która nietylko pojedynczych ludzi, ale i całe narody, jak to udawadniają dzieje, już do zguby doprowadziła, musimy praktykę poświęcania swych osobistych sympatyi i antypatyi na ołtarzu humanitarnej idei zacząć choćby od dzisiaj...

— Od dzisiaj?

— Tak, panno Stasiu. Ten tylko ma zasługę, kto zamierzywszy ćwiczyć się w pokorze i zaparciu się, nie odkłada tego do nieskończoności...

— Ale ja panu powtarzam raz jeszcze, że ja zupełnie na seryo...

— Czyż mógłbym wątpić? A ja to inaczej?

— Więc w takim razie...

— Dzisiaj wybieram się do Franków. Frankowie już są w Warszawie i przypuszczam, że się ucieszą, gdy do nich przyjdziemy.

— Jakto? przyjdziemy!...

— No, pani z mamą, a ja «swoim dworem»... przywitać się. Na neutralnym gruncie i w imię takiej idei...

— Ale co będziemy robili?

— W szachy będziemy grali. Jedno utrapienie więcej. Dwoje tolerujących się zaledwie ludzi, zmuszonych grać z sobą w szachy! Okropne!

— I ja się przytem w szachy grać nauczę!

http://rcin.org.pl

— Tak. A ja będę musiał nudzić się i ziewać...

Panna Stasia staje na mgnienie i ogarnąwszy mnie zdumionem spojrzeniem, pyta:

— Coo?...

Lecz po chwili, jakby przypomniawszy sobie coś, dodaje z zmarszczką na czole:

— Ach, prawda!

— O czem tak rozmawiacie? — pyta matka panny Stasi.

— Mówimy o powrocie Franków do Warszawy — odpowiadam pospiesznie i robię minę poczciwą, bo nie kłamię przecież zbytnio.

Berlin 1899 r.

http://rcin.org.pl

SPEŁNIŁO SIĘ

SZKIC

http://rcin.org.pl

PANNIE

HELENIE DEMBIŃSKIEJ

NA PAMIĄTKĘ
POBYTU W POZNANIU

OFIARUJE

AUTOR

http://rcin.org.pl

W izbie już ogień dogasał. Ciemność zalewała kąty pomału, rozpełzując się niechętnie po sprzętach. Ostatnie drzazgi, trawione zamierającym płomieniem, trzaskały sucho, rozpryskując żarzące się iskry...

Wreszcie ozwał się głos:

— Mówiłem ci, Wilczyński, żebyś ognia pilnował! Do czorta z twoją robotą... Widzisz, już zgasło!

Milczenie zaległo po tych słowach. Nikt się nie poruszył.

— Wilczyński, czy słyszysz, co mówię? A żeby cię pioruny!

Ale i na to dictum nie było odpowiedzi, więc upominający wstał i podszedł w stronę, gdzie powinien był się znajdować Wilczyński. Chwilę postał, jakby szukając jego ramienia, potem zaświecił mu w oczy płonącą drzazgą:

— Śpi, jak Boga tego, doprawdy śpi!

Wilczyński spał istotnie. Tak jak siedział, z opałkiem papierosa, skręconego w kawałek

http://rcin.org.pl

starego papieru, z ciekącą z półotwartych ust śliną, zasnął i pochrapywał w najlepsze.

— Wilczyński — wrzasnął nie na żarty rozgniewany tem szlafkamrat — Wilczyński!

— Daj spokój — zamruczał przez sen śpiący.

— Wilczyński, wstawaj, bo jak Boga tego dam w łeb!

— Daj spokój — mamrotał Wilczyński.

Wtedy tamtego porwała pasja. Wyciągnął się w całą długość swej imponującej postaci i chwyciwszy chrapiącego za kark, jednym ruchem przerzucił go pod komin.

Dopiero po pewnym czasie powstał, gramoląc się z podłogi, tak niespodzianie usadowiony na niej Wilczyński i starannie otrzepując wytarte swe nędzne ubranie, płaczliwym głosem zaczął:

— A wy to już naprawdę zadużo sobie pozwalacie, panie Wylazłowicz! To już doprawdy nie do uwierzenia. Czy to widziane, czy słyszane, czy pomyślane nawet kiedy, żebym ja, jak pies jaki, latał w powietrzu pod komin, poniewierał się po ziemi? O, Panienko przenajświętsza, ratuj mnie nieszczęśliwego, zmiłuj się nad niewinnie cierpiącym za grzechy dyabeł wie przez kogo popełnione! A i ty święty Agapicie, patronie mój, nie zapomnij o mnie! Ja wam, panie Wylazłowicz, nic złego nie uczyniłem, ja

http://rcin.org.pl

nawet choćbym chciał nic złego niestety uczynić nie mogę, ja cirpię... Słodki Jezuleńku mój, za co ja cirpię?

Tu schwycił się biedny pan Wilczyński za głowę, obrośniętą rzadkim, skudłaconym, wyrudziałym, jakby powyrywanym miejscami włosem i drapiąc się w świecącą swą łysinę, patrzał łzawemi, spłowiałemi oczyma w pułap. Później jął kiwać swą niezwyczajną ogromną czworograniastą głową i zda się nie wypowiedziawszy jeszcze wszystkiego, ciągnął:

— Dołoż ty, doleńko moja, kto ci się użali? Majątek dyabli wzięli, wszystko co było moje i nie moje wzięli!... a ja, biedna duszyczka, użalić się przed nikim nie mogę! Przed wami się użalić, panie Wylazłowicz? Wy jesteście czysty zbój, tfy, chciałem rzec, czyste złoto, nawet dyament, ale wy jesteście gorączka... Wam się w głowie pali i skwarzy, a kto wie od czego, może od tego nieboszczyka szwagra waszego, Panie świeć nad jego duszą, cotoście go niechcący w gniewie zabili? Z wami nie każdy potrafi wytrzymać, wy jesteście strasznie... niedelikatny!

Wylazłowicz, który słuchał tej całej tyrady z wymuszonym spokojem, wygrzebując obojętnie zużytą zapałką z miedzianej fajki resztkę smrodliwego i lepkiego tytuniu, nie wytrzymał pod koniec i wybuchnął szydersko:

http://rcin.org.pl

— A kto ci, Wilczyński jeden, gębę kiedy zawrze? Bogdajby ci, zatracony robotniku, z robotą się tak zwijać, jak jadaczką mleć! Pyskujesz jeszcze! Nie mówiłem ci to, że ogień dziś do ciebie należy? Ja to za ciebie zawsze harować będę? Wiadomo... każdy z was do miski i do barłogu tylko... Ruszaj co tchu do ognia!

Wilczyński, który wiedział, że żartować ze «starym» było czasami niebezpiecznie, poszedł nie ociągając się po drzewo i tylko, rozpalając na nowo ognisko, rzucał raz po raz niechętne spojrzenia na Wylazłowicza, mrucząc:

— Rzezimieszek jeden, wyrzutek społeczny, śmieć czysty! Oto rezultat zadawania się z chamami! Mówią, że szlachcic... ładny szlachcic! Łotr, zabijający szwagra, to towarzysz dla mnie. Szczekają wprawdzie na mnie, żem zadusił i okradł żyda, ale ty, święty Agapicie, wiesz najlepiej, jak to było! Czy to ja go zabiłem? Ruszyłem go zaledwie ostrożnie i «fajtnął« zaraz sam, bo już od urodzenia miał słabe nogi!

Wylazłowicz nakładał tymczasem fajkę na świeżo. Skinął na Wilczyńskiego, który w tej chwili podskoczył z płonącą drzazgą łuczywa.

— A nie wykopćcie też wszystkiego — zauważył zgryźliwie — bom i ja już dawno nie palił!

— Co, za tę krwawą pracę twoją mam ci dać pociągnąć?

http://rcin.org.pl

— Za pracę, czy nie za pracę, ale pamiętacie chyba, że w przeszłym tygodniu trzy, tak, trzy razy dałem wam possać swego cybuszka?

— A ty sobie przypominasz, kto ci dał tytuń do tego cybuszka?

— Kto? — oburzył się Wilczyński. — Wiadomo, kupiec! Kupiec! — powtórzył z naciskiem, jakby chcąc zmiażdżyć Wylazłowicza potęgą tego argumentu.

Lecz Wylazłowicz zaczął go przedrzeźniać:

— A no, psiakość, kupiec! Niech go ta, jaki ten kupiec hojny! Hej, hej, skąd to się teraz tutaj tacy kupcy biorą, co byle głuptasowi darmo wszystkiego dadzą? A może jeszcze atłasu sztukę ci dał, korali na szyję, cybuch wiśniowy i ośle uszy na głowę? Powiedz, wszak nie lubisz kłamać! Może ci jeszcze w twarz raz, drugi, dodał kupiec w procencie?

Wilczyński poderwał swą czworokańciastą głowę z oburzeniem. Uspokoił się jednak wnet i udając, że nie słyszy, grzebał dalej niedbale w ogniu. Wylazłowicz zaś kończył:

— Dawno już wiedziałem, że jesteś bardzo porządnym człowiekiem. Gdy fundowałem ci tytuń, herbatę i wiele innych rzeczy, brałeś to wszystko i kłaniając się po pas, dziękowałeś aż do obrzydzenia. A teraz pochowałeś to dobrze pod pryczą i udajesz, żeś się na świat dopiero narodził... Strasznie, głęboko cię szanuję!

http://rcin.org.pl

Stary mało płakać nie zaczął:

— Za co wy mnie, panie Wylazłowicz, prześladujecie? Czy ja kiedy wam co z kuferka skradłem? Wielka rzecz, że dajecie herbatę do zaparzania i swoją faję tytuniem napychacie! Kawałeczek cegiełki herbacianej do czajnika wrzuci i stawia się! Cukru pół kawałka w «prykuskę» mi da i stawia się!

— No, to ci dam więcej! Chcę, żebyś mnie kochał. Dać ci?

— Czemu nie? — ożywił się stary, a oczy zaświeciły mu chciwością drapieżną — ja nic nie mam, a was lubiłem już oddawna bezinteresownie!

Ale spostrzegłszy, że Wylazłowicz kpi sobie z niego i z pogardą na jego rozpromienioną chwilowo twarz spogląda, dodał z gniewem:

— Wy nie śmiejcie się ze mnie, panie Wylazłowicz, bo to niegodnie. Powiedziano jest: nie będziesz szydził z bliźniego swego, nie dasz go na nędzę i opuszczenie...

— Dodasz mu jeszcze tytuniu i ćwierć funta cukru... Z jakiej to biblii, panie Wilczyński?

— Biblia jest tylko jedna — surowo odparł stary.

— Ha, ha, ha!... Ha, ha, ha!... — śmiał się Wylazłowicz.

Lecz nagle we drzwiach ukazała się kosmata głowa:

http://rcin.org.pl

— Czy można?

— Jakiego czorta anieli znów przynoszą? Kto wchodzi?

— Awruma syn, sławnego Kuzułuka, pogromcy niewiast i dzieci, wnuk, w bocznej linii siostrzeniec własnej czcigodnej cioci, mogący być ojcem niemniej od siebie zacnych dzieci, w braku «brzęczących» żenić się tylko nie będący w stanie...

— Ach, ty prawdziwy siostrzeńcze własnej cioci, ośle patentowany, dardanelski filozofie! Miszka, błaźnie urodzony, cyrkowa małpo, papugo świata całego... Wchodź, proszę!

Na to uprzejme zaproszenie, Misza, wciąż lekko drzwi uchylający, zdecydował się nareszcie otworzyć je całkowicie i wszedł, a raczej wślizgnął się zwinnie do środka. Stanął, mnąc w ręce zawczasu zdjętą z głowy ogromną futrzaną czapkę, żywemi zaś czarnemi oczyma rzucał z szybkością niesłychaną po całem wnętrzu izby i dwóch jej lokatorach. Śniada jego płeć zdawała się zupełnie zlewać z mrokiem tu panującym, zęby tylko białe i ostre, odsłaniane w uśmiechu, błyskały niby iskry. Grubemi czerwonemi wargami poruszał, jakby coś przeżuwał, spłaszczone tatarskie policzki drgały mu nerwowo. Kożuch podarty i obszarpany ledwie na nim wisiał, zdarte i haniebnie połatane buty zda-

http://rcin.org.pl

wały się na dobre z nóg zlatywać. Już też nie grzeszył ten Miszka bogactwem, nie!

— Miszka, przyjacielu Miszka, gdzieś się schował? — zadudnił głos Wylazłowicza. — Swojski orangutanie, wyjdźże raz z ciemności!

Tatar stał, kiwając się i uśmiechając zlekka.

— Pójdźże tu bliżej, różo jerychońska — zaskrzeczał Wilczyński. — Chodź, karmelku waniliowy, masą migdałową nadziewany, chodź bliżej!

— Ty sam karmelek! — warknął Misza, tolerujący chętnie tylko przezwiska, nadawane mu przez Wylazłowicza, komplimentów zaś Wilczyńskiego i jego samego znosić nie mogący, nie cierpiący go z całej mocy swej pierwotnej namiętnej duszy. — Sam karmelek! — powtórzył.

— No, nie gniewaj się, najmilszy! Gniew urodzie szkodzi, a z człowieka zwierza rodzi... Znasz to? Nie znasz? To poznaj! A co, nie podoba się?

Misza wystąpił na środek izby:

— Cześć i sława temu domowi, pomyślność i długie lata gospodarzowi jego.. Pokłon ci oddaję, Zygmuncie Władysławowiczu Wylazłowicz, Siłaczem zwany. Duch mądrych przodków moich, a i twoich także, niechaj spłynie na ciebie w całej swej rozciągłości i napełni cię boskiem swem jasnowidzeniem... Ujrzyj w świetle dla zwykłego «chałuja» niedostępnem jasność i cie-

http://rcin.org.pl

mność, dobroć i złość, szczerość i obłudę, szlachetność i nizkie faryzeuszostwo...

Spojrzał niedwuznacznie i dość przeciągle w stronę Wilczyńskiego, którego to szumne powitanie zdawało ogromnie rozbawiać, i ciągnął głosem, pełnym skupienia i powagi:

— I niechaj wszystko uczyni ci się widnem, przejrzyj wszystko i wszystkich, poznaj farbowanego lisa! Bo jak jeden jest tylko Bóg, a Mahomet jego prorok, tak i prawda może być tylko jedną... Nie kupisz, Zygmuncie Władysławowiczu, mydła, dobrego, skórę gładką czyniącego mydła? Mam kilka sztuk przy sobie... Doskonałe!

Na to niespodziane zakończenie Wylazłowicz parsknął śmiechem. Wziął się pod boki i patrząc na stojącego tatara, przemówił:

— No, bratku, niegłupi ty jesteś! I powitania umiesz mówić, ho, i jakie! Dobry by z ciebie niedźwiednik był... niedźwiedzia oprowadzać, ludziom zachwalać! W sam raz profesor akademii smorgońskiej! Ale już swoim pogańskim przodkom daj spokój i nie nabieraj przytem ludzi na swoje parszywe mydło, które nic nie jest warte!

Tatar przysunął się szybko do Wylazłowicza i wyciągnął z zanadrza jakieś zawiniątko:

— Na Proroka!... tak nieprawda! Pierwszy gatunek... W Pekinie sam jasny Brat Słońca się niem myje... Przytem: król niemiecki, francuski,

http://rcin.org.pl

amerykański... widzisz, czterech razem z cesarzem chińskim mocarzy. Był jeszcze jeden monarcha, och, co za monarcha, chciał obstalować tego mydła, aleśmy zgubili jego adres...

Wyjął z zawiniątka kawałek zwyczajnego żółtego mydła i gładząc jego powierzchnię, mówił:

— Tem mydłem i sekretarz z kancelaryi w *** się myje i sam nawet isprawnik. Ty wiesz, co to znaczy: isprawnik? Pomyśl: sam isprawnik się myje!

Ale Wylazłowicz usiadł, nogi przed siebie wysunął, ręce zaś włożył w kieszenie od spodni i zaczął kiwać głową:

— Ech ty, głowo kapuściana, pusty wiechciu słomiany, stołowe nogi! Jak dureń, to już dureń pierwszej brylantowej wody! Nie wypchałbyś się wypadkiem? Darmo cię wymaluję! Mówisz: król amerykański kupuje twoje mydło? Sam ty jesteś amerykański król, książę dardanelski! Brat Słońca, cesarz chiński, mydli się niem? Pomydlił on by ci głowę, gdyby te bzdury słyszał, dobrzeby pomydlił! A już co do isprawnika, to łżesz, jak Boga tego, to trudno! Isprawnik się myje migdałowem: «wostocznyj pocełuj». Widzisz, jak łżesz!

— Isprawnik? Zmiłuj się, Zygmuncie Władysławowiczu, wybacz, ale bredzisz! On, jego żona, dzieci, co mówię... babcia jego, dziadzio,

http://rcin.org.pl

pradziadzio nawet, wuj, stryj, ciotka... wszyscy oni myli się, albo myją naszem mydłem! A widziałeś, jak jego «doczka» ma na twarzy skórę białą, niby papier z kancelaryi? Oglądałeś kiedy w życiu papier kancelaryjny? I jakże ty takie rzeczy powiadać możesz?

— Wynoś się, Misza! Przestań blagować. Idź do Wilczyńskiego, on ma tytuń, może i mydło kupi!

— On tytuń ma! — zelektryzowała tatara niespodziana wiadomość. Pół życia można za trochę tytuniu oddać! Oczy mu zabłysły, przezwyciężył niechęć i odrazę. Poskoczył żwawo do Wilczyńskiego i szybko mówić zaczął:

— Uczciwy, szlachetny, wysokocenny obywatelu, składam ci czołobitne pozdrowienie i modlę się, by potężny Allah otoczył cię swą opieką. Pozostań i nadal jasnem światłem, chlubą ludzkości, dumnej z posiadania ciebie... Bądź silnym, zdrowym i szczęśliwym, a...

Lecz nagle odskoczył pospiesznie. Wilczyński bowiem, tak jak stał — podniósł nogę i zamierzył się nią w brzuch tatara. Z oddalenia więc teraz patrzał na niego Misza takim wzrokiem, jakby go chciał zadusić, ale przemógł się raz jeszcze i kończył jednym tchem:

— ...a po najdłuższem swem życiu pozostaw po sobie pamięć człowieka, jakiego ziemia nie

http://rcin.org.pl

będzie już nigdy oglądała... Łaskawy, promienny, kup mydła, daj tytuniu!

— Poszedł won! Nie wykrzywiaj się tak, bo myślę, że i bez tego mało do człowieka podobnym jesteś? Huź, huź, poszedł precz!

— Ofiaruj coś przecież naszemu orangutanowi — ozwał się ironicznie Wylazłowicz — on cię wprost uwielbia!

— Ty jesteś sławny, ty jesteś wielki — cmokał ustami zachwycony tatar, słysząc te życzliwe dla siebie słowa i uczepiwszy się rękawa Wylazłowicza. — Tobie przepowiadam: cesarzem chińskim zostaniesz, dozorcą drogowym nawet zostaniesz! Zygmunt Władysławowicz Wylazłowicz... oto jest chluba nasza, duma, serca nasze rozpierająca... Bardzo cię, Siłaczu, lubimy!

To mówiąc, dobył z kieszeni jakiś nowy pakiecik i rozwiązawszy go, odezwał się:

— Mydła nie chcesz kupić, no, Bóg z tobą, trudno! Ale już też nie odmówisz mi i kupisz choć tych kilkanaście szpilek, prawdziwych extra-szpilek, wyboroooooowych!

Wylazłowicz porwał go za ucho. Misza jęczał:

— «Doczka» isprawnika śni ciągle o tych szpilkach... Aj! czego ty mnie tak szarpiesz za ucho?... W haremie u sułtana wszystkie odaliski takie noszą... Aj, daj spokój, puść! W raju... Aj! puść, puść!... W raju u naszego proroka

http://rcin.org.pl

hurysy też innych używać nie będą... Aj, aj, aj! puść, proszę cię, puść, Zygmuncie Władysławowiczu!

Wyślizgnął się wreszcie z pod niedźwiedziej łapy Wylazłowicza i oburzony, zły, rozwścieczony rzucił:

— Kiedy tak, to dobrze! Dobrze... Widzisz, myślałem, że coś kupisz... No, nie kupisz, to trudno,. głowy o mur nie rozbijesz! Ale ja tu do ciebie z nowiną, z dobrą nowiną!... Ponieważ jednak nie chcesz nic kupić, więc się niczego nie dowiesz... A ja przyszedłem właśnie, by ci o nowinie powiedzieć!

Wylazłowicz spojrzał niedowierzająco na tatara.

— Z nowiną? — spytał.

— Z radosną nowiną — potwierdził tatar.

— Łżesz!

Misza wykrzywił twarz:

— A więc zrobimy umowę. Ja tobie wyjawię nowinę, ale ty za to kupisz trzy sztuki mydła i dwadzieścia szpilek. Jeśli skłamię, w skórę mi dasz, w mordę dasz!

— Powiesz i tak!

— Nie powiem!

— Powiesz!

— Za nic.

Wylazłowicz obszukał kieszenie. Znalazł cztery kopiejki:

http://rcin.org.pl

— Więc słuchaj! Mydła jedną sztukę kupię, dwie kopiejki dam i szpilek sześć, też dwie kopiejki, razem cztery. A jak się przekonam, że to kłamstwo... cztery razy w mordę i won na zawsze!

Tatar zdawał się namyślać. Wreszcie się zdecydował.

— Niech będzie — odparł — ale ty przysięgnij.

— Ty kanalio! — przemówił groźnie Wylazłowicz — szlacheckiemu słowu nie wierzysz?

— Dobrze już, dobrze — wołał pospiesznie Misza — wierzę! Pamiętaj, wierzę! List dla ciebie jest.

Wylazłowicz zerwał się z tapczanu, na którym przysiadł. Oczy mu w chwili jednej rozgorzały, ręce zaczęły się trząść, wargi drżeć. Z zaciśniętych zębów wyrzucił z wściekłością:

— Łotrze... I nic tak długo nie mówiłeś, idyotyzmami głowę mi zawracałeś!

— Mydło chciałem, żebyś kupił, szpilki...

Wylazłowicz porwał ogromną futrzaną czapicę, pas na brzuchu poprawił, cholewy do kolan podciągnął. Drżącym głosem zapytał:

— Skąd list?

— Mówił Powsiejenko, bo u Powsiejenki list jest (on mnie tu właśnie przysłał) że zdaleka, z bardzo daleka, tam wiesz, od t w o i c h!

Wylazłowicz jakby się zachwiał. Ręką schwy-

http://rcin.org.pl

cił za pułap i stał tak chwilę. Potem zda się szalona, bezbrzeżna radość zatargała nim. Zaśmiał się głośno, dziko...

Tatar cofnął się przestraszony.

— List, list do niego?! — zawołał, przyskakując do Miszy Wilczyński, który śledził dotychczas z zapartym w piersi oddechem tę scenę. — Do niego list? A do mnie?

— Do was nic niema.

— Niema! — powtórzył jak echo Wilczyński i twarz jego chytra, przebiegła, powlekła się jakby ciężką chmurą. — Niema!

Ale Wylazłowicz rzucił już Miszy garść miedziaków, ostatnich może, i jednem silnem, herkulesowem uderzeniem pięści roztworzywszy drzwi na oścież, wypadł na rozścielającą się szeroko śnieżną toń.

Za nim, lecz w inną stronę, wybiegł pośpiesznie Misza, zgarnąwszy uprzednio rzucone sobie pieniądze, podejrzliwem z podełba spojrzeniem zmierzywszy Wilczyńskiego, jakby w obawie, by mu ten miedziaków nie wydarł.

Ale Wilczyński rychło się opamiętał. Rozpaczliwie rzucił się naprzód.

— Mydło, złodzieju, mydło zostaw i szpilki! — wołał za uciekającym Miszą — mydło!

Nie w ciemię bity jednak tatar znikł już gdzieś i ani sposób go odszukać było. Więc

http://rcin.org.pl

stary, pełen wściekłości w duszy, klął i złorzeczył mu głośno z progu:

— Żebyś zdechł... Żeby ci się babka twoja, lucyperowa, przyśniła, dziadek twój, lucyper, żeby cię żywcem w piekielne ognie porwał... Złodzieju, oszuście, łupieżco! Kajdaniarzu obmierzły, podłe, nikczemne zwierzę! Urodzony zbrodniarzu, wisielcze niedoszły, szelmo pierwszej wody! Szubrawiec... Mydło nazywa się sprzedaje, szpilki sprzedaje! Rzezimieszek, zbój, grabiciel! Kanalia najostatniejsza, plugawa!

Zatchnął się już z tego wołania, a jeszcze wymyślał nieobecnemu Miszy. Do deliryum doprowadzała go myśl, że on tego nie przewidział, że pozwolił tatarowi tak zakpić sobie i «wziąć na kawał» siebie i tego waryata Wylazłowicza!

Wszystkiemu zaś winną była przeklęta chwila słabości, na którą sobie niebacznie pozwolił...

— Pierwszej klasy bydlę! — wrzeszczał za zbiegłym dawno już Miszą, jakby chcąc ulżyć sobie i zwymyślać go «do reszty«. — Małpa najczystsza, królik, jakiego nikt jeszcze nie widział! Pies o pięciu nogach, koń z dwoma brzuchami, krowa z rogami na tyle! Kogut, znoszący jajka, pelikan, pożerający własne dzieci, antychryst!

Pienił się z wściekłości. Wyczerpał wszystkie już możliwe przekleństwa, a czuł, że pragnąłby mu wymyślać choćby do skończenia

http://rcin.org.pl

świata. Więc nie wiedząc, coby jeszcze powiedzieć, a jakby przypomniawszy sobie nagle coś, o czem kiedyś dawno tam w kraju miał może pojęcie — zduszonym, charczącym i urywanym od miotającej nim zapamiętałości głosem wołać począł:

— Gramatyka, arytmetyka, Ameryka! Abecadło bez liter, dyabelski modlitewnik, książka z błędami ortograficznymi! Profesor, zlatający z katedry, chluba oślej ławki, bedel, łapiący na paleniu papierosów... Geografia powszechna!

. . . . . .

A na dworze już zapadła ciemność. Mroźne surowe powietrze, przeniknięte ożywczą świeżością, jakby zastygłe, zawisło nad światem. W przestworzu leżała taka cisza, że Wylazłowicz, biegnąc pośpiesznie, słyszał z pod grubego baraniego półkożuszka bicie własnego zdyszanego serca... Jakiś nieukojony spokój, jakiś bezmiar zmartwiałości rozprzestrzenił się nad ziemią, ująwszy ją w swój sfinksowy uścisk. Była bezwładność senna w tem wszystkiem i jakby smutek niezwalczony, i tęskna ogromna żałość... Pod nogami i hen precz wszędzie, gdzie okiem było sięgnąć, leżał jeden olbrzymi całun, z śniegu jędrnego i chrupkiego utworzony, który pomimo ciemności — olśniewał. A na niebie wysoko, szeroko rozłożyły się smugi świetlne i mrugając gwiazd tysiącami, gadały jakby z ziemią...

http://rcin.org.pl

Wylazłowicz wciągał w swe szerokie piersi mroźne powietrze. Chata jego leżała daleko poza wsią, kawał był więc spory, zgrzał się też porządnie.

Nareszcie odnalazł drogę. Tu iść było lepiej. Po pewnym czasie ogniki w chałupach zaczęły migać i stawały się coraz wyraźniejsze. Wkrótce doszedł też Wylazłowicz do wsi i wpadł do jednej z chat. Uderzyła go jasność palącego się tam światła. Pozdrowił gospodarzy.

Chudy wysoki włościanin przywitał go:

— Zygmunt Władysławowicz! Jak się macie? Sercem całem was przyjmuję! Po list pewnie?

— Tak, list, list... — wołał gorączkowo Wylazłowicz. — List?

— Wiem — z flegmą odrzekł Powsiejenko — a jakże! Był Chorbatow w ***, listy od naczelnika przywiózł. Miał do Prochorowa, do Iwaniuka też miał, do Razdumowa i do was też... Wasz list mnie oddał, mówi: «czasu nie mam już bardzo sam Wylazłowiczowi wręczyć, ty, mówi, serdeczny, oddaj«. Ja zaś, że to wiecie Masza, córka moja malutka, nie bardzo mi domaga, nie ruszam się prawie z domu, dzieciny miłej wraz z żoną pilnując, czekam, nie przyniesie też licho jakiego czorta, coby do was z nowiną poszedł? A no, przyniosło, kogóżby innego przynieść miało, jak nie Miszę-niecnotę, oszusta znanego! Chciał, żebym mydło kupował... Mówił: król amerykań-

http://rcin.org.pl

ski kupuje, sam isprawnik kupuje! Szpilki też chciał sprzedawać... Nie mnie brać na takie kawały! Króla amerykańskiego on widział, ale we śnie tylko chyba! Przysięgał, że w domu ma list od niego, list z ogromną pieczęcią! Łże z pewnością. Po kopiejce mi mydło oddawał, nie głupim! W *⁂* za kopiejkę lepszego dostanie. Mówię mu tedy: «Misza, ośle jeden, przyjacielu, nie naciągaj, odczep się! Do Wylazłowicza idź, powiedz, że list do niego przyszedł, list zdaleka». Oddać się mu bałem, a nużby nie wręczył? Bies jego wie! «Do Wylazłowicza? rzecze, wiecie, pójdę, choć daleko okrutnie, bardzo daleko! Ale wy już kupcie choć jedno mydło, choć pięć szpilek!» «Idź, mówię, wynoś się! W *⁂* za pół ceny dostanę i lepszego!» Dopiero on: «Za pół ceny? powiada, i lepszego? Oszaleliście chyba? Toż wiadomo wam pewnie, że w *⁂* stryj mój, Achmet, siedzi, sklepik trzyma, mydłem i innemi rzeczami handluje? A, niegodziwiec, stryj mój, dam ja mu konkurencyę robić, konkurencyę w rodzinie! Szelma jest i jak się z nim zobaczę, awanturę zrobię!...«

I oto mało sprzętów mi ze złości nie poroztrącał, ledwie się upamiętał. «Idź, mówię, do Wylazłowicza, bo i ściemnia się pomału, a nie zapomnij: list do niego jest». «Już wy się nie bójcie, powiada, nie zapomnę ja, ale mu tego odrazu nie powiem. Wy wszyscy teraz mydła

http://rcin.org.pl

i szpilek kupować nie chcecie, to z wami trzeba inaczej! A tego złodzieja, stryja mojego, ja nauczę, kości mu połamię! Nie zechce on, Wylazłowicz, po dobrej woli kupić, to i tak potrafię go przyniewolić, powiem ot, że nowina jest, ale wtedy tylko ją wyjawię, gdy towar kupi». Pewnie was orżnął? Orżnął, Zygmuncie Władysławowiczu? I jeszcze na wychodnem wracał się ze trzy razy i wciąż z amerykańskim królem wyjeżdżał, do kupna zachęcał, taki osieł!

Wylazłowicz tarł czoło, twarz drgała mu bólem rozdrażnienia i niecierpliwości. Parę razy próbował przerwać potok słów gadatliwego Powsiejenki, który na świat boży nie wychodząc rad był, że ma z kim nagadać się do syta. Wreszcie wstrząsnął nerwowo głową i prawie krzyknął:

— List! Na miłosierdzie boskie, dajcie list!

— Prawda! Ciekawi jesteście... Cóż, dlaczego nie być ciekawym? Czytać umiecie!

Podał mu kopertę.

Wylazłowiczowi drgnęły ręce. Spojrzał: znał to pismo, ach, jak znał! Wyciągnął z koperty arkusz, rzucił się z nim do światła. Z listu padły w serce jego słowa:

— Mój synu!

Twarz mu drgnęła. Wytarte w życiowej walce oblicze wykrzywiło się ludzkiem czystem cier-

http://rcin.org.pl

pieniem: na liście, jak zwykle, widniały niezliczone ślady zaschniętych ciężkich łez...

Czytał. Oczy wpił w drobne, drżącą ręką kreślone litery i czytał.

Nagle pobladł. Wzrok jego, jakby zahypnotyzowany, zastygł. Zdało mu się, że ktoś uderzył go obuchem po głowie i że krew mózg mu zalała...

...Zosia umarła dziś rano. Strasznie mi i okropnie, boję się, boję, żebym nie zbluźniła Bogu, który mnie tak okrutnie doświadcza. Zygmusiu mój najdroższy, z twojem imieniem i imieniem syna na ustach skonała. Módl się za nią i za mnie...

Usiadł. Oczy wlepił przed siebie, krwią nabiegłe, straszne. Usta zaczęły mu drgać, jak w konwulsyi, z piersi począł wychodzić jakiś nieludzki jęk.

Przestraszony gospodarz podleciał ku niemu.

— Co się stało? — zapytał przerażony.

Wylazłowicz milczał. Dźwięk tylko z piersi mu idący zdawał się potężnieć, jakby spazmem na zewnątrz wydobyć się pragnąc.

Powsiejenko zaczął targać nim. Żona jego poskoczyła po wodę.

— Co się stało? — pytał.

Lecz nagle Wylazłowicz powstał. Odtrącił od siebie gospodarza, wyprostował się — olbrzymi, straszny, śpiżowy.

http://rcin.org.pl

— Siostra umarła! — wychrapał dziko. — Umarła!

I zmierzywszy ku drzwiom, wyszedł jak lunatyk.

. . . . . .

Szedł jakiś czas przed siebie, lecz nie wiedział, gdzie idzie. Słyszał z początku głosy nawołujących się po wsi ludzi, szczekanie psów, ryki bydła i ciche rżenie koni, lecz później wszystko to ucichło. Był na drodze pustej, niemej, jakby martwej.

Usiadł na jakimś osypanym śniegiem kamieniu. W butach czuł chłód i wilgoć, z wąsów zwisały mu sople lodu. Wpatrzył błędne swe źrenice w nieskończoną białą przestrzeń i siedział tak bez ruchu, zdrętwiały. Powoli jednak umysł jego jął budzić się z przerażającej obumarłości, w którą zapadł. Rozpaczliwym wysiłkiem woli starał się Wylazłowicz rozjaśnić sobie całą straszną prawdę, przekonać siebie samego, że to wszystko nie sen tylko piekielny... Począł myśleć.

Mózg jego pracował z trudem. Pojęcia się kojarzyły, to znów rozpierzchały, by zetknąć się na nowo. Pomału jednak zaczął grupować je i skupiać w jakąś całość... Zbierał wspomnienia.

Oto matka nad lampą schylona, robiąca pończochę, gderająca na niego, chłopca małego, za figle, których się dopuszczał, a obok Zosia, mi-

http://rcin.org.pl

lutka siostra, bobo rozkoszne, taka przyjemna i zabawna! Na krzesełku siedzi — dużem, z wielkiemi poręczami, nóżki małe wysuwa, bujając niemi w powietrzu — paradna! Rączką sięga po coś — bułkę pewnie, albo kawałek cukru i wciąż woła: mama, daj! mama, daj! A mama nie zważa na to wołanie, bo Zosia codzień tak upiera się o cukier, lub bułeczkę... Czasem tylko, gdy dziecina zbyt się z krzesła wychyli — psst! woła, kładąc na swych różowych ustach palec i grożąc nim Zosi: nie można, córuchno!

A jaka piękna ta matka, jak bujne jej złote przecudne włosy! A taka sierota już, tak smutna! Tato ich, tak, tato już w grobie, umarł za młodo... Wielkie jej oczy łzawe są zawsze i zamyślone, pamięć pełna niezagasłych pewnie wspomnień... Wcześnie ją już życie doświadczyło.

Aż oto on dorósł. Skończył gimnazyum, odbył praktykę rolniczą i pomału zaczął zarządzać majątkiem. Z pięknej matki jego uczyniła się kobieta starsza już o wiele, lecz pozostał jej urok najsilniejszy: dobroć i słodycz. A odrodziła się w córce. Ktoby tam poznał dawniejszą, nóżkami bujającą, cukru się napraszającą Zosię! Panna to już dojrzała, poważna. Ma jednak taki sam śmiech srebrzysty, jak dawniej i te same wesołe prześliczne szafirowe oczy... Kochać jej nie sposób, uwielbiać trzeba!

http://rcin.org.pl

A ludzie mówią: mało piękna, poprostu cudna, kumoszki zaś więdną z zazdrości.

I oto pewnego dnia zjawił się on, jej przyszły...

Wylazłowicz wzdrygnął się. On, gdyby nie on! — zawyło mu coś w duszy piekielnie.

Zjawił się i zabrał ją, tę kochaną. A w półtora roku — w zimny, okropny wieczór zimowy on i miłośnica jego odesłali ją zbitą i skopaną z niemowlęciem na rękach napowrót...

Wylazłowicz utkwił błędne oczy w błyszczący przed nim śnieg. Tak samo chłodno wtedy było i tak samo przerażająco!

Pojechał więc, pojechał do niego — nędznika. Straszną żywą pamięcią pamięta, jak po zuchwałej, szyderczej jego odpowiedzi nieprzytomny z bólu porwał leżący na stole przycisk i rozbił nim czerep szubrawca... Och, potworne to były wspomnienia!

A ona została i została matka. Jego zaś zesłali.

Przesunął dłonią po czole.

— Tam matka nieszczęsna! wyło coś w duszy jego, zagłuszane z szalonym uporem tak często — matka zbrodniarza! Tyś zabił matkę! — złowieszczym szeptem syczało coś w głębi jaźni jego — ty, matkobójco!

I naraz, jak żywą, ujrzał tę ziemię, na której się urodził i tę, która mu życie dała — ujrzał matkę, siostrę i Sewercia — niemowlę, teraz już

http://rcin.org.pl

chłopca pewnie sporego, wieś cichą i uroczną, nad rzeką szeroko rozpełzłą, całe wielkie, niezmierzone przestrzenie — wszystko!

A na tej ziemi, jak ostatnia z wyklętych, złamana bólem staruszka trawiła resztę dni na modlitwach za zhańbionego, lecz syna.

— Matko! — krzyknął, zakrywszy twarz rękoma — matko!

I piersią tego olbrzyma o żelaznej sile zatargał nowy głuchy wściekły ból rozpaczy:

— Moja matko!

Powstał. Nad nim ciche i majestatyczne wisiało niebo bezbrzeżne. Zdało mu się, że gdzieś, tam daleko, ponad ziemiami i lądami, ponad wszystkiem, co ludzkiem jest, ujrzał Tego, którego miłosierdzie i miłość są nieprzebrane, Ukoiciela i Zbawcę wyklętych...

A teraz oto spełniło się. Umarła Zosia, umarła jedyna! Wołała go przy śmierci, oczyma duszy raz go jeszcze widziała... Czysta jej, niepokalana dusza poszła w błękity niebieskie po światłość wiekuistą do Przedwiecznego Ojca...

— Zosieńko moja!

Stał blady, jak trup, z zsiniałemi oczyma, w posąg boleści i nieszczęścia zamieniony. Ta, którą tak strasznie ukochał, już nie żyła.

— Zosiu moja! — krzyczało pijane bólem serce jego, dusza, niezgłębionym żalem targana... — Zosieczko!

http://rcin.org.pl

Cisza śmiertelna drogi wchłaniała rozpacz jego bezdenną, gwiazdy, jakby na urągowisko, mrugały swawolnie ku niemu...

* * *

Nagle coś zadźwięczało niedaleko. Dzwonek, szarpany widocznie dyszlem sani, brzęczał i grał niesfornie. Po ziemi, acz usłanej śniegiem, szły dudniące echa bijących o nią kopyt końskich...

Wreszcie nadjechała trójka, powożona przez zziębniętego jamszczyka.

Wylazłowicz nic nie słyszał.

— Ej ty, kto tam jest, z drogi! — zagrzmiał donośny głos woźnicy — usuwaj się! nie widzisz, kto jedzie?!

Wylazłowicz stał, nie drgnąwszy nawet, zapatrzony, w bólu swym zapamiętały.

— Odłaź, mówią ci po ludzku, a nie to batem po plecach weźmiesz!

Lecz podróżny, który siedział w saniach, odchylił trochę futrzanego kołnierza i przemówił do jamszczyka:

— Bałwan jesteś! Co pomoże wołanie? Podjedź bliżej, zobaczymy kto stoi!...

Po chwili łby końskie dotknęły pleców Wylazłowicza. Odwrócił się i odszedł machinalnie na stronę. Figura w saniach spojrzała ciekawie.

— Pan Wylazłowicz! — zadziwił się podró-

http://rcin.org.pl

żny. — To awantura dopiero! Co pan tu robisz o tej porze?

Ale Wylazłowicz zdawał się nie patrzeć na niego. Więc podróżny przemówił żywo:

— Nie poznajesz mnie pan? Sekretarz z kancelaryi w *_*...

Wylazłowicz spojrzał błędnie na niego:

— Sekretarz?

— No tak, nie wiesz pan? Sądziłem — wyrzekł jakby z przekąsem — że pan nie włóczysz się, niby dziad jaki i pewnie bez celu po drogach...

— Po drogach? — powtórzył tak samo Wylazłowicz.

Lecz sekretarz wzruszył ramionami.

— Urżnął się bestya! — zamruczał — niema co nawet z nim zaczynać... Zacinaj konie! — krzyknął na przypatrującego się z kozła całej tej scenie jamszczyka — jedź!

Jamszczyk strzepnął lejcami:

— Wio, małe! — i rącza trójka ruszyła z miejsca tęgim kłusem.

Ale Wylazłowicz jakby się ocucił. Rozszerzonemi, jak w strachu, oczyma wpatrzył się w oddalające się szybko sanie. Ręce wyciągnął, zdawało się, iż chciał uchwycić niemi znikający wehikuł, pięści zacisnął kurczowo, niby w uścisku spazmatycznym... Głosem przeraźliwym wołał:

http://rcin.org.pl

— Panie Agafonow, zatrzymaj się pan! Panie Agafonow, na litość boską, nie odjeżdżaj!

Ogarniał go szalony, potworny lęk samotności, kielich cierpień się przepełnił... O, jakże strasznie i okropnie jest mu teraz na duszy, jak bez granic opuszczonym się czuje... A on nie chce, nie chce być sam!

Począł biedz drogą.

— Panie Agafonow — wołał z dziką rozpaczą w duszy — zatrzymaj się pan! Miej litość nademną, nie odjeżdżaj!

Ale sanie znikały coraz bardziej, sekretarz zaś nie słyszał nic.

W imię Chrysta błagam cię, nie odjeżdżaj — wołał rozdzierającym głosem Wylazłowicz, biegnąc wciąż drogą — nie zostawiaj mnie samego... Boję się, boję moich myśli!

Sań już ani śladu nie było.

Wtedy przypomniał sobie, że ma dom, a w domu jest Wilczyński. Biegł na przełaj polami — zdyszany, rozgorączkowany, nieprzytomny. Z czoła jego ściekał obficie pot, usta miał otwarte, pierś ciężko się podnosiła... Wreszcie cudem jakimś dopadł do swej chałupy.

Zatrzymał się jak wryty przed progiem.

— Zosia umarła! — wyło coś w duszy jego, wżerało się w mózg, paliło całe jestestwo jego... — Zosia umarła!

http://rcin.org.pl

Spojrzał na niebo. Olbrzymiemi, niezmierzonemi literami ujrzał tam wypisane:

— Zosia umarła...

Za chwilę całe niebo rozgorzało. Łuna rozlała się szeroko. Straszliwe słowa wyłoniły się z morza ognia czarne, pogrzebowe, jak klątwa.

Runął twarzą na śnieg, objął konwulsyjnie zimne jego płaty, jakby chcąc ochłodzić nimi rozpalone czoło i ryknął bolesnym, okropnym męzkim płaczem...

Na dźwięk tego wypadł z chaty przestraszony Wilczyński. Był bez czapki na głowie i bez rzemienia w pasie. Kożuszek ledwie wisiał na nim Trwożnym wzrokiem rozejrzał się dokoła. Nagle spostrzegł leżącego Wylazłowicza.

Podszedł ostrożnie i jakby z nieufnością. Potem dotknął go palcem i zapytał bojaźliwie:

— To wy, panie Wylazłowicz?

Ale leżący nie odpowiedział nic. Więc Wilczyński targnął nim już silniej i zniecierpliwiony krzyknął:

- Panie Wylazłowicz, daj pan spokój błazeństwom! Co pan wyrabiasz najlepszego? Nie bądź pan frajerem, udawaczem czworonogich stworzeń, do człowieka podobnych, aktorem szopek z dekoracyami!

Zdało mu się jednak, że Wylazłowicz nic z tego nie usłyszał.

Lecz nagle ten zerwał się z ziemi. Stanął

http://rcin.org.pl

przed zaniepokojonym Wilczyńskim, spojrzał na niego. Potem zaśmiał się dzikim niezdrowym śmiechem.

Stary cofnął się.

— W imię Ojca... — szepnął.

Wylazłowicz przysunął się szybko ku niemu i schwycił go za ramię:

— Zosia... siostra umarła! Zosieńka umarła!

— Bóg tutaj też jest, rozumiesz? — dodał prędko i groźnie, patrząc na drżącego Wilczyńskiego przejmującym wzrokiem. — Bóg jest! — krzyknął.

Ale potem puścił jego ramię. Oczy stanęły mu w słup, twarz skurczyła się. Błędnym głosem jął wołać:

— Patrz, patrz!... Zosia idzie po śniegu, krakowiaka z mamą tańczy! Sewercio Zosię za suknię ciągnie, a ona się odgania... O, widzisz, teraz ona Sewercia goni, a mama dopomaga. Patrz, patrz, ruszają się, żyją, weselą się, idą do mnie, a to wszak Brzozówka, wieś nasza miła! I mówili, że ona umarła, Zosieńka że umarła! Głupcy!

— Widzisz, jak tańczą? Mazura teraz zaczęli! O! jak suwają! Zosia drepce, niby panna, mama za kawalera tańczy... Tak, tak, z hołupcami! Hu, hu, hu, świr, świr, świr, z życiem!

Wilczyński stał blady śmiertelnie, przerażonemi oczyma wpatrując się w towarzysza. Cała

http://rcin.org.pl

swoboda jego, przebiegłość i krętactwo znikły. Złamanym głosem powtarzał:

— Zosia umarła... Zosia umarła...

Ale odpowiedział mu tylko szaleńczy śmiech Wylazłowicza.

Ojców w Kieleckiem 1899.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

MOMENTY

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

ŚWIT.

Jeszcze ciemno. Cicho otworzyłem drzwi od pokoju mego w dworku i nałożywszy kapelusz na głowę, wyszedłem. Chłód nocny przenika me członki. Prostuję je z rozkoszą i oddycham głębiej. W tej mającej się ku schyłkowi nocy wiosennej jest zda się bezmiar tężyzny...

Poszedłem. Mijam zabudowania folwarczne, przemykam przez przełaz w płocie i zmierzam wprost na pole. Ścieżka, biegnąca środkiem jak strzała, prowadzi do odległego lasu...

Mrok ściele się jeszcze... Gdzieś we wsi pieją koguty, pobudzone psy, jakby w odpowiedzi, poszczekują. Wokół jednak zalega dotąd cisza nocna, cisza tajemnicza, sfinksowa... Jest spokój i wielkie, prawie martwe ukojenie się natury. Najlżejszy odgłos rozchodzi się z siłą podwojoną, las w oddali odpowiada niewyraźnem echem... Coś uroczystego tkwi we wszystkiem.

Ale już pierwsze cieplejsze podmuchy zaczynają napływać skądciś nieuchwytnie. W po-

http://rcin.org.pl

wietrzu unosi się ta sama surowość, lecz jakby przeszywana od czasu do czasu łagodniejszem jakiemś tchnieniem. Nadchodzi okres przełomu, chwila cichej, ale tytanicznej walki... Gwiazdy bledną, zasmucone i niechętne, niebo nieznacznie różowieje. Coś burzy się i drga w przestworzu: jasność z ciemnością zmagać się poczynają.

I oto jeszcze minut kilka... Już niebo coraz przezroczystsze, gwiazdy nikną dla oka coraz szybciej. Ręka jakby tytana rozdziera olbrzymią zasłonę, okrywającą świat cały. Blade lękliwe światło, światło życia, wdziera się w przestworza i rozjaśnia ziemię. I jest to antyteza bezwładności, apatyi, śmierci... Przychodzi, bo przyjść musi, bo jest jak fatum nieuniknione. Niezmienny porządek natury: wieczne odrodzenie, wieczny cud...

Idę, wciągając z rozkoszą w piersi powietrze. Jakaś łagodna tkliwość przenika powoli bezmiar, słodka moc ogarnia wszystko. I czuję, że teraz wszędzie każde źdźbło, każdy atom zapładniają się nową siłą. Ostatki mroku giną gdzieś jakby przerażone, potępione...

A pod stopami memi ziemia orna, miękka, bruzdami poznaczona, falista. Runią pokryta, a taką świeżą, puszystą, zda się pachnącą. Schylam głowę i patrzę na tę ruń zieloną: chleb boży w zaczątku.

Mokra cała od rosy. Wszędzie, gdzie spoj-

http://rcin.org.pl

rzysz, wychylają do ciebie łebki źdźbła operlone. Przesuwam po nich ręką: jędrne są.

Hej! Ogromnie mi się chce oddychać, koić płuca powietrzem! Od lasu lecą żywiczne podmuchy, szum tęskny od niego biegnie. A pola leżą ciche, spokojne, pełne bezmiernego ukojenia i majestatu. Jest w nich coś niezmiernie uroczystego i zarazem łagodnie dobrotliwego. Tak może wyglądać tylko matka, która tyle dzieci karmi...

Lecz oto staję. Tam z boku ode wsi wyruszyło coś ciemnego i zmierza wolnym ruchem na pole. Wytężam wzrok: to chłop z pługiem ciągnie i pogania biedną szkapinę. Za nim idzie coś małego, pies pewnie. Jeszcze minut parę: nie, to pacholę małe.

Stanął. Pług z wózka zdjął, uszykował. Poprawił na szkapie chomąto, zaprzągł ją do pługa. Zacznie pewnie orać.

Zdejmuje jednak czapkę. Pacholę idzie za jego przykładem. I wraz odzywa się polska pieśń-modlitwa:

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze...

Ziemia wydaje się jeszcze cichszą, jeszcze spokojniejszą... Piskliwy, cienki dyszkant pacholęcia wtóruje basowi mężczyzny. W melodyi jest coś uroczystego i pełnego skupienia. W przestworza biegnie serdeczne:

http://rcin.org.pl

Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki...

Obnażam głowę. Słucham z zapartym w piersiach oddechem. W naturze wszystko zdaje się teraz jednem ogromnem rozmodleniem. Tęskny poszum lasu zlewa się z uroczystą pieśnią prostaczków. I przysiągłbyś, że śpiewa wszystko:

Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon, Boże wielki!

Świt blady jest już nad światem...

PORANEK.

— Paniczu, mój paniczu!

— A co tam, stary?

— Pódźcie ino krzynkę... Widzita te «mareszaly»?

Przed chwilą kąpałem się w rzece. Jeszcze czuję chłód wody i rzeźkość, która mi się po członkach rozlała. Jestem w ogromnie wesołem usposobieniu i chętnie pożartuję ze starym.

Stoi pochylony nad krzewem prześlicznych «Maréchal»... Dłubie coś koło nich, obcina zdaje się niepotrzebne gałązki. Pachną te róże, że hej!

— Co? — pytam, klepiąc ogrodnika po zgar-

http://rcin.org.pl

bionych plecach — ładne te «mareszaly», Jacenty?

— Pikne, proszę panicza.

— Ładniejsze, niż Marychna z czeladnej?

— At, paniczowi się Marychna uwidziała! Co ma dziewka do róży? Nicpotne takie gadanie!

— Dziewka do róży? Mój stary, nie udawajże przynajmniej głupiego!

Ale Jacenty na punkcie swych róż całkiem już zwaryował. Wszelkie choć trochę lżejsze odezwanie się o nich poczytuje zaraz za osobistą obelgę.

— Widzicie, paniczu — zwraca się ku mnie ze złym uśmiechem. — Marychnie się Antkowe ślepie podobają i wasza kieszeń. Ta niechaj już Antek przy tej «róży» ostanie, a wy zawdy lepiej pilnujcie jasnej panienki ze dworu!

No, gdyby nie ta dawna znajomość z Jacentym i jego lekki z powodu róż «zajączek»! Co za bezczelność... Taki Jacenty!

Patrzę na róże. Jest ich tu więcej, — cały zagaj chyba, wszystkie prawie odmiany i gatunki. Jeszcze rosa wisi kroplami na nich, pieszczotliwe słońce nie zdążyło wypić jej zupełnie. Każda kropelka mieni się kolorami tęczy, w blasku słonecznym wygląda jak szlifowany drogi dyament. I gdy spojrzysz, przymrużywszy oczy, na tę moc róż, to ci się zdaje, że jakaś

http://rcin.org.pl

czarodziejka z bajki osypała je lśniącymi kamuszkami, znacząc w ten sposób swą drogę. Wszystko błyszczy i mieni się.

Cudny jest ten młody ogród. Kwiaty, kwiaty i kwiaty, — same krzewy, klomby i gazony, aż odurza w głowie. A wszędzie gdzie spojrzysz, aleje, wysypane miękkim, jedwabnym prawie piaskiem. I taki tu aromat, taki wdzięk... Rozkosz zda się i życie biegną za tobą i nawołują cię wesoło: hop, hop, a bywajże tu, bywaj!

Skręcam w aleję owocową. Czereśnie, wiśnie, grusze, jabłonie, śliwy... Na pobrzeżu kłębią się krzaki agrestu i porzeczek. To wszystko zaś znowu przeplatane całem morzem kwiecia, którem szczególniej zdają się tutaj lubować. Czereśnie i wiśnie już dojrzałe. Uśmiechają się wesoło i nie żal im nawet, że niezadługo poginą. Ale bo też i smucić się trudno, gdy na świecie tak wszystko wesołe i swawolne. Pieszczą się z słońcem i tulą się do niego, jak do kochanki.

Czuję, widzę prawie tę moc, co wlewa tu życie w najmniejszą nawet roślinkę. I zdaje mi się, że słyszę, jak tu wszystko rośnie, dojrzewa. Zdrowie i tężyzna poprostu kipią. Oddychasz mimowoli głębiej, z piersi twej wybiega nie smutne westchnienie, lecz cichy okrzyk radości...

Ach, jak pachnie świeżością! Świeżość to tkliwa, łagodna. Jeszcze niema żaru, jest tylko ciepło. Złotawe promienie słońca ścigają się wza-

http://rcin.org.pl

jemnie, igrając z sobą między liśćmi drzew i krzaków. W alejach i na dróżkach tworzą pasma, smugi i plamy, a gdzieniegdzie całkiem zalewają je światłem...

Rad jestem, żem wstał wcześniej i nie stracił tego poranku, jednego z pięknych poranków mego życia. Jest taki, że może rozbroić najposępniejszego pesymistę. Nawet Jacenty, zupełnie obojętny na podobne rzeczy, pośpiewuje sobie pod nosem wesoło.

A od zieleni i kwiatów trudno oderwać oczy. W ich operleniu, w ich barwach i zalotnych kształtach tkwi niewysłowiony czar. Chciałoby się to wszystko wchłonąć i być nawzajem wchłoniętym. Wzrok napawa się i syci, a dusza jakby się w harfę zamienia. Bo gra coś, rozbrzmiewa muzyką dziwną... Grają barwy, grają kształty, gra światło, i coś w twem wnętrzu gra — dusza pewnie. Czujesz olbrzymią, mistyczną prawie harmonię, harmonię piękna. Każdym nerwem swoim, każdym fibrem odczuwasz ją i zabierasz na swą własność. I przez tę świeżość niepokalaną, która cię tu otacza, przez bezmierną siłę młodości, tryskającą tu zewsząd, przez tę tężyznę przedziwną uświadamiasz sobie swoją własną krzepkość. Więc radość jakaś ogarnia cię coraz więcej, jakaś szalona buta wstępuje ci w serce...

Idę wesoły i rozbawiony. Miałbym ochotę

http://rcin.org.pl

uścisnąć ten ogród, to słońce i wszystko. Na myśl przychodzą mi słowa Jacentego: «zawdy lepiej pilnujcie jasnej panienki ze dworu»... Tak, tam we dworze jest młoda dziewczyna, świeża jak ten poranek i czysta, jak on... Z nad łąki przybiega skoczny kujawiak, wyrzucony z ligawki rozochoconego pastucha. W takt tego kujawiaka zdaje się pomału tańczyć wszystko i rozbrzmiewać pieśnią wesela. Jaka szkoda, że tej pięknej dziewczyny ze dworu tu niema! «Świeża, jak poranek i czysta jak on». Gdyby się domyśliła...

Lecz... Z alei, gdzie rosną krzaki jaśminowe, migają jasna sukienka i wielka złota kosa. Wpatruję się: to ona! Więc przyszła, więc jest! Przyspieszam kroku, witam się serdecznie.

— Pan tu, w ogrodzie?

— Pani także tu?

W ręce trzyma cały pęk jaśminu. Wyciąga go ku mnie i podaje mi go.

— Mój ulubiony kwiat — mówię radośnie.

Biała cherubinowa twarz dziewczyny opromienia się jasnym blaskiem, wielkie śliczne oczy uśmiechają się wesoło. Patrzę — i nie mogę wzroku od niej oderwać. Biorę obie jej ręce i ściskam, dziękując z zapałem.

— Prawda, jaki cudny poranek? — pyta, a jej ciemne oczy wydają się jeszcze większemi, jeszcze piękniejszemi, niż zawsze...

http://rcin.org.pl

— Cudny, cudny, cudny! — odpowiadam i potrząsam temi drobnemi rączkami z całej mocy.

POŁUDNIE.

Jestem w polu. Gęsto rośnie tu żyto dorodne, zabarwione masą smukłego bławatu. «Dziedzic», u którego bawię w gościnie, utrzymuje, że ten bławat to «jest świństwo i nic więcej», zwyczajny obmierzły chwast, pleniący się nie wiadomo poco i dla kogo — ja jednak nie bardzo na to się piszę. Jako skończony egoista, dziękuję w duszy Bogu, że mi umożliwił nieco inne na owo «świństwo» zapatrywanie się. Bo i jakże można tak bezlitośnie potępiać te sterczące z pośród kłosów śliczne główki chabru, takie przekorne i przylepne? Na Jowisza! To jest rzecz, znakomicie «robiąca»!

«Dziedzic» na szczęście mnie nie słyszy. Zaraz zemściłby się, dając zamiast mięsnego obiadu — postny. Wszystkie me estetyczne zachwyty chowam w głębi duszy starannie. Jestem hipokrytą, ale to trudno. Niech «dziedzic» myśli o mnie jak najlepiej!

Idę na przełaj polem, roztrącając na obie strony kłosy żyta («dziedzic» by mnie za to ukamienował) i napawam się urokiem podobnie

http://rcin.org.pl

«nonszalanckiego» brodzenia. Lubię tak iść, iść i iść i wchłaniać w piersi bezmiar rozradowania, którem zda się być brzemienne przestworze. To lipcowe południe, przepojone blaskami słońca, gra chyba i śpiewa. Pieśń weselną nuci i zarazem rozbrzmiewa jakimś zawadyackim, szalonym marszem... — Dosyć smutku, dosyć zawodzenia — przysiągłbyś wokół się rozlega — wesoły dzień nam nastał!

Słyszę nieledwie to wołanie, słyszę także, jak w zbożu wszystko zdaje się mu wtórować. Bo tam również odbywa się dziwny jakiś koncert. Rozkołysały się kłosy żyta, ziemia jakby szemrze... Muszki i bąki gwarzą bez wytchnienia, koniki rzucają się, jak szalone, świerszcze ćwirkają zajadle. I jest coś niesłychanie ciekawego w tym ogólnym szale, który rozpanoszył się tu wszędzie. Żadne źdźbło, żaden pyłek nawet nie zdają się spokojne. Idzie to wesele, to junactwo, jak burza i ogarnia sobą wszystko. A tem dziwniejszem się wydaje, że gdy staniesz i wsłuchasz się, to masz złudzenie, jakby tu cisza tylko tajemnicza i niemoc omdlała królowały. Słuchasz jeszcze: nie, tu wszystko szaleje naprawdę!

Jak miło, jak wesoło! Jak bardzo chce się wtedy żyć i radować! Powietrze i ziemia są nie do wiary nasycone słońcem. Jaskrawe światło, zalewające potokiem pola, obejmuje je w nie-

http://rcin.org.pl

zwykle krzepki uścisk i tuli namiętnie do siebie. Każdy atom jest przepojony ogniem i blaskiem. W tem gorącu i żarze jest coś zupełnie oszałamiającego. Idziesz odurzony, jakby uroczony. Przez głowę przelatuje ci myśl, że to może znużenie, lecz zaraz spostrzegasz swą pomyłkę, bo ci się tego słońca jednak tak chce, jak potępionej duszy zbawienia. Pragniesz, by cię paliło i drażniło, upajasz się niem. I wdychasz w siebie ciepły powiew wiatru, pomieszany z zapachem ziemi, zboża i kwiatów. Pierś rozszerza się, płuca się koją... Niezwykłym jest ten zapach!

Pozwalam brać się słońcu w coraz gorętszy uścisk i sam poddaję mu się chętnie. Jakieś zadowolenie przenika mnie całego. A wspaniałe dojrzałe żyto szumi, bławat śmieje się przekornie, świerszcze ćwirkają mi: jak się masz, jak się masz?! Przesuwam ręką po kłosach, rwę chaber. Tak mi jakoś dobrze...

I nagle porywa mnie szalona ochota rzucić się w to morze zboża, przytulić je do siebie serdecznie. Kładę się bez wahania, nie myśląc o tem, coby na to «dziedzic» powiedział. Ręce złożyłem pod głową, twarz nasłoniłem kapeluszem.

Leżę. Słyszę w całej pełni wielki, potężny koncert. W sercu mojem, duszy i mózgu znajduje on niezwykły oddźwięk. Słyszę też lekki

http://rcin.org.pl

poszum kłosów i poję się zapachem ziemi. Zdaje mi się, iż zwolna przemieniam się w jeden z tych niezliczonych atomów, z których się składa świat. Moją ludzką indywidualność biorą t. zw. dyabli, roztapiam się w bezmiarze. I oto teraz widzę prawie duszę przyrody, czuję bicie jej serca... Z pietyzmem, lecz i dziwną jakąś miłością garną się do niej kochanej, z rozkoszą oddaję jej siebie i wzajem wchłaniam jej czar...

O ZACHODZIE.

Wolnym krokiem idę z bazaru za miasto. W ręce trzymam kupiony przed chwilą melon, kieszeń wypycha mi torba z winogronami. Mostar jest jeszcze pełen ruchu i ożywienia, z tem większą przyjemnością ocknę się za jego murami...

Na chwilę przystaję, by rzucić wzrokiem na płynącą w kamiennem łożysku Narrentę. Ta Narrenta jest doprawdy śliczna i dziwić się trzeba, jak mało oceniają jej urok tutejsze «niedźwiedzie». Ogromnie lubię patrzeć na tę górską rzekę: w swojej dzikości ma coś podobnego do kobiety, która zarazem pragnie i odpycha...

Jestem na szosie. Później skręcam na drogę, umajoną z obu stron krzewami, drzewami figo-

http://rcin.org.pl

wemi, plantacyami tytuniu i całą masą winogradu. Z jakimś sentymentalizmem myślę, że taka flora, jaką tu spostrzegam, może naprawdę rozmarzyć i mnie, synowi północy, zawrócić trochę w głowie. Oddycham głębiej — w powietrzu jest jednak parno.

A wszędzie, gdzie okiem rzucić, majestatyczne, groźne, przepiękne, olbrzymie góry skaliste, skamieniali rycerze śpiący, «straż cicha Hercegowiny...» Ciągną się ich łańcuchy całe, pomarszczone, poszczerbione — te góry ożywia jakaś wielka dusza.

Siadam pod drzewem figowem. Nad głową mam bezdenny błękit nieba, na niem gorzeje ogromna kula słońca. Chyli się już zwolna ku zachodowi, po pewnym czasie zniknie zupełnie za horyzontem.

I z rozkoszą napawam się widokiem. Tam gdzieś w stronie błyszczą kamienne domy Mostaru, których białość w blasku słońca wydaje się jeszcze więcej oślepiającą. Tajemniczy rozgwar Narrenty ucichł już zupełnie, wokół wszędzie rozgościła się leniwa cisza. Oparłem głowę o drzewo i myślę... Jak tu inaczej, inaczej!

Potężnym, wzruszającym w swej nieopisanej krasie jest ten kraj. Przepych barw, światła, niezliczona moc najpiękniejszych krajobrazów roztaczają się tu na każdym kroku. Jakiś straszny majestat bije od owych gór, pełnych za-

http://rcin.org.pl

dumy groźnej i posępnej, zasłuchanych jakby w odgłosy wspomnień dziwnych. I jedno uderza w nich nadewszystko, bije od nich zewsząd: to melancholia, ta bezdenna melancholia, co nie zabijając fizycznie, pożera serca i dusze. Tak, pełnymi smutku niezmiernego są te olbrzymy, czarujące kształtami, przykuwające wzrok do siebie. A smutek to zda się nieukojony, wieczysty. I choć tam w dolinie życie wre i kipi, choć u podnóża ich wiją się przekorne rośliny — one jednak nie zwracają na to uwagi i sterczą jakby zdrętwiałe w swym bólu. Ten nieruchomy spokój, ta martwota przygnębiają i przejmują dreszczem. Są jednak i źródłem dziwnego upojenia: dusza korzy się i wielbi smutek, posępność, grozę. Człowiek upaja się tą grozą, jak asceta cierpieniem. I patrzy się, patrzy bez wytchnienia, by nasycić oczy majestatem, wchłonąć dzikie przygnębienie gór... Słońce ozłaca je i pieści — one zdają się nieczułe na jego tkliwe pieszczoty.

Z westchnieniem rozmyślam nad tem. Z doliny przylatuje wiatr ciepły i owiewa mi skronie leniwie. Znać, że go nie zrodziły góry, że «nie przeleciał po nich sokołem». W przestworzu jasność jest niezmierna.

Lecz nagle coś zaszeleściało w pobliżu. Oho, nie jestem sam! Z pod sąsiedniego krzaka wysuwają się nogi w szerokich tureckich szara-

http://rcin.org.pl

warach, a później ukazuje się głowa w fezie z twarzą zupełnie starą. Przez chwilę dwoje czarnych oczu, trochę jakby wyblakłych, spogląda na mnie dość groźnie, następnie groza zamienia się w zwyczajną ciekawość. Przyczyniają się do tego pewnie: oryginalny wygląd mego stroju, no, i mina wcale nie zbójecka!

Heroicznie gotuję się do pogawędki, przepowiadając sobie w myśli wszystkie serbskie słowa, kiedykolwiek przez mózgownicę moją pochłonięte. Wiem, jak «tutejsi ludzie» są skorzy do rozmowy... Trzeba spełnić kielich.

— Szwabo? — pyta mój sąsiad.

— Nie — trzęsę głową — «Poljak»!

— Co to jest Poljak?

— Taki Słowianin...

— Z daleka?

— Z dosyć daleka.

— Krewny Bośniaka?

— Krewny.

Jegomość w fezie wykrzywia usta pogardliwie, potem spluwa:

— Po co tu przyjechał?

— Tak sobie.

— Co to jest «tak sobie»?

— Tak sobie jest tak sobie — odpowiadam z niezachwianą pewnością.

Sięgam po melon, kraję go nożem i wyrzu-

http://rcin.org.pl

cam pulchny ośrodek. Po chwili milczenia słyszę głos:

— Szwabo je melon?

— Jem.

— Ja też lubię melony.

— Proszę — mówię i podaję spory kawałek.

Jegomość je, później ukazuje palcem na moją torebkę:

— Winogrona?

— Winogrona.

— Ja też lubię winogrona...

Podaję torebkę. Ciekawy «facet»!

— Tytuń jest? — słyszę po chwili pytanie.

— Jest.

— Ja palę tytuń...

— Domyślam się. Oto jest.

Jegomość skręca papieros, zapala go i kładzie się na wznak.

Podziwiam znowu cudny krajobraz. Słońce, coraz większe, chyli się coraz niżej. Po bokach zaczynają opromieniać je złote blaski. Wszystko zdaje się przybierać żałosny wyraz pożegnania...

Teraz ja uznaję za stosowne zadać memu sąsiadowi parę pytań:

— Hercegowińczyk?

— Nie.

— Turek?

— Tak — odpowiada z chełpliwością i jakąś butną pychą.

http://rcin.org.pl

Fiu! — myślę sobie. — Więc dlatego tak wydął wargi, gdy się dowiedział, żem «krewny Bośniaka». Musi być nygus pierwszej wody — wnioskuję w duchu, obejrzawszy dokładnie starego.

On leży spokojnie, kółka dymu puszcza i od czasu do czasu spluwa głośno wprost... w powietrze.

— Wszystko jest teraz nędzne — odzywa się nagle. — Szwabo mówi, że jest Poljakiem, krewnym Bośniaka. I po co Szwabo tu przyjechał? Słońce świeci, zieleń rośnie, a góry, kamienie nasze niebotyczne, kąpią się w blasku... A czy one kąpią się tak, jak kąpały się dawniej? Czy zieleń tak rośnie? Czy słońce tak świeci? Nie tak. Dawniej i «Szwabo» tu nie zaglądał i Bośniak i Hercegowińczyk byli naszymi psami. Lecz może młody Szwabo lubi gadać, pójdzie i będzie rozpowiadał, co ja mówiłem? Miasto blizko... Niech idzie!

Uśmiecha się lekceważąco. Mówi to z ironią, jakby litując się nademną bezdennie. Żuje niedopałek papierosa i przy tej okazyi pokazuje resztki żółtych zębów. Mówi po serbsku: tu każdy Turek po serbsku mówić umie.

— I słońce inaczej zachodzi — ciągnie leniwie. — Czy Szwabo może mieć o tem pojęcie? Tak dawniej nigdy nie zachodziło. Wszystko nędzne.

http://rcin.org.pl

Wzruszam ramionami. Słońce zachodzi wspaniale, prześlicznie mieniąc góry i dolinę. Domy Mostaru nabierają koloru złotego i coraz więcej stają się złociste. Całe powietrze jest jakby nasycone złotem, pomieszanem z lekką czerwienią. Krajobraz uderza pięknością.

— Nam czas, mówią, wynosić się dalej... Gdzie wynosić się ze swojej ziemi? Czy ta ziemia nie jest nasza, turecka? Czy Szwabo wie co o tem?

— Wiem.

— I cóż wie?

— To jest i c h ziemia!

— Austryaków? — pyta i podnosi się lekko z trawy.

— Bośniaków i Hercegowińczyków — odpowiadam z mocą.

Stary Turek mruży oczy. Potem patrzy na mnie z zdziwieniem. To mu nie przyszło, zdaje się, nigdy do głowy. Lecz kończy szyderskim śmiechem.

Wstaje. Oczy utkwił w płonącą wielką kulę, która opuszcza się szybko coraz niżej i za chwilę może już zniknie zupełnie. Na jego twarzy, tak jak na wszystkiem teraz, legł odblask złotoczerwonawego światła, zabarwiając ją charakterystycznie.

Stoi. W oczach poczynają mu igrać błyski, mięśnie na policzkach drgają:

http://rcin.org.pl

— Kiedyś... Było lepiej... Jest ziemia, ogromna, wielka ziemia, tam dalej... Tam jest też wielkie słońce... padyszach. O tem, co zachodzi tutaj, mówią, że jutro wstanie znów piękne, młode i świeże i tak codzień... Ale my wiemy, że to kłamstwo podłe. To nasze już zaszło. I może drugie słońce, padyszach, sprawi, że to będzie znów naszem. Co ty jednak, młody Szwabo, wiesz? Wy wszyscy jesteście...

I nie kończy, jakby w obawie, że naprawdę powie za dużo.

Lecz mnie porywa urok tego zachodu. Wstaję i patrzę z rozkoszą na czarującą i niezrównaną w swym przepychu grę barw, grę światła. Jest to jedna olbrzymia symfonia zawrotnego wdzięku i krasy. Jak gdyby na ostatnie pożegnanie uśmiecha się całą pełnią słońce i krzyczy zda się: bywaj! W duszy mej widzę dziwny obraz: kochanek, opuszczający kochankę, śle jej dłonią pocałunek i pocałunek ten biegnie przez przestrzeń, by upaść na jej koralowe wargi i wywołać w łonie burzę. On, choć odchodzi, ma uśmiech szczęścia na twarzy, bo jutro ją ujrzy znowu. To słońce tak samo żegna ziemię...

— Tu jest pięknie! — mówię z zapałem.

— Było... — mruczy starzec.

http://rcin.org.pl

WIECZÓR.

Wracamy znużeni mocno... Jezioro, gdzie Wasyl zapuszczał dzisiaj sieci na ryby, leży dość daleko od naszego dworku. Iść trzeba ogromnemi nizinnemi łąkami, pełnemi trzęsawisk i do połowy miejscami zatopionemi w wodzie. Buty nasze są mocne, a cholewy sięgają nam do kolan samych. Swoją drogą czuję wilgoć nieznośną, przenikającą do nóg moich obficie, a Kazik klnie także pocichu co chwila...

Kazik jest malarzem i dlatego, pomimo wcale nie zabawnej wędrówki i swych na nią wymyślań, odnajduje dosyć jeszcze w sobie ochoty do robienia czysto malarskich spostrzeżeń. — To jezioro to wcale wdzięczny temat — mówi — takie ciche, senne, zda się zastygłe. Szczególniej, gdy budzący się ranek okrywa je lekką poświatą i wbrew jego wiecznemu spokojowi każe mu się jakby leniwie przeciągać, prostować... W takim momencie jest wiele nastroju i byle duszę tego nastroju uchwycić — pejzaż może być coś wart!

— Mało motywów kolorystycznych — robię uwagę. — W naturze trzeba umieć odnaleźć i barwę i oddać jej surowe piękno, czy pieściwość... Często zaś można połączyć jedno z drugiem.

http://rcin.org.pl

Odwracam się i gwiżdżę na psa, który zwabiony czemś dla siebie podejrzanem, odbiegł na dobrą metę od nas. Polowaliśmy bowiem w poblizkich mokradłach i na kaczki i każdy z nas dźwiga na ramieniu ciężką dubeltówkę, systemu chyba przedpotopowego... Nie mam najmniejszej pretensyi do znawstwa w dziedzinie malarstwa i wiem, że zaraz otrzymam od Kazika «lanie».

— Także! — nie zaniedbuje ten zaznaczyć — barwę! Widzicie, jaki cacany kawaler! Są «kawały», gdzie prawie żadnej barwy nie uchwycisz... Duszę oddaj! A zresztą przypuść, że rysuję kredką, lub smaruję piórkiem!

Phii, co mi tam! Niech i tak będzie. Mrok, choć słaby jeszcze, poczyna pomału zalewać ziemię, trzeba się więc spieszyć, by na czas do domu zdążyć i nie przewrócić się w ciemnościach w «dziurę».

— Lubię taką galaretkę — mówię, chlupiąc butami w błocie — prawdziwa poleska idylla! Czy czujesz, że tu wszędzie jest jedna tylko królowa: wilgoć?

— I co z tego? Ta «niechaj»! Neptun, do nogi, Neptun!

Neptun nadlatuje w podskokach i kręci młyńca ogonem. Nic go nie obchodzi, że «chlupie» sobie po wodzie niezgorzej od nas. Jest rad.

http://rcin.org.pl

... Już wieczór nadszedł,
Psy się uśpiły ...

trawestuje Kazik.

— Daj spokój! — mruczę. — Ani wieczór jeszcze nie nadszedł, ani psy się jeszcze nie uśpiły. To wszystko dopiero będzie.

— Będzie za chwil kilka...

— Zapewne.

Rzeczywiście. Mrok, przed chwilą rzadki, zaczyna gęstnieć, «zwierać się» w sobie. Robi się przytem jakby cięższym, omdlałym. Wraz z nim spływa pomału niemiła mgła, która opada coraz niżej...

Gdyby Kazik nie był tak zajęty wymijaniem znaczniejszych «oceanów» wody i skakaniem z kępki na kępkę, toby, jako «nastrojowiec», musiał zauważyć, że w tym krajobrazie, który się przed nami roztacza i w tym całym aparacie dodatków do niego, jak mrok, mgła etc. jest dziwny, leniwo-senny sentyment. Niema w tem niczego, coby działało silnie, przejmująco, coby wzruszało duszę i serce. Niema śladu żadnej, najlżejszej choćby grozy, smutku wielkiego, lub olbrzymiego zadumania. Jest tylko takie doskonałe zobrazowanie lenistwa i apatyi, nie z bólu, lecz z ociężałości wypływającej, że poprostu chce się napawać tem ciekawem *far niente* natury. Sentyment lenistwa — to brzmi trochę osobliwie, nie mija się jednak z prawdą. Mam ochotę

http://rcin.org.pl

«wygrzmocić» ten kawał ziemi i powietrza za takie obnażanie swej «jaźni» bez ceremonii — pamiętam jednak o tem, że wszelka szczerość jest chwalebną. I zresztą... Jakże tu «wygrzmocić»? Frazesy!

— Kaziu, Kaziu — wołam — czego skaczesz, jak najęty? Dbasz o swe zdrowie tak, jakgdyby świat na podobnych tobie stał!

— A co, może nie? — odpowiada Kazik i patrzy na mnie, jak na heretyka. — Sumienie nakazuje mi dbać o swe zdrowie!

Brodzimy, aż miło. Pies kręci się pod nogami i poszczekuje radośnie. Dubeltówka zawadza mi trochę i gniecie, Kazik jednak nie chce nieść dwóch. Patrzę na jego rozrosłe bary i ręce, nie nadające się bynajmniej do «pieszczot». Taki niedźwiedź i nie ulży mi ciężaru!

— Ej, panie Kaziu — mówię — panie Kaziu z sercem, jak kawał lodu! Nie żal też panu słońca?

— Słońca? Także wybrałeś się! Czego ma być żal? Będzie jutro!

Jutro... Zapewne. A tymczasem znikło już oddawna i nawet wierzyć się nie chce, że w południe lało tu potoki światła. Jest coraz mroczniej i za chwilę będzie już zupełnie ciemno.

Dochodzimy wreszcie do lepszej drogi. Idziemy teraz pod górę. Nasz dom stoi na wznie-

http://rcin.org.pl

sieniu i ku zobopólnemu zadowoleniu widzimy już jego mgliste kontury.

— Kazik, taki zapadający szybko mrok to też motyw? — pytam.

— Pewnie.

— A zupełna noc? Ciemno, choć oko wykol, kot nawet niczego nie zobaczy. I oto porywa cię natchnienie: bierzesz blejtram, zasmarowujesz go czarną, jak myśli przed pierwszym, farbą, oprawiasz to w ramy i pompatycznie podpisujesz na kartce jedno imponujące słowo: «Noc». Dzieło sztuki wyborne, nastrój wprost wściekły — i kolorystyka znakomita. Przychodzi taki paniedzieju filister i płaci za to kilkaset blatów... jak wyciął! Co?

— Idź do dyabła!

— Jeszcze mi się nie chce...

Jesteśmy już na ganku. Zrzucamy dubeltówki, z butów, zzutych z nóg, wylewamy małe kałuże wody. Służąca krząta się koło stołu, nakrywając do wieczerzy. Kazik ogląda się za nią częściej, niżeli potrzeba, ona także szczerzy do niego zęby pokryjomu. Patrzę pobłażliwie na to wzajemne «telegrafowanie». Oboje są młodzi i oboje «mają się» do siebie, aż miło. Kaźkowi przepowiadam jednak, że te amory do niczego dobrego nie doprowadzą i że niepotrzebnie stara się powiększać liczbę zgorzkniałych pesymistów. Lecz on to puszcza mimo uszu i wymy-

http://rcin.org.pl

śla mi od «kiepskich niewiniątek». Zobaczymy, czyje będzie na wierzchu.

Na dworze ciemność spłynęła już całkowicie, ciemność jednak, przez którą można coś jeszcze zobaczyć. I widzimy, jak mgła usłała się nisko, zawisła, niby całun. Z wzniesienia, na którem stoi dom, widać wielkie obszary łąk i dalekie pobrzeże lasu, ledwie majaczące. A z boku, hen kawał od lasu jeszcze, błyszczy niejasno długa wązka wstęga, jakby dłonią ludzką pod samym horyzontem rozciągnięta. To jezioro w perspektywicznem zwężeniu.

— Czy słyszysz, jak żaby rechoczą? — pytam.

— Słyszę.

— I ten żóraw, co skrzypi gdzieś w stronie?

— Słyszę.

— Parobek nabiera wody dla koni i kradnie może całusa dziewczynie.

— Czy to także «nastrój»? — pyta Kazik.

— Jeżeli chcesz...

Siedzimy cicho. Czuć, że wszystko stygnie już i drętwieje. Na niebie roją się gniazdami gwiazdy, jaśnieją coraz więcej. Mruganie ich ma w sobie coś z monotonii piastunki, kołyszącej dziecię do snu. Lecz niema jeszcze snu, jest tylko przygotowanie do niego, jego przedsmak. Chwila to jednak niedaleka. Naturę przenika coraz więcej milczenie, bezwład roztacza się po-

http://rcin.org.pl

woli nad nią. Wkrótce znikną i ostatnie pozory życia: ukojenie już wisi w powietrzu.

NOC.

Jest zwyczaj w lecie w Ojcowie, że gdy przyjdzie pełna noc miesięczna, a pogoda dopisze, to się chodzi na «Zamek» patrzeć, jak Ojców cudnie wygląda. I czyni się to tem skwapliwiej, że takie noce nie zdarzają się przecież codziennie i że najpospolitsza nawet dusza ludzka ma czasem poprostu żądzę piękna. A gdy wtedy z pod ruin zamku Kazimierzowego ogarnie się dolinę spojrzeniem i bez zmrużenia powiek patrzy się na nią bez wytchnienia, to w myśli utwierdza się przekonanie, że wszelka trywialność i pospolitość poprostu nie istnieją i nie istniały nigdy.

Dziś jest taka sama noc... Księżyc wszedł jasny i wielki i zawisł nieruchomie na wysokościach. Kończę na werandzie hotelowej herbatę, by za chwilę udać się na «Zamek». Tu, o tej porze, nie chciałbym stracić owej sposobności.

Wstaję i idę zwolna parkiem ku górze. W parku jest bardzo spokojnie. Cisza, jaskrawie odbijająca od zgiełku hotelowego, zdaje się być jego

http://rcin.org.pl

dominującą cechą. W tej ciszy rozpływają się i milkną słabe odgłosy jakichś nawoływań i śmiechów. Wszystko jakby śpi.

Blask miesięczny dotarł i tutaj trochę. Gdzieniegdzie mienią się nim trawniki i krzewy, wierzchołki drzew bieleją połyskliwie, niby malowane. Więcej tu jednak ciemności, niż blasku. Lecz park ten wogóle nie lubi światła i nawet w dzień kryje się ze wstydem przed niem. Wina to już ludzka, lenistwa ludzkiego i niedołęstwa. O symetryi, planie i jakimkolwiek porządku nie mają tu zupełnie pojęcia. Niemiec rzekłby swoje osławione: *polnische Wirtschaft*...

Grymas przelotny wykrzywia mi jeszcze wargi na chwilę. Oto mimowoli wystraszyłem po drodze jakąś parę zakochaną, tonącą w podejrzanych uściskach. On szeptał jej coś czule do ucha i obejmował biust jej «silnie», ona poddawała się temu z rozkoszą. Takie bajeczne sam na sam, zakłócone, mój Boże, przezemnie! Z satysfakcyą stwierdzam, że t. zw. moralność odniosła nowy tryumf. Ogromnie lubię tę t. zw. moralność...

Wchodzę już powoli na «wał». Kiedyś zamiast wału był most zwodzony do zamku. Teraz zostały o nim tylko gadki.

A wyżej sterczą ruiny. Jedna duża baszta poszczerbiona, odrapana, z zdartą u góry ko-

http://rcin.org.pl

pułą i druga mała, skromna — resztki wspomnień i chwały.

Takie biedne... I nic nie zostało więcej, nic, coby mówiło o tych, co kiedyś to stawiali. Trochę gruzów leży opodal i widnieją ślady rozdrapanych murów. Gniew wzbiera w piersi, gardło dusi żal. Tak zmarnowali, zbezcześcili. Pigmeje, szarpiący śpiących snem wiecznym, zakutych w stal rycerzy...

Baszta zamkowa i mała wieżyczka toną w powodzi światła. Każdą szczelinę, każdy rys poznasz snadnie. Wchodzę na podwórce: srebro roztopione chyba?

Okrągły księżyc przygląda się ze spokojem tym ruinom. On, wieczny i niezmordowany obserwator, nie zdaje się już przejmować niczem. Widział tyle, że przywykł do niezmiernej obojętności, nieczułości przedziwnej. I tylko jakby dla zwyczaju wysyła te białe promienie, oświetlające wszystko. W chłodzie jego i egoizmie jest coś prawie imponującego.

Do głowy ciśnie mi się rój myśli. Odpycham je precz od siebie — one wracają uporczywie napowrót. W tem świetle, rozlewającem się tu coraz bardziej, stają się jakby jaskrawsze, natrętniejsze. Nie są zbyt wesołe.

Smutno mi i czuję, że ów senny blask doskonale dostraja się do stanu mej duszy. Jest w nim apatya i przygnębienie, jest także wielki

http://rcin.org.pl

żal. Z jakąś gorzką ironią zdaje się ubielać wszystko, ciężko kładnie się na wszystkiem. I jakże szalenie różni się od światła namiętnego, słonecznego! Pieszczota, uścisk są mu obce. Zaduma i królewska prawie powaga — to jego dusza.

Kiedyś, za czasów świetności tego zamku, świeciła podobnie ta latarnia boża. Czarująco wyglądać musiało w takich chwilach dzieło wielkiego Kazimierza. Jeszcze teraz zda się majaczy w gruzach dziwnie poważna twarz syna Łokietkowego. Stąd wpatrywał się w tajemniczy miesiąc Bonar, a po nim dumni Toporczykowie-Korycińscy, Łubieńscy, Załuscy... Widział ów księżyc pożogę i ruinę zamku, jego pohańbienie, ponowne powstanie z popiołów i nowy upadek. Widział wszystko.

Niedobrze jest stąpać tam, gdzie kiedyś życie kwitło i przelewało się wesoło, a teraz śmierć tuli ruiny... Dreszcz jakiś przenika ciało, serce się ściska. Złowrogie słowo: «*memento*» wyziera, jak trupia głowa, zewsząd.

Staram się otrząsnąć z tych wspomnień. Chcę wspiąć się na szczyt, na którym stoi baszta. Z pod tej baszty niezwykły na całą dolinę musi się roztaczać widok.

Idę. W miarę jednak, jak dochodzę do celu, słyszę coraz wyraźniej odgłos jakiejś, jakby w liczniejszem gronie prowadzonej, rozmowy.

http://rcin.org.pl

Staję na chwilę, zaskoczony tym gwarem, wahając się, czyli mi należy iść dalej. Mimowoli porywa mnie złość. Tak chciałem być sam, a nie można. Pełnia jednak zwabia nie mnie jednego, ma się rozumieć!

Zastaję całe towarzystwo. Kilka panien, kilku młodzieńców — wszystko na tle wianuszka mam i «papciów». Gwarzą, śmieją się, przekomarzają, «poprawiając» na gwałt naturę. Panny wzdychają przytem często, jakby chciały rzec: jak tu rozmarzająco! — z ust młodzieńców sypią się dowcipy i aluzye.

Na szczęście nie znam tych ludzi i to mi sprawia pewną ulgę. Pojawienie się moje witają ciekawemi, po części pytającemi spojrzeniami, mało mnie to jednak przejmuje. Usuwam się na stronę, by ich nie krępować i patrzę na cudny krajobraz.

A lasy i skały mają teraz w sobie coś mistycznego. Zda się za chwilę zacznie się tu wszędzie coś dziwnego, nieodgadnionego — jakiś olbrzymi hymn może, lub niezwykła ofiara. Srebrny blask oblewa je coraz silniej, jakby wyzbywał się swej dotychczasowej obojętności i poczynał się upajać sam sobą. Lśni on w zagłębieniach drzew i ślizga się po ich wierzchołkach, ubiera w białe szaty skały i rozświetla ich siność. Cała natura, całe przestworze kąpią się w potężnej jasności, która rozpływa się

http://rcin.org.pl

w nich mdlejąco. I jest w tem rozkołysanie dziwne, rozkołysanie światła i rozkołysanie niewyraźnej rozkoszy, z jaką świat przyjmuje to światło. Brak tylko melodyi — śpiewu chóralnego tajemniczego, czy też gry wielkiej nieziemskiej orkiestry. Niebo, wyiskrzone milionami gwiazd, wisi jakby pełne niewysłowionego oczekiwania, które ukoić ma owo coś niezwykłego, co się tu stanie za chwilę. Po mlecznej drodze, wydającej się jakimś gościńcem ognistym, pędzą już przysiągłbyś prędkie jak myśl zwiastuny tego misteryum. Cisza tajemnicza napawa dreszczem, widok przecudny upaja. I w tem fantastycznem oświetleniu zdają się zmieniać nagle kształty swoje skały, wszystko wyciąga się, olbrzymieje, to znów rozrywając się — maleje prawie zupełnie. A dolinę rzekłbyś polał ktoś płynnem srebrem i kazał mu wnet zastygnąć. Jest świetlista i olśniewająca. Góry przeglądają się w niej i uśmiechają się poważnie. Chłód nocny tuli je do siebie i ożywia jakiemś ogromnie rzeźkiem tchnieniem. Tym chłodem jest nasycone zresztą wszystko.

W pamięci stają mi ziemie i krajobrazy z bajek, w dzieciństwie zasłyszanych. Wyobraźnia maluje mi z dokładnością niesłychaną niezwykłe ich kształty i zarysy. Uderza mnie bujność i oryginalność, zagadkowy zupełnie «ton» tych widoków. Mimowoli porównywam je z obecnym

http://rcin.org.pl

i zdaje mi się, że między nimi jest jakaś wielka wspólność. Zdaje mi się to silnie.

— Panie Zygmuncie — słyszę nagle obok siebie pytanie, zwrócone do młodego studenta — czy panu się podoba taka noc księżycowa?

— Nie — odpowiada szczerze student. — Wolę ranek pełen słońca, spędzony wraz z panią na «Złotej górze» na rwaniu kwiatów, lub zbieraniu rydzów... To lubię, panno Dziuniu!

— Cicho ty, niedźwiedziu moralny — oburza się jakiś «kolega». — Jabym ci dał «ranek», ale nieco inny!

Uśmiecham się ckliwie. «Sieczka» duchowa pana Zygmunta nie należy bynajmniej do rozmarzających. Lepiej usiąść na złomie skały, oprzeć plecy o wystający zrąb i nie słuchać jego budujących uwag. Księżyc uczynił się jakby większym i otoczył się lekką aureolą promieniowanego z siebie blasku. Wygląda, jak ogromna kula, którą ktoś rzucił z zbyt małym rozmachem z ziemi i nie zdołał dorzucić — do nieba. Zawisła na pół drogi i — sterczy.

To jest ta noc miesięczna, ta czarowna... Obraz bez malowania, muzyka bez instrumentów, pieśń bez dźwięków. Patrzę i piję źrenicami piękno. Tkwi w niem oszałamiająca siła i potęga majestatyczna bezwładu. Ale jest i jakiś ból: tęsknota za ciepłem pewnie.

Debalcewo, gub. Jekaterynosławska. 1900.

---

http://rcin.org.pl

AŻ DO KOŃCA DNI

http://rcin.org.pl

PANU

STEFANOWI MIKULSKIEMU

NA PAMIĄTKĘ JEDNEGO WIECZORU

W ZAKOPANEM

http://rcin.org.pl

Przy stole, oświetlonym płonącą jasną lampą, w zaciszu skromnego, ale miłego kawalerskiego swego mieszkania, siedział inżynier Jan Ulrycki, wpatrując się w nachylonego nieco przyjaciela, który podparłszy ręką głowę, zdawał się namyślać nad czemś ponuro...

Wreszcie ten wstał, wyprostował się i rzekł:

— Siedź, Janku, siedź... Opowiem ci tę historyę.

Ulrycki sięgnął nerwowym ruchem po papieros. Potem zapalił go i zaciągnął się dymem z całej mocy. Chciał zagłuszyć nurtujący go niepokój...

Wlepił oczy w przyjaciela. Ów stał chmurny, cichy, spokojny, zda się rozważał to, o czem miał mówić. Czarna jego bujna czupryna, gdzieniegdzie białym włosem osrebrzona, choć miał lat trzydzieści kilka, zwisła mu na czoło, wąsy jakby się nastroszyły i przez te minut parę zdawał się być z kamienia wykutym.

Był to Chodorowicz, ten sam właśnie, o któ-

http://rcin.org.pl

rym w ostatnich czasach zaczęto tak często i z takim przekąsem mówić. Poczytywano go za dziwaka, waryata niemal, ba, nawet złego, a on był tylko jakimś wielkim tajemnym bólem przybity. Ulrycki nie widział go dawno już od chwili ukończenia przez nich gimnazyum. Dochodziły go coprawda niejasne o nim słuchy, ale tak były chaotyczne i pogmatwane, że prawie pozbawione treści. Zresztą wir życia porwał go w swój obrót i choć przez lat siedem w gimnazyum żyli z sobą tak blizko i serdecznie, później myśleć już tylko o Chodorowiczu mógł...

Aż oto Chodorowicz przyjechał do Warszawy i tu się osiedlił. Dostał doskonałe, świetne niemal miejsce w fabryce, bo inżynierem i wogóle znawcą w swoim fachu był nie bylejakim. Materyalnie wiodło mu się bardzo dobrze, a moralnie? Boleśnie, dla Ulryckiego szczególniej, było patrzeć na tego mężczyznę w sile wieku, jak nieraz z surowem spojrzeniem w oczach zapamiętywał się i nieczuły na wszystko, co go otaczało, tonął w zadumie groźnej i posępnej. Jakaś niemoc go żarła, trawiło cierpienie i widać było, że walczyć z tem nie mógł, nie umiał, lub nie chciał. Łatwo było odgadnąć, że w życiu jego zajść musiał dramat, coś, co wstrząsając sercem i umysłem, wsiewa się w duszę ludzką, jak złe ziarno, by rozwinąć się tam w ro-

http://rcin.org.pl

ślinę-gadzinę i szarpać jaźń człowieka okrutnie i bez przestanku... Nieraz milkł raptownie, urywając rozpoczęte zdanie, wspomnieniem nagłem, jak obuchem, widocznie rażony. Nigdy uśmiech nie zawitał na jego ustach, nigdy wesoła pogoda nie rozjaśniła mu twarzy. Głęboki, niekłamany smutek wiał od niego zawsze, ponury chłód jakby grobu go ogarnął... I zdaje się była to już wegetacya tylko nie życie, koniec wielkiej pieśni, co zacząwszy się może świetlano, skończyła zgrzytliwym dysonansem.

Nie rozumiano go: wszak różami mu się życie słało! Różami... Dusza jego ulatywała gdzieś w błękity, albo drgała bólem i rozpaczą, lecz nikt nie miał potrzeby się nad tem zastanawiać. Obowiązki swoje spełniał sumiennie, poza tem był człowiekiem materyalnie «solidnym» i partyą dla eleganckich i dystyngowanych panien bardzo dobrą. Wszystkie mamy i ciocie z «przyzwoitej» sfery polowały na niego zawzięcie, a gdy się to nie udawało — zostawało przecież szerokie i dające wiele do myślenia wzruszenie ramionami. Chodorowicz był dziwakiem, a nawet «waryatem» trochę!

— Pamiętasz, Juliuszu — mawiał mu Ulrycki — nasze czasy gimnazyalne? Pamiętasz te zabawy, zbytki wesołych chłopców, radych z okazyi do poswawolenia? Te pełne humoru i dowcipu zebrania nasze, wycieczki wspólnie urzą-

http://rcin.org.pl

dzane, pogadanki? Obok pustoty i dzieciństwa były tam i myśli poważniejsze i rwanie się do szerszego, głębszego lotu... Ty nam przodowałeś zawsze we wszystkiem i duszą cię naszą nazywaliśmy... Pamiętasz, jakim ogniem pałałeś zawsze?

Czuł, że wydzierał mimowoli jasną kartę przeszłości, by mu ją okazać w pełnem jej cichem świetle i dać poznać obecny ciężki kontrast. Ale on albo się nie odzywał, albo zagryzał wargi, by nie wybuchnąć skargą pewnie...

Później zaprzestał Ulrycki tego, nie chcąc wzbudzać w Chodorowiczu mimowolnych gorzkich myśli; starał się wogóle unikać o ile możności rozmów, któreby cokolwiek wspólnego z dalszem jego, pogimnazyalnem życiem miały. Mówił tylko o chwili bieżącej, udało mu się nawet wyciągnąć Chodorowicza kilka razy tu i owdzie, odgadywał jednak, że jest to z jego strony jedynie ustępstwo dla człowieka oddawna z nim zaprzyjaźnionego.

Chodorowicza lubił gorąco i prawie kochał, jak brata. Cenił w nim czyste jak kryształ serce i duszę subtelną, wzniosłą. Czuł przytem, że jakieś wielkie dobre ciepło spływa od niego ku niemu, że ten człowiek napawa go otuchą moralną i każe wierzyć w istnienie ludzi prawych, nieskazitelnych...

Siedział, patrząc na przyjaciela. Na twarzy

http://rcin.org.pl

jego odmalowało się uczucie przykrości, prawie wstydu. Oto nie naglony przez niego chciał mu Chodorowicz opowiedzieć to, co jakiś wieczny ból do jego serca wniosło, co go złamało. Chciał odsłonić przed nim część smutnej swej duszy, pozwolić zajrzeć do jej wnętrza. A czy on, Ulrycki, ma prawo do tego, czy to nie będzie płaskiem śledzeniem cudzego nieszczęścia, złem nadużyciem z jego strony? Wszak Juliusz był mu przyjacielem, nie zwykłym, pospolitym znajomym, a rozkrwawiać ran ani śmiał, ani chciał.

— Juliuszu — rzekł — nie mów o tem. Nie przyczyniaj sobie bólu, zaniechaj tego. Wierz mi, nie jestem człowiekiem, zadawalającym w ten sposób swą ciekawość... Mój Julku!

Lecz Chodorowicz uśmiechnął się gorzko i odparł:

— Wiem, o czem myślisz. Ja sam jednak pragnę ci to powiedzieć. Nosiłem to jak mękę w sobie i będę nosił dalej, tyś jednak mi przyjacielem, szczerym przyjacielem... Dlatego mogę i chcę się z tobą tem podzielić. Wiem, że przyjmiesz to, jak brat, jak druh serdeczny... Wszak jesteś nim?

Wyciągnął rękę. Ulrycki uścisnął ją gorąco i z uniesieniem.

— Jak ci wiadomo — zaczął Chodorowicz — po ukończeniu gimnazyum wstąpiłem do instytutu technologicznego w Petersburgu. W domu

http://rcin.org.pl

i tak bieda była porządna, jedne usta mniej coś przecie znaczyły. Matka szyciem jeszcze zarabiała, ale zarobek to był taki, że starczył tylko dla niej i dla ojca, który już zupełnie wtedy zaniewidział i całymi dniami przesiadywał cichy w kącie, żywy nieboszczyk, kaleka nieszczęsny...

W Petersburgu szło mi ciężko. Życie drogie, mieszkanie również, a należało myśleć o wpisie i o ubraniu także. Szedłem jednak jak tysiące przebojem i z wiarą. Szydziłem z losu, plwałem w oczy przeciwnościom. Nieraz, gdy było chłodno i głodno, nuciłem wraz z innymi wesołą pieśń studencką, czapkę na bakier się nasuwało, szynel zarzucało na plecy i szło się na Newski patrzeć w oczy sytym filistrom, rzucać im w twarz swą biedę beztroskliwą.

I było dobrze. Złote sny się śniło, roiło szczęsne wróżby. W sercu miało się otuchę, w duszy nadzieję. Ot, studencka dola, życie studenckie!

Zresztą był to dalszy ciąg mych czasów gimnazyalnych. Równie jak w Warszawie czas na naukę przeznaczony musiałem obracać na lekcye, korepetycye i postronne zajęcia zarobkowe, by żyć. Nic nowego. I dlatego nie drażniło mnie to, ani z równowagi wyprowadzało. Inni wymyślali, złorzeczyli, klęli — ja byłem przykładnym stoikiem. Klepałem swoją biedę z humorem, a w pe-

http://rcin.org.pl

tersburgskiej «technologii» należałem do najweselszych chyba studentów...»

Spojrzał smutno. Zdawało się, iż podziwia późniejszą gorzką ironię życia.

— «I jakoś szło to. Na pierwszym zaraz kursie powiedziałem sobie: musi iść i wszystko reszta furda! Nie drażniły mnie nawet litościwe spojrzenia filistrów, dziwiących się głupio, że nasz brat student nie jada czasami obiadów. Owszem, śmiałem się z nich. Bawiły mnie te pucułowate po większej części oblicza, wypasione, dobrze konserwowane postacie, banalny śmiech ludzi, którzy wiedzieli, że jutro, pojutrze i codzień mają zapewnione «korytko» i «stajnię»... To było wcale niezgorsze.

Pracowałem dosyć pilnie. Pamiętałem zawsze, że matka lada chwila oczy nad igłą wypatrzy, że ojciec jest kaleką. Tak bardzo chciałem im się za wszystko, czego od nich doznałem, odwdzięczyć, odpłacić im choć w setnej części to co tylko od rodziców otrzymać można: miłość bezgraniczną, poświęcenie i zaparcie się aż do zupełnej abnegacyi...

A matka moja staruszka była tak nieopisanie dobrą, tak serdecznie dobrą, ojciec zaś staruszek tak szlachetny i najwyższego uwielbienia godzien! Gorącą miłością kochałem te dwie drogie istoty, z jakąś bezbrzeżną radością myśla-

http://rcin.org.pl

łem o tem, że są tu na ziemi ze mną. Teraz leżą już cisi, martwi w grobie..

Pracowałem więc. Szła mi ta praca dobrze, miałem nawet szczęście: profesorowie mnie chwalili, wróżyli, że będzie dobry ze mnie inżynier... Cieszyło mnie to, bo myślałem, iż z czasem otrzymam niezłą posadę i moim staruszkom zaciszne gniazdko uścielę. Marzyłem o tem, by mieszkać i żyć z nimi ciągle, zawsze...

Od czasu do czasu udawało mi się dostać większą jakąś robotę: przepisywanie, lub kopiowanie rysunków technicznych. Siedziałem nad tem nocami, bo w dzień zajęty byłem ogromnie w instytucie i lekcyami. Zdrowie jednak miałem zawsze żelazne, nie uczuwałem więc tego zbytnio. Z jakąś satysfakcyą nawet kładłem się w takich razach spać nad ranem: tyle a tyle zarobiłem - obliczałem — i dla moich staruszków mam znowu trochę. Z uciechą odsyłałem im to. A później beczałem nad listem matki. Jak mnie ta matuchna dziękowała, jak prosiła, bym się nie zapracowywał i nie myślał o nich, że sami sobie dadzą radę... Pytała o mnie, prosiła o każdą myśl, każdy szczegół, z kartek jej wiało takie wielkie, bezmierne macierzyńskie uczucie... A w końcu zawsze był krzywemi, poomacku kreślonemi literami dopisek ojca: «całuję cię, Juleczku, serdecznie i błogosławię, chłopcze ukochany»... Dzień, w którym otrzy-

http://rcin.org.pl

mywałem list od nich, uważałem zawsze za najuroczystsze święto. Czytałem taki arkusik niezliczoną ilość razy, okrywałem go pocałunkami. To był list od moich najdroższych rodziców...»

Chodorowicz spojrzał z bólem przed siebie i dwie wielkie łzy spłynęły mu z oczu po wychudłych policzkach. Nie starał się ich otrzeć, może czuł, że tam z wysoka, z pod bożego tronu, patrzą ci jego ukochani na niego i widzą swe jedyne dziecko, pełne niezagasłej, gorącej pamięci o nich. Może wiedział, że oni jak zawsze tak i teraz, o każdej dobie i w każdej chwili są przy nim, z nim...

— «W instytucie — ciągnął trochę zdławionym głosem — była nas mała paczka rodaków, którzy z sobą trzymali. Był tam wesoły Kaziek Bolski, chorujący stale na «oczyszczanie» świata, z zjadliwą ironią krytykujący wszystko, wysoki Holsztyn, jego antyteza Folder, bystry Sotonowicz, ten wiesz z gimnazyum, i kilku innych. Żyliśmy z sobą dość ściśle, lubiliśmy się wzajemnie i mieliśmy zawsze masę tematów do wspólnych długich i serdecznych rozmów. Było to koleżeństwo na prawdziwem braterstwie oparte, szczere, takie, o którem zwykle pamięta się do końca życia. Lgnęliśmy do siebie nie dlatego, że każdy umiał żyć po «kawalersku» i jak ostatecznie studentowi przystoi — wesoło, lecz dlatego, iż jeden drugiemu był duchowo potrze-

http://rcin.org.pl

bnym. Wiadomo ci zaś, jak gorąco, jak bardzo zawsze byłem za takiem koleżeństwem, jak sobie życia uczniowskiego i studenckiego bez tego wyobrazić nigdy nie umiałem. Oni lubili mnie zdaje się także i to szczere z ich strony uczucie ceniłem sobie wysoko. Jaśniejszem się wtedy życie wydaje...

Wszyscy, za wyjątkiem Bolskiego, nie posiadaliśmy majątku żadnego i to nas także łączyło. Bolski, zupełny sierota, zarządzał wielkimi swymi kapitałami samodzielnie. Zaraz od początku związał się ściślej jakoś z naszą paczką i prędko bardzo zespolił się z nami zupełnie. Podbił nasze serca prostotą, szczerością niezmierną i tem czemś nieuchwytnem, co tak zniewala moralnie do człowieka. Był przytem dziwnie delikatnym: aby nie wyodrębniać się od kolegów i nigdy mimowoli nie dać uczuć różnicy położenia materyalnego, żył tak jak my, wynajmował podłą jakąś «budę», jadał nawet te same co my tanie obiady i wogóle dostosowywał się do nas, o ile możności. Szczera to była i zacna dusza ten «Bolek!» Gdy komuś zabrakło pieniędzy, lub nie miał na zapłacenie wpisu błagał go, jak o łaskę, by od niego pożyczył. Na pochwałę jednak naszej kompanii zanotować wypada, że nikt nie «naciągał» go nigdy, a jeżeli wziął czasem drobną jaką sumę, to oddawał przy pierwszej sposobności skrupulatnie.

http://rcin.org.pl

Zdarzyło się właśnie, że do tego Bolskiego przyplątał się jeden z «paniczyków», jakich wszędzie wielu, student baron Melski. Był to typ przeciętnego arystokraty: ogromnie dbały o swój ubiór, zawsze do ostatecznych granic *correct*, sztywny, z godnością dźwigający na barkach szlachetne brzemię. Bolskiego poznał kiedyś przelotnie w Kijowie, a wiedział, że Bolski to prawie magnat. Później, gdy byliśmy już na czwartym kursie, zetknął się z nim w Petersburgu i zaczął zamęczać swemi wizytami. Skromny tryb życia Bolskiego uważał za pewnego rodzaju oryginalność i nawet o ile mi się zdaje spodobało mu się to. Czynił to przecież bogacz Bolski.

Będąc kiedyś u Kazia zapoznałem się z tym paniczykiem mimowoli. Na drugi dzień Kazik oświadczył nam wesoło, że Melski wyraził szczerą chęć poznania bliżej «tego śmiałego studenta Chodorowicza», a może «i kilku innych z jego paczki». Przyjęliśmy ze śmiechem te oświadczyny i postanowiliśmy pokpić sobie z Melskiego. Zaprosiliśmy go tedy uroczyście na jedno z zebrań u mnie. Melski przybył istotnie i wyszedł z zachwytem nad «odrębnością kolegów». Nie był on głupim, a sprytu posiadał nawet wiele. Prowadził rozmowę o wszystkiem i od czasu do czasu wyrzekł nawet niezgorsze zdanie. Wiała od niego jednak ta czczość, która

http://rcin.org.pl

sprawia wrażenie zniechęcające. Zresztą nie był dla nas odpowiednim towarzyszem zupełnie.

Lecz widocznie «śmiały student Chodorowicz» spodobał mu się istotnie, bo i mnie, jak Bolskiego, nawiedzać często zaczął. Gdyby nie bezpotrzebna strata czasu, nie miałbym ostatecznie nic przeciwko temu. Bawił mnie bowiem ten kolega czasami...

I tak raz po raz widywaliśmy go między sobą. Na wzór Bolskiego starał się nie «imponować» nam zbytnio: czuł, że «wylelibyśmy» go zaraz. Tylko że u Bolskiego płynęło to z serca i było prawdziwe, a u niego pomimowoli robione. Gniewało nas już jego wścibstwo.

Nadeszły tymczasem wakacye. Przeszedłem z czwartego kursu na piąty i za rok miałem nadzieję ukończyć instytut. Czasu chwała Bogu przez te cztery lata nie traciłem i nauczyłem się z fachu dosyć. Wiedziałem jednak dobrze, jak trudno jest później młodemu inżynierowi uporać się z robotą praktyczną, jeżeli za studenckich czasów sam jej się nie dotknął, dlatego też każde wakacye spędzałem w jednej z warszawskich fabryk. Wybierałem się tam i teraz, gdy nagle doszła mnie niespodziana wiadomość, że z powodów finansowych zwinięto ją zupełnie. Był to dla mnie wypadek bardzo nieprzyjemny. Rozpisałem coprędzej listy do innych fabryk, ale bezskutecznie. Później posze-

http://rcin.org.pl

dłem do kilku znaczniejszych zarządów, lecz wszędzie wymawiano się grzecznie, jednem słowem odprawiano z kwitkiem. Straciłem już nadzieję, a zależało mi bardzo na tej praktyce. Aż pewnego dnia przychodzi do mnie Melski i powiada, iż dowiedział się od jednego z kolegów o mym kłopocie i że może mi służyć taką fabryką, gdzie mnie chętnie przyjmą. Machinalnie zapytałem, skąd ma tę pewność i co to za fabryka? Odrzekł, że fabryka znajduje się w miasteczku R., a «wkręcić» mnie tam może przez swojego ojca, głównego jej akcyonaryusza. Bez namysłu odmówiłem grzecznie, skłamawszy nawet, że mam już miejsce gdzieindziej. Nie chciałem poprostu tej usługi naszego barona.

Ale on nad wyraz delikatnie i ujmująco zaczął mi przedkładać, bym się zgodził i nie stawiał przeszkód. Zdziwiłem się, nie przypuszczałem bowiem, że umie czasami tak przemawiać. Dodał też, że wie napewno, iż miejsca jeszcze nie mam i że odmawiam tylko dlatego, bo gardzę jego zwyczajną koleżeńską uprzejmością. Postawił mnie w niezmiernie kłopotliwem położeniu. Ostatecznie zgodziłem się. Prawie na szyję mi się rzucił, zaczął zapewniać o swej gorącej sympatyi, o tem, jak wogóle naszą paczkę polubił i jak szczęśliwym się czuje, że spędzi wraz ze mną wakacye. Zrobiłem dziwne oczy: jakto? Wtedy objaśnił mnie, iż niedaleko

http://rcin.org.pl

R., bo o nie całe cztery wiorsty, leży majątek jego ojca, Słotwysze, i że tam właśnie zamyśla letnie miesiące spędzić. Uczyniło mi się nieswojo: cofać się było za późno, a myśl, że i podczas lata będę musiał — i to zapewne często — obcować z Melskim poprostu zgnębiła mnie. Nie odrzekłem nic, bo i cóż odrzec miałem? On wyraził nadzieję, że będę częstym gościem w Słotwyszach, że nie wzgardzę ich chlebem — solą, że nie odmówię mu od czasu do czasu swego towarzystwa, że zechcę zacieśnić węzły dotychczasowego koleżeństwa i t. d. i t. d. Czekałem, rychło się pan baron wyniesie i pozwoli mi w czterech ścianach mego pokoju nawymyślać dowoli na niedźwiedzią, quasi-doskonałą usługę losu... Wyniósł się niezadługo, a w pięć dni później byłem już na miejscu w R.»

Chodorowicz podszedł do stolika, nalał wody w szklankę i wypił wolno. Potem usiadł na krześle, zwiesił głowę i zamyślił się ponuro...

Ulrycki patrzał na niego. Czuł, że Chodorowicz nie bez przyczyny opowiedział mu tak obszernie o swej paczce kolegów i o ich pośredniem przeciwstawieniu, młodym baronie Melskim. O tym baronie słyszał on już nieco. Był, o ile sobie przypominał, jednym z naszych «znanych», ożenił się dwa lata temu z niezmiernie bogatą hrabianką Villerin, a później osiadł na stałe w Rzymie. Stamtąd od czasu do czasu

http://rcin.org.pl

nadchodziły o nim przez «Kuryerki» wiadomości, jako o jednym z «wybitnych członków kolonii polskiej». Reprezentował zda się godnie nasz kwiat kwiatów...

— «Byłem więc już na miejscu w R. — zaczął mówić Chodorowicz z namysłem. — Przedstawiłem się dyrektorowi, głównym inżynierom, swemu bezpośredniemu zwierzchnikowi i komu zresztą było potrzeba. A później musiałem pojechać do Słotwysz, zarekomendować się staremu Melskiemu i podziękować za wyrobienie praktyki. Wypadało przecież!»

Zaśmiał się gorzko-ironicznie i strzepnął ręką, jakby odganiał coś od siebie.

— «Ubrałem się w swój podszarzany paradny mundur i udałem się fabryczną bryczką do Słotwysz. Stary baron przyjął mnie bardzo uprzejmie, nie spodziewałem się nawet takiego przyjęcia, młody o mało nie zmiażdżył mnie w uścisku. Baronowa już wtedy nie żyła.

Melski-senior wypytywał o życie w Petersburgu, mówił, że słyszał wiele o mnie od swego syna, że «Zdziś» jest wprost zachwycony mną. Zauważyłem, iż takich jak ja jest w Petersburgu więcej, na co odrzekł, że wie o tem dobrze i kontent jest z przebywania «Zdzisia» w naszej paczce. Wypytywał również o Bolskiego, rozwodził się o jego koligacyach i bogactwie i zarazem o tem, że przy tem wszyst-

http://rcin.org.pl

kiem jest dzielnym i skromnym chłopcem. Ogólnie mówił do rzeczy i nie sprawił na mnie wrażenia napuszonego arystokraty, mierzącego wartość człowieka według tego tylko, «kto go rodzi». W końcu wydał mi się zupełnie sympatycznym i przyjemnym.

Po kwadransie może tej rozmowy zjawiła się w salonie jeszcze jedna osoba. Zdzisław przedstawił mnie jej: była to panna Alicya Melska».

Chodorowicz wyrzekł to przytłumionym głosem. Urwał i spojrzał przed siebie takim wzrokiem, jakby z ciemni wspomnień wydobywał coś bolesnego ciężkim wysiłkiem woli. Oczy jego stały się mglistemi, wyraz twarzy martwym.

— «Siedziałem dość długo wtedy u Melskich. Nie zachowałem przyjętych zwyczajów towarzyskich i tę pierwszą wizytę, a raczej dziękczynienie protegowanego dla protegującego, przedłużyłem nad zwyczajną miarę. Nie dawali mi jednak poznać, że to czas już może się wynieść, owszem, byli dla mnie grzeczni i uprzejmi, więc nie odjeżdżałem. Przyszło mi też wtedy na myśl, że ja może niesłusznie, zanadto obcesowo i jednostronnie, osądziłem z punktu kolegę Melskiego, że jest to przecież zupełnie miły, dobry i serdeczny chłopak. Zdało mi się, iż na ten sąd o nim wpłynęły moje instynktowe ja-

http://rcin.org.pl

kieś uprzedzenia do sfery *bon monde'u* i nielitościwe, sarkastyczne jak zwykle uwagi i wydrwiwania Bolskiego. Z jakąś niechęcią pomyślałem nawet wtedy o Bolskim: że też ten człowiek wszędzie i zawsze musi wszystko najgorsze odnaleźć! Ja, wtedy przynajmniej, inaczej i życzliwiej na Zdzisława Melskiego spoglądać poczynałem.

Panna Melska, jego siostra, uczyniła na mnie bardzo sympatyczne wrażenie. Była to średniego wzrostu blondynka, dosyć smukła i szczupła, o oczach lekko modrych i ustach niezbyt klasycznych, ale wdzięcznych. Twarz jej nie odznaczała się urodą, przeciwnie, była to twarz zupełnie nie piękna, t. zw. tylko przystojna. Panna Melska mogła liczyć lat dwadzieścia, lub dwadzieścia jeden — i jak się okazało później, nie omyliłem się. Była między nami mała różnica wieku.

Nie mówiłem z nią tego dnia wiele, patrzałem więcej na nią. Uderzyły mnie w niej wielka prostota i ujmująca delikatność w obcowaniu, choć powierzchownie robiła wrażenie dumnej i nieprzystępnej arystokratki. Ubrana była nadzwyczaj elegancko, wprost zbytkownie i to mnie z początku na chwilę do niej zraziło. Tyle jednak posiadała bezwiednego wdzięku w sobie, że owo uczucie nieprzyjemne minęło rychło. Wspomniałem zresztą na to, że znajduję się

http://rcin.org.pl

w domu barona Melskiego, zbytek ten więc, bijący tam zewsząd, wydał mi się czemś nieuniknionem.

Stary Melski polecał grzecznie Słotwysze mej pamięci. Bąknąłem coś niewyraźnie, dziękując zda się zdawkowo. Nie wiedziałem wówczas dobrze, czy rzeczywiście z tych zaprosin skorzystam, choć nie wyrzekałem się tego bynajmniej. Miałem uczucie bezwiedne, że ten wielki pałac słotwyszański posiada jedną duszę prawdziwą, która go ożywia, bo tam jest panna Alicya Melska.

Wziąłem się z zapałem do mych zajęć w fabryce. Spędzałem w niej cały dzień prawie, wieczory wolne obracając na powtarzanie kursu i czytanie książek ogólniejszej treści, na co w Petersburgu tak mało zawsze czasu miałem.

W ten sposób przeszły mi dwa tygodnie. Po tym terminie zjawił się w R. Zdzisław i gwałtem prawie zabrał mnie do Słotwysz. Byłem nawet ciekawy, jaką też wyda mi się przy tem powtórnem widzeniu panna Alicya i wyznam, że spodobała mi się jeszcze więcej. Rozmawiałem z nią wtedy ogromnie dużo i z radością zauważyłem, że jest bardzo oczytaną i niezmiernie inteligentną dziewczyną. Nie chciało mi się bynajmniej z Słotwysz uciekać. Zdzisław dokazywał, przekomarzał się z siostrą, a później grał na skrzypcach. Musiałem przyznać, że gra

http://rcin.org.pl

bardzo ładnie i to niespodziane odkrycie uradowało mnie także cokolwiek. W Petersburgu nigdy ani słowem nie wspomniał o tem, że uprawia muzykę, ja zaś, jak wiesz, lubiłem ją od dzieciństwa namiętnie.

Tak żywo mam w pamięci ów wieczór... Miesiąc zeszedł wczesny i bledszy jeszcze chyba, niż zawsze. W przestworzu rozlała się cichość bezmierna i wchłonęła, zda się, w siebie wszystko. Nic słychać nie było, wokół wszędzie przysiągłbyś jedno martwe milczenie świat cały przeniknęło. Było to po wieczerzy. Stary Melski wyniósł się do swych pokojów dla jakiejś rozmowy z administratorem, my z jadalni przeszliśmy do chińskiego gabinetu i rozsiedliśmy się na miękkich kozetach. Paliła się tylko jedna ozdobna latarnia, rzucając słabe blaski po pokoju. Przez okna wlewało się srebrne światło miesięczne i rozpościerało się fantastycznemi smugami po meblach. Zdzisław otworzył drzwi, wychodzące na balkon. Na dworze ciepło było, z gazonów tylko i kwietników parku buchały wielka, potężna świeżość i aromat skąpanych w wieczornej rosie kwiatów...

Wyszliśmy na balkon. Zalany był cały światłem księżycowem. On przyniósł skrzypce i wtedy właśnie zaczął grać. Myśmy słuchali, siedząc. Zdało mi się, iż jakaś wielka harmonia zapanowała między grą tego mistycznego świa-

http://rcin.org.pl

tła a smętnymi dźwiękami, wydobywającymi się z owych skrzypiec...

Zdzisław grał same rzeczy poważne. Muzyka spływała w przestworze i rozchodziła się tam tysiącznymi niewidzialnymi szlakami. Od czasu do czasu zamieniałem kilka cichych zdań z Alicyą, zresztą siedzieliśmy niemi.

Wspomniałem Warszawę, wspomniałem Petersburg i przyszło mi na myśl, że oto nigdy dotychczas ani nad Wisłą, ani nad Newą i nigdzie zresztą nie spędzałem takiej jak ta chwili. Było mi jakoś kojąco. Przedemną siedziała dobra mądra dziewczyna, od której biła kultura duchowa i fizyczna pokoleń... Nie stykałem się w życiu z takiemi kobietami. Dlatego ku tej ciągnęło mnie coś bezwiednie.

Patrzałem na nią. Miała wyraz jakiejś zadumy w oczach, po twarzy błąkał się jakby cień. Ręce złożyła na kolanach, głowę leciutko w tył podała. Wielki czar szedł od niej...

— Lilo — rzekł nagle Zdzisław — może zagrać coś lżejszego?

Potrząsnęła głową.

— Nie — odparła.

Z parku biegł ciągle nowemi falami rozkoszny aromat kwiatów... Naokół zdało się wszystko jeszcze cichszem. Zdzisław przestał grać na chwilę, oparł się o balustradę balkonu i wpatrzył oczy w zawieszony wysoko księżyc. Nic

http://rcin.org.pl

nie zdawało się mącić nastroju tego niezwykłego wieczoru, wszędzie było jakby ogromne zamyślenie i bezwładny spokój...

Lecz Melski przyłożył znowu skrzypce do szyi. Dotknął strun smyczkiem i rozległy się bezdennie smutne dźwięki marszu pogrzebowego Chopin'a...

Drgnąłem. Wpatrzyłem się przed siebie: tam gdzieś daleko, z części parku, nie oświetlonej blaskiem miesięcznym, zdawały się, jakby wywoływane tą rozpaczną melodyą, występować i spływać ku białemu pałacowi całe roje zaświatowych bezcielesnych widm... Nieukojony smutek i beznadziejny ból ogarnęły wszystko. Skrzypce płakały, zawodziły, jęczały skargą... A później przyszła część druga marszu i zdało się, że duchy, usrebrzone światłem księżycowem, zstępują, by złożyć czyjeś szczęście do grobu... Przecudna, piekielnie cudna melodya wyrywała się pod stropy niebieskie zwycięzko, by dać świadectwo prawdzie, że wszystko, co jest z tego świata, co człowiek jako szczęście wymarzy, należy tylko do okrutnych złudzeń...

Zwiesiłem głowę i przymknąłem oczy. Cierpienie jakieś przeszywało mnie. Tyle razy słyszałem ten marsz, a nigdy nie uczynił na mnie wrażenia tak wstrząsającego. Byłem, jak w hypnozie.

Gdy odchyliłem powieki i spojrzałem na

http://rcin.org.pl

Alicyę, spostrzegłem, że i na jej twarzy maluje się niezwykłe przygnębienie. Po skonaniu ostatnich taktów wstała wolno i dała nam poznać, że chce już balkon opuścić. W kilka minut potem pożegnałem się z wszystkimi i odjechałem.

Od owego czasu zbliżyłem się z Zdzisławem Melskim. Ujął mnie jego niespodziany talent muzyczny i zresztą zdało mi się, że może nie jest tak powierzchownym, jak sądziliśmy. Bywałem też często w Słotwyszach, a przyznam się, że nie analizowałem w duchu już więcej zbyteczności tych odwiedzin, bo panna Alicya zainteresowała mnie bardzo.

Przestawałem z nią wiele. Rozmawialiśmy często i dużo. Miała bystry, śmiały sąd o wszystkiem i przytem zajmowało ją niejedno.

Pociągnęła mnie zaś swem sercem. Była ogromnie wrażliwa na niedolę i cierpienie ludzkie i czynnie przykładała się do ich ulżenia. W Słotwyszach za jej inicyatywą założył stary baron szpitalik wiejski; odwiedzała często chorych i osobiście sprawowała dozór nad szpitalem. Dzięki niej przyznano starym oficyalistom klucza słotwyszańskiego emerytury, a dla młodszych założono kasę wzajemnej pomocy. Wymogła na ojcu, jako na głównym akcyonaryuszu fabryki w R., aby przeprowadził w zgromadze-

http://rcin.org.pl

niu uchwałę o podwyższeniu płacy robotnikom, o czem sami chwilowi koledzy moi, robotnicy, z największem dla niej uznaniem mi opowiadali. Szkółka fabryczna zawdzięczała jej wyłącznie swój krzepki byt i rozwój. W Słotwyszach uczyła i wychowywała dwoje dzieci, których rodzice zginęli w płomieniach podczas pożaru, mającego miejsce w tej wsi swojego czasu. W trzech wsiach klucza słotwyszańskiego założyła za własne, wyznaczane jej od ojca na osobiste wydatki pieniądze sklepy spożywcze i darowała je odpowiednim gromadom, krzątała się zaś już koło uczynienia tego i w wsiach pozostałych i t. d. i t. d. Wielki szacunek wzbudziło we mnie dla niej to wszystko, a tych uczynków dobrych było podobno wiele. Owa napozór światowa tylko panna miała serce i potrafiła czuć, a w głowie jej rodziły się myśli, daleko poza poziom przeciętny wybiegające.

Te wakacye zaczynały mieć dla mnie urok. Nie przypuszczałem, przyjmując propozycyę Zdzisława, że nawet wdzięczność czuć za nią dla niego będę. Gdy w miesiąc po pobycie w R. otrzymałem od Bolskiego list z zapytaniem, czy nie doprowadza mnie do mdłości atmosfera domu «szanownych Melskich», odpowiedziałem spokojnie, że nie i że jest to dom bardzo nawet przyjemny. Na to przysłał mi kilka znaków za-

http://rcin.org.pl

pytania i kilka wykrzykników. Nie wiedział pewnie o istnieniu panny Alicyi Melskiej...

Urządziliśmy parę razy t. zw. majówki. Melscy mieli w okolicy kilka znajomych rodzin obywatelskich, udały się więc wybornie. Byłem stałym *attaché* panny Alicyi i coraz też więcej lgnąłem do niej. Kilka razy nawet nie stawiłem się w fabryce, wymknąwszy się do Słotwysz. Graliśmy w trójkę w tennisa, w krokieta, dokazywaliśmy... Jeździliśmy konno, strzelaliśmy do celu, słowem używaliśmy, co się zmieści. Z taką wesołością i pełnemi śmiechu oczyma przodowała zawsze we wszystkiem... A potem nieraz godzinami prowadziliśmy z sobą dysputy okropnie poważne, sprzeczaliśmy się, zbijali wzajemnie, budując własne o wszystkiem teorye.

Droga to była dziewczyna. Jakieś nowe życie, zda się, wlało się we mnie, świat mi się wydał pełniejszym niby i różnobarwniejszym. Spostrzegłem, że jednak taka kobieta może naprawdę rozzłocić horyzont i niezliczoną mocą nieznanych dotąd zupełnie uczuć napełnić duszę. To drugie życie, które w niej postrzegałem, to coś odrębnego i jej własnego, co w niej z taką siłą tkwiło, ta wreszcie wielka, rozlewna prawie i rozmarzająca kobiecość, o której dotąd nie miałem żadnego pojęcia, pociągnęły mnie i zajęły niezmiernie. Instynktem, mimowoli, posłuszny jakiemuś głosowi wewnętrznemu, szu-

http://rcin.org.pl

kałem dopełnienia swego «ja» w drugiej, innej istocie. Nie analizowałem tego uczucia zresztą: szedłem tam, gdzie widziałem, że mi jest dobrze i gdzie być pragnąłem.

Ona polubiła zdaje się mnie bardzo i jeżeli można tak powiedzieć — przywiązała się do mnie. Czułem, że towarzystwo moje nie sprawia jej przykrości, owszem, że chętnie ze mną przestaje i tak jakoś serdecznie. Stosunek nasz stał się prostym i nie raził niczem sztucznem, fałszywem. Byliśmy otwarci względem siebie i nie graliśmy żadnej głupiej ludzkiej komedyi. Ogromnie prędko zbliżyliśmy się do siebie dzięki właśnie tej szczerości. Może byłem przytem duchowo i moralnie jej «typem», tak jak ona przysiągłbym bez wahania była nim dla mnie. A na takim gruncie wyrasta wszystko prędko i odruchowo.

Pamiętam kiedyś w niedzielę siedzieliśmy w parku w altanie na t. zw. «Borsuczej wysepce». Sterczała ta wysepka pośrodku wielkiego stawu, obramowanego zewsząd całem morzem ślicznej świeżej roślinności. Dostęp do niej był przez długi wązki mostek, rzucony lekko z północnej strony brzegu. Mimowoli jeszcze dotychczas przypominają mi się ten staw i ten park, gdzie tyle, tyle chwil spędziłem... Altana ta należała do jej ulubionych miejsc wypoczyn-

http://rcin.org.pl

ku — cała spowita w bujny, wijący się bluszcz — mogła się rzeczywiście podobać.

Znajdowaliśmy się sami, co się prawie do tej pory nie zdarzyło. Stary baron drzemał po obiedzie, Zdzisław poszedł do okólnika obejrzeć jakiegoś angleza-młodziaka, który przy skoku przez baryerę nadwerężył sobie niefortunnie nogę. Siedziała oparta o ścianę altany, głowę wtuliła w rosnący bluszcz, na kolanach trzymała tomik nowel, przywieziony jej z R. przezemnie. Autor tego tomu był studentem, a te nowele jedyną spuścizną literacką, jaka po nim pozostała. Spuścizną, — bo już dwa lata mijały wtedy, jak nie żył, strawiony przez suchoty. Wielka, bezbrzeżnie czysta dusza gorzała w tym człowieku, a ci co znali jego życie z czcią pochylali przed nim głowę. W tomiku tym odnajdywało się jego całego, — cały ból i wszechludzkie ukochanie gasnącego, jak podcięta przepiękna roślina, młodzieńca. Dotychczas mam ten tomik u siebie i czytam go nieraz z chciwością...

Zaczęliśmy rozmawiać o młodzieży. Z ust jej padła gorzka skarga, że jednak takich jak ten, o którym przed chwilą mówiłem, mało pewnie jest. Wtedy zacząłem jej tłómaczyć, że ów był duszą wyjątkową, że takich kryształowych serc nie odnajduje się nigdzie wiele. Wskazałem jej licznych znanych społeczeństwu młodych ludzi, podnosiłem ich zalety, mówiłem

http://rcin.org.pl

o swych kolegach... Słuchała z uwagą, wpatrzywszy we mnie modre oczy, na twarzy jej malowała się powaga. I nagle usłyszałem zapytanie: «a pan?»

Zmieszałem się w pierwszej chwili. Byliśmy szczerzy z sobą, ale do tej pory nie miałem sposobności, ochoty, czy też potrzeby odsłaniania przed nią tego wszystkiego, co głębiej tkwi w człowieku, co urabia go powoli na takiego, jakim jest. Ani nasz dotychczasowy stosunek nie wymagał tego, ani nie uważaliśmy oboje tego widocznie za konieczne. Lecz teraz, usłyszawszy owo zapytanie, poczułem niepowstrzymaną niczem chęć odsłonięcia przed tą bratnią mi duszą, przed istotą, która — odgadywałem to — była mi nad wyraz przyjazną, wszystkiego, co stanowiło mnie, z czego wyrosłem i co było ze mną związane...

A nie mogłem i nie chciałem niczego zataić. Nie z żadnych sentymentalnych względów, lecz dla ścisłości jedynie zacząłem od początku. Powiedziałem, że pochodzę z rodziców prostych, biednych, że naukę zdobywałem ciężko, że sam się prawie karmić i odziewać musiałem. Mówiłem długo, opowiadałem z namiętnością o tem, co młoda dusza prześniła, przemarzyła i przepłakała... Ból, zawody, gorycz dziecka, przechodzące w powolne samopoznanie młodzieńca, który miał się stać niezadługo dojrzałym mę-

http://rcin.org.pl

żem. O czasach uczniowskich opowiadałem, o studenckich... Wyznałem jej, że myśleć i czuć prawdziwie pragnąłem, że chciałbym się stać człowiekiem. A nie utaiłem i tego przed nią, iż nie jedna inżynierka była mi światem, że go widziałem, lub starałem się widzieć wszędzie, gdzie jasno i ciemno, gdzie promienieją gwiazdy i gdzie otchłań czarna się roztacza, wszędzie tam, gdzie prócz ludzkiego mózgu potrzeba jeszcze serca ludzkiego i duszy.

I zdaje się, że nie skłamałem...

Ona patrzała na mnie. Czułem, że z niej wydzieram także wiele z tego, co i w niej się burzyło, burzyć się musiało. Miała roziskrzone oczy, a te oczy były czyste i piękne. Zdała mi się blizką i moją, — siostrą moją. Kochałem ją teraz bezcielesną miłością, łączyłem się z nią. Na jej pobladłej twarzy widziałem odblask światła jasnego, światła, co z ducha wypływa i w godność człowieczeństwa obleka. Oto wiedziałem, wiedziałem dobrze, że w jej dziewiczych, zda się dla rozkoszy tylko stworzonych piersiach serce bije i że w tem sercu, jak w wszystkich czystych sercach, ogień się żarzy. Chciałem być z nią.

Podała mi rękę. Ująłem ją i uścisnąłem krzepko... A później, nie wiem dlaczego, przykląkłem, pochyliłem głowę i przyłożyłem do jej kolan wargi na mgnienie...

http://rcin.org.pl

Gdy w parę minut po tem nadszedł Zdzisław, udaliśmy się wszyscy do pałacu. I ani ona, ani ja nie wstydziliśmy się tego, com uczynił, bo wszelka gminna, brudna myśl była wtedy odemnie daleko — i ona czuła to.

Wakacye zaś mijały niepostrzeżenie. Wiedziałem, że minąć muszą, nie mogłem się jednak z tą myślą pogodzić. R., do którego jechałem z niechęcią, miałem opuszczać z głębokim żalem. Bo tak pragnąłem ją widywać...

Nie kochałem jej, była mi tylko drogą. Może dziwnem się wyda takie określenie, zgadzało się jednak z prawdą. Była mi drogą, bo była mi blizką — to wiedziałem dobrze.

O Alicyi nie myślałem z drżeniem, z niepokojem, z jakąś obawą, myślałem jedynie, jako o bardzo swojej i dobrej. Chwila pożegnania z nią była niezmiernie przykrą. Żegnałem ją, jak osobę blizką i właśnie drogą. Wyraziła nadzieję serdeczną zobaczenia mnie w karnawale w Petersburgu, nadmieniła, że może zechcę na przyszły rok odwiedzić Zdzisława w Słotwyszach. Podziękowałem jej z głębi serca.

Petersburg wydał mi się przerażająco czczym i nieznośnym. Nasza paczka stawiła się w komplecie. Bolski wystąpił z współczuciem nad moim pobytem w R. i w Słotwyszach. Nie rzekłem nic. Po co?

Z Zdzisławem stykałem się często. Uderzyło

http://rcin.org.pl

to kolegów. Z początku nie mówili nic, później zaczęli się krzywić. Kilka razy odezwali się o nim przy mnie w sposób wysoce sarkastyczny. Stanąłem w jego obronie: wspomniałem na nią, wiedziałem, jak by jej to było przykrem.

On, czy to przez afektacyę, czy rzeczywiście, ale lgnął do mnie. Często przesiadywał u mnie wieczorami, nieraz gwarzyliśmy tak, paląc papierosy, do późnej nocy. Lubiłem go słuchać: miał w tonie głosu coś podobnego do siostry i często wymawiał sylaby sposobem jej właściwym. Przymykałem oczy i zdawało mi się wtedy, jak dzieciakowi, że to ona mówi...

Z paczką swoją jakoś powoli, nieznacznie się rozszedłem. Wpłynęły na to zbyt blizkie moje pożycie z Melskim i nasza prawie przyjaźn W innej chwili byłbym to odczuł bardzo, teraz przyjąłem to spokojnie. Nie uwierzysz, jak coraz droższem w miarę szalonej tęsknoty, która mnie za Alicyą ogarniała, stawało mi się wszystko, co z nią cośkolwiek wspólnego miało, jak bardzo starałem się otaczać tem, co ją przypominało. A Zdzisław był wszak jej bratem, istotą obok ojca najbliższą. Przy spojrzeniu na niego widziałem jak na jawie Słotwysze, pałac, park i ją, z którą wszędzie tam przebywałem i rozmawiałem...

Liczyłem z niecierpliwością chwile do karnawału. Zdzisław mówił, że przyjadą. Kiedyś

http://rcin.org.pl

pokazał mi list od niej, w którym pytała i o mnie. Patrzałem na ten arkusz długo...

I wtedy dopiero zacząłem zastanawiać się nad rodzajem uczucia, które dla niej miałem. Pragnąłem gorąco, by mój stosunek do niej został jedynie przyjacielskim, bratnim. Zdawało mi się, że tylko wtedy utrzymać można w całej krasie i niezależności tę świetlaną harmonię między dwoma duszami ludzkiemi, dwoma myślami, dwoma czuciami. Chciałem jedynie świadomości, że tam gdzieś jest taka droga dziewczyna, z którą duchowo stanowię jedność. A poza tem nic...

Lecz coś innego zda się i wbrew mojej woli rozwijało się silnie we mnie. Przenosiłem się nieraz myślą do Słotwysz i widziałem ją, Alicyę. Jakieś nieznane mi dotąd względem niej uczucia budziły się i powstawały. Chciałem ją często mieć blizko siebie i siedzieć z nią, aż do zapamiętania. Głowę jej oparłbym o swe piersi, ręką objąłbym jej ramię i tuliłbym tę moją jasną do siebie. I szeptałbym jej słowa inne, czarowne, szukałbym jej ust i patrzał w jej oczy... I byłoby mi wtedy dobrze, tak strasznie dobrze... Ona siedziałaby przy mnie, przytulona z ufnością, wierząca w moją uczciwość. Mówiłbym do niej długo, długo, tak jak mówiłem wtedy w Słotwyszach, ale i inaczej także zarazem...

Wówczas zaczęła się we mnie jakaś walka

http://rcin.org.pl

wewnętrzna. Zdało mi się, że owo ogarniające mnie coraz więcej uczucie jest jakby płaskiem i pospolitem, że mąci dotychczasową szczerość i czystość. Tak przywykłem widzieć w niej prawie siostrę, a jednak rwałem się teraz do niej, jak do kobiety drogiej, ukochanej. Męczyło mnie to i goryczą zalewało serce. I zresztą ona tak jakoś daleko była odemnie, tak jakby wysoko, że dosięgnąć jej i wziąć na swą własność nie potrafiłbym nigdy. Instynktownie odczuwałem dzielącą nas różnicę społeczną, wiedziałem, że spojrzeć na nią wzrokiem człowieka, pragnącego ją posiąść, jest prawie zuchwalstwem. Niepokój nerwowy, rozdrażnienie i ciepienie targały mną. A przytem... Czy Alicya sama nie przyjęłaby z pogardą czegoś podobnego?

I z całej mocy starałem się odepchnąć te wszystkie myśli od siebie, nie rozpalać w sobie tego, co nie powinno było się zatlić. Zapomnieć chciałem i musiałem, nie o niej, o mej dobrej Alicyi, przyjacielu mym, lecz o dziwnem, dreszczem przejmującem uczuciu, które z bólem powstawało we mnie... A zdawało mi się, że logika ma, duma męzka i niezłomne przekonanie przyczynią się do tego najlepiej.

Więc choć tęskniłem do niej — jednak ów zbliżający się karnawał zaczął mnie napawać obawą. Wolałbym nawet, by nie przyszedł wcale,

http://rcin.org.pl

po ciężkiej walce z sobą uznałem myśl pobytu w lecie w Słotwyszach za niemożliwą.

A później przychodziły chwile nowej, nieopisanej tęsknoty, tęsknoty podwójnej. Rozumowanie moje znikało, logika rozpryskiwała się na drzazgi. I choć poprzednio już postanowiłem Alicyi w karnawale wcale nie widywać, to jednak walczyłem z sobą, błagałem samego siebie: dlaczego, dlaczego? czy tylko kochać młodą i dobrą kobietę można, a poza tem nic? czy nie wolno mi myśleć o niej i patrzeć na nią, jak na kojące, szczęsne światło, które ozłaca serce i duszę? czy ja mogę wyrzec się tej serdecznej dziewczyny i pójść gdzieś precz swoją drogą, by nie ujrzeć jej już nigdy?...

Chodziłem oszołomiony i zmieniony, jakieś odrętwienie mnie gniotło. Zdzisławowi starałem się pokazywać twarz obojętną, choć z chciwością wyczekiwałem, czy nie zacznie mówić o siostrze...

Aż pewnego razu wpada do mnie i cały zaczerwieniony z mrozu i wesołości krzyczy: przyjechali! Zesztywniałem, zrobiło mi się zimno, później krew uderzyła mi do głowy. — Kto przyjechał? — krztuszę. — Cóż ty, nie wiesz, czy co? — mówi (byliśmy już z sobą na «ty») — Lila i ojciec! Świetnie wyglądają. Lila pytała o ciebie, wiesz, mam polecenie «przyniesienia» cię z sobą!

http://rcin.org.pl

Zdaje się, że go uderzył jednak i zaniepokoił wyraz mojej twarzy, bo zbliżył się do mnie i zaczął mnie targać za ramię: Julku, co ty, czyś ty chory? Co to wszystko znaczy?

Lecz mnie krew coraz silniej napływała do skroni, czoła, wszędzie. Siedziałem bez ruchu, jakby martwy.

Nagle wstałem. Nienawiść jakaś do wszystkich moich postanowień i projektów nieoglądania Alicyi mnie porwała. Uścisnąłem Zdzisławowi krzepko rękę.

— Idę z tobą — odrzekłem.

Poszedłem. Gdybyś ty mógł wiedzieć, z jaką ochotą, z jakiem szczęściem tam szedłem! Ach, niebo jakieś roztoczyło się nademną, poczułem powietrze koło siebie, duszność moralna znikała... Bo ja tak o niej marzyłem, tak myślałem o złotej mojej Lili! Biegłem prawie, Zdzisław ledwie mógł nadążyć. Lecz przy samym już hotelu nogi jakby ugięły się podemną, nowy lęk mnie ogarnął. — To tu! — mówi Zdzisław. — Tu! — powtórzyłem, jak echo. Po chwili jednak byliśmy już u Melskich.

Raz tylko jeden uścisnąłem jej dłoń, ale w tym uścisku zawarłem, zda się, wszystko. I tak myślę do tej pory jeszcze: wszystko? Ja ją już wtedy kochałem gorąco.

Nastąpił więc dziwny okres. Wiedziałem dobrze, że minie prędko, jak minął ten letni w Sło-

http://rcin.org.pl

twyszach. Starałem się nie uronić ni chwili, wszystkie pragnąłem jej poświęcać. Stosunek mój do Melskich ułożył się tak, że nikogo zdaje się nie dziwiły częste moje u nich wizyty, obcowanie z Alicyą w teatrze, na koncertach i balach. Każdy wiedział poprostu, że jestem dobrym znajomym barona, a kolegą, no, i przyjacielem jego syna. To mi dawało jakby «passe-partout» do Melskich. Nikt ma się rozumieć nie myślał posądzać mnie o głębsze jakieś zamiary. Mój «piąty kurs», finanse niezbyt świetne i skromne stanowisko społeczne nie upoważniały do tego zupełnie. Zdzisław, jak przedtem, był dla mnie serdecznym i wylanym, chętnie sam nastawał na przepędzanie z nimi czasu. Raziło mnie coprawda i raziło mocno, że byłem zmuszony stykać się przez Melskich z różnego rodzaju «noblessą», stanowiącą dla mnie świat zupełnie inny i cudzy, ale tego uniknąć w żaden sposób nie mogłem. Trzymałem się skromnie, lecz z godnością i choć tam często niejeden paniczyk, lawirujący koło bogatej i dobrze urodzonej panny Melskiej, wydął lekceważąco wargi, lub ogarnął mnie kwaśnie-pytającym wzrokiem, to jedno spokojne, ale stanowcze z mej strony spojrzenie przyprowadzało go, przynajmniej na razie, do porządku. Czułem dobrze, że to są owi «szlachetni», zaglądający po większej części do rodowodu i paszportu, z szympan-

http://rcin.org.pl

sowskim grymasem cedzący: *qui est ce monsieur là?* — mało mnie to jednak obchodziło...

Alicya była dla mnie dobrą. Czułem się bliższym jej jeszcze, niżeli w Słotwyszach. Zdało mi się, iż coś instynktowego zrodziło się między nami, coś, czego nie było dotąd. Pytałem ją szczerze, co porabiała w Słotwyszach, jak czas jej przechodził i czy moralnie zadawalająco? A ona mówiła mi, opowiadała... I było w tem zwierzanie się przyjaciela przyjacielowi, siostry bratu... Czy było także inaczej?

Nie wiem. Tak chciałem przejrzeć duszę jej na wskroś, wczuć się w jej serce i myśl, a jednak nie wiedziałem nic. Była dla mnie dobrą, była serdeczną i tkliwą, lecz nie umiałem rozjaśnić zagadki. Mogłem to zaliczyć na karb rozbudzonego u niej uczucia, ale i subtelnej miękkości duchowej zarazem dla człowieka, do którego przywiązała się poprostu. I ta niewiadomość zupełna przygnębiała mnie i ciężarem przytłaczała duszę. Z jednej strony strach wraz z rozumem i logiką powstrzymywały mnie od wyznań, z drugiej miłość pożądała i marzyła o wzajemności. Smutek żarł mnie i trawił...

Pewnego razu poszedłem na jeden z świetnych balów publicznych. Przestałem zwracać uwagę na to, że jakoś zanadto się wówczas rozbawiłem i zbyt gorliwie uczęszczałem na zabawy, nie nawiedzane zazwyczaj przez ludzi w mo-

http://rcin.org.pl

jem położeniu. Miałem zawsze opinię poważnego i rozsądnego, a tego karnawału zmieniłem się podobno zupełnie. Nawet Zdzisław śmiał się ze mnie, a poniekąd dziwił się, koledzy zaś, przekonani o zupełnej we mnie zmianie i o «paniczykostwie», które mnie ogarnęło, szydzili poza plecyma moimi, kiwając litościwie głowami.

Na tym balu była ma się rozumieć i Alicya. Miała oczy chmurne, smutne, czoło jej zasnuło się jakby mgłą... Nie zdawała się wcale interesować balem i choć tańczyła dużo, czyniła to pozornie tylko dla formy.

Zdzisław kręcił się zblazowany po sali. Grał całą poprzednią noc w «baka» i nie czuł widocznie ochoty nawet do flirtu. Cienka jego postać wyrażała najdoskonalej znużenie, wymówki moje za grę w hazard przyjmował z zupełną pobłażliwością.

Prześliśmy na chwilę do palarni. Paliłem nerwowo mój papieros, było mi także jakoś nieswojo. Z żalem myślałem o czasach słotwyszańskich, o tych wakacyach, kiedy mogłem widywać Alicyę nietylko w zgiełku i gwarze. Zdzisław zdawał się upatrywać kogoś w tłumie fraków i mundurów. Nagle trącił mnie i rzekł z zajęciem:

— Patrz, oto idzie hrabia Weyden, o którym mówią, że lwem tegorocznego karnawału zostanie.

http://rcin.org.pl

Weyden... Słyszałem już to nazwisko. Było takie, jak każde inne, a o właścicielu jego powiadał ktoś, że ma olbrzymią fortunę i niezgorsze przytem długi. Kurlandczyk z pochodzenia, dawny oficer kawalergardów bawarskich, urodzony z matki Polki i dlatego na pół Polak, obecnie obywatel ziemski i w wolnych chwilach mecenas sztuk pięknych — oto, co o nim głoszono.

Spojrzałem. Szedł mężczyzna wysoki, ładnie zbudowany, o bujnej kruczej czuprynie i płonących czarnych oczach, oczach Włocha, nie Kurlandczyka. Dystynkcya była w nim pomieszana z jakąś bujną męzkością, wypieszczona dłoń zdradzała siłę. Nos miał cienki rasowy i usta tak piękne i foremne, jak usta dziewczyny. Powierzchowność jego działała niezmiernie pociągająco i mogła napozór zniewalać.

Przywitał się z Zdzisławem: znali się już widocznie, choć Weyden od paru dni dopiero w Petersburgu bawił. Później przedstawił się mnie. Wymieniłem swe nazwisko i ogarnąłem go zimnem spojrzeniem. Coś odepchęło mnie od tego człowieka odrazu, odepchnęło silnie. Nie wiedziałem, Janku, dlaczego...

Zamieniliśmy kilka zdawkowych frazesów. Zdzisław zdawał się bardzo ucieszonym z towarzystwa hrabiego. Opowiadał mu o czemś z zajęciem, Weyden słuchał go życzliwie. Weszliśmy

http://rcin.org.pl

z powrotem do sali. Sporzałem bystro, szukając wzrokiem Alicyi. Siedziała, wsłuchana, zda się, w rozmowę jakiegoś podtatusiałego pretensyonalnego dygnitarza. Zbliżyliśmy się do niej.

— Pozwól sobie, Lilo, przedstawić pana rotmistrza v. Weydena — wyrecytował uroczystym tonem Zdzisław.

Weyden skłonił się głęboko. Potem przechylił lekko głowę w stronę Zdzisława i szepnął przelotnie ze zdziwieniem:

— Pańska siostra?

— Miałem przyjemność widzieć panią walcującą — rzekł swym barytonem — czuję się bardzo szczęśliwym, że poznałem panią.

Alicya spojrzała na niego. W wzroku jej była zwyczajna ciekawość i uprzejmość kobiety dobrze wychowanej. Weyden patrzał na nią z zajęciem, uczyniła dobre na nim wrażenie. Stałem obojętny: takich różnych panów przedstawiano jej na każdym balu bez liku...

Muzyka zagrała walc i Lila poczęła go tańczyć z Weydenem.

— Wiesz — odezwał się z ożywieniem Zdzisław — to milioner i przytem człowiek wielkiego poloru i nazwiska. Weydenowie są najpierwszą arystokracyą kurlandzką, a jego matka księżniczka Długohorska z domu... Jako partya, hm, *ma foi*, złote jabłko!

Wiedziałem, że Zdzisława zawsze olśniewały

http://rcin.org.pl

wszelkie parantele i majątki. Coś mnie jednak jakby ukłuło w samo serce przy tem powiedzeniu.

Poprosiłem z kolei Alicyę do tańca.

— Pani smutna — rzekłem w walcu — takie ma pani chmurne oczy. Dlaczego?

A ona spojrzała na mnie naprawdę smutnym wzrokiem i odparła wolno:

— Pan też smutny.

Drgnąłem mimowoli. Powiedziała to jakoś dziwnie, powiedziała tak, jak jabym jej rzec chciał, gdybym pragnął dać jej poznać, że źle mi, bo nie wiem nic. Lecz może się myliłem... Miałem ją tak blizko siebie, obejmowałem ramieniem jej delikatną postać, sercem swem wyczuwałem, zda się, bicie jej serca... Teraz... Ach, teraz gdyby ująć ją silnemi męzkiemi rękoma i unieść tam daleko, gdzie tylko dla siebie żyć można!

— Pan też smutny — powtórzyła jakby z uporem dziecka.

— Mnie źle — szepnąłem zdławionym i wzruszonym głosem, a krew zastygła mi w żyłach.

Jeden moment, jedna chwila. Co za męka... Powiedzieć jej, powiedzieć wszystko... Powiedzieć: kocham cię, kocham!

I już chciałem przytulić ją do siebie, wpić się w nią, ustami zetrzeć jej z warg to bolesne skrzywienie, krzyczeć jej z sił całych:

http://rcin.org.pl

słuchaj, słuchaj! czy nie widzisz, że ja już twój zupełnie i że niema niczego dla mnie bez ciebie, ni słońca, ni szczęścia, ni niczego, niczego na świecie? Żeś ty moja, bo ja z inną żyć nie chcę i nie mogę, bo cię ukochałem całą mocą moją, krwią, mózgiem, duszą? Boś ty rosa, co mój kwiat-życie ożywia, promień, co mi myśl i serce ozłaca? A jakże ty sama żyć bez tej wielkiej i szczerej miłości możesz? Nie kłamię jej, lecz ci ją z głębin duszy ofiarowuję, bo to jest moja najczystsza i najserdeczniejsza ofiara... Pójdź za mną, a ja cię w światłość wprowadzę... Weź mnie, bo mi bez ciebie męka i ciemność...

Czy myślisz, żem jej coś z tego powiedział? Nic! Słyszysz — nic! Nie odnajdywałem w niej nic takiego, co jest w kobiecie, która pokocha i zresztą była to panna Melska, córka Melskiego, arystokraty. Cóż czynić mi należało?

... Stanowisko w przyszłości zaledwie inżyniera, niemożność utrzymania żony, wprowadzenie panny z wysokiego towarzystwa w atmosferę biedy i zmienionych zupełnie warunków życiowych — oto, co mogłem jej ofiarować. Lecz z drugiej strony, wszak można było zapytać wprost, oświadczyć się, wybadać barona i Zdzisława... Krew cierpła mi jednak, gdy pomyślałem, że ostatecznie Alicya nie czuła pewnie dla mnie nic, że baron obrzuciłby mnie

http://rcin.org.pl

błotem... A tak przynajmniej oszałamiałem się: kochałem ją i łudziłem się, że ona mnie pokocha, nie wiedziałem, czy baron się zgodzi, lecz wmawiałem w siebie, że możeby się zgodził...

Walc się skończył i niezadługo skończył się także bal. Weyden zdążył przetańczyć z Alicyą kilka razy i zamienić z nią wiele zdań. Zapoznał się także ze starym baronem, a gdy panna Melska już wychodziła z sali, odprowadził ich troskliwie do samej karety...

Zwróciłem się do niego, chcąc się z nim pożegnać, lecz on oświadczył, że jeżeli nie mam nic przeciwko temu, to podprowadzi mnie kawałek, gdyż z chęcią przejdzie się po nużącej nieco zabawie. Odprawił nawet oczekującego nań stangreta.

Szedłem, ledwie słuchając tego, co mówił. W myśli miałem tylko krótkie zdanie Alicyi. Widziałem także jej oczy... I zdawało mi się, że jeżeli z początku wieczoru były one smutne z przyczyny błahej, lub wypadkowej, to powodem ich późniejszej żałości stać się mogły słowa, które odszepnąłem jej w tańcu... Może chciała usłyszeć więcej, może ją to zaniepokoiło, bo była dobra i tkliwa i nie znosiła ludzkiego cierpienia. Lecz gdybym był jej powiedział... Oczy z smutnych stałyby się zimnemi, twarz mroczną...

«Pan też smutny» — brzmiały wyrzutem i...

http://rcin.org.pl

godnym jej słowa. Chciała mi rzec może: nie bolej, życie jest złe. Sądziła pewnie, że źródłem mego przygnębienia była jaka niepomyślna wiadomość, albo zwykła troska życiowa. Na balu tak trudno o chwilę swobodnej rozmowy, o dowiedzenie się, co komu dolega... «Życie jest złe» — mówiły mi ciągle jej oczy, patrzące na mnie zewsząd. To lepsze, które ona by ze mną podzielić mogła, należało do gorzkich ułud...

Nagle drgnąłem. Weyden też wymawiał jej imię. Mówił coś i dotykał mego ramienia, jakby budził mnie ze snu.

— Wszak państwo Melscy są bardzo bogaci? — zapytał.

— Nie wiem — odparłem sucho.

— A panna Melska, jaką się panu wydaje? Co pana w niej uderza najwięcej?

Spojrzałem mu prosto w oczy. Zimne nasze spojrzenia się skrzyżowały.

— Jest bardzo inteligentną i bardzo dobrą — odrzekłem.

— I bardzo przystojną i dystyngowaną — dodał głosem smakosza.

— Tak, bardzo przystojną i dystyngowaną — powtórzyłem, jak echo.

Nazajutrz nie poszedłem, wbrew zwyczajowi, do Melskich. Straszny ból głowy mnie żarł i gorszy od niego — ból duszy. Ten bal był jakąś przełomową chwilą dla mnie. Zdało mi się, że

http://rcin.org.pl

tak dalej iść w żaden sposób nie może, że powinienem i muszę wyrzec się marzeń i rojeń. I z rozpaczą chwyciłem się tej myśli. Gorączkowo zabrałem się do pracy, w niej widziałem jedyne lekarstwo, jedyny środek odurzający. Pilnie spędzałem wieczory w domu, pochylony nad rajsbretem, lub książką, a w dzień chodziłem do instytutu...

I nie myślałem o drogiej mojej dziewczynie, jak dzieciak prosiłem sam siebie o to. Zdawało mi się, że ją usunąłem z mej pamięci zupełnie, że oddałem się wyłącznie pracy.

A jednak, będąc mieszaniną przeciwieństw tylko, miałem głęboki żal do Zdzisława, że nie zaszedł do mnie w tych czasach ani razu. Instynktownie żądałem od niego, nie domyślającego się pewnie niczego, współczucia i jakby się tu wyrazić — pośrednictwa duchowego. Dziwiło mnie, iż tak o mnie zapomniał zupełnie i to potęgowało gorycz, którą nosiłem w sercu.

Aż oto pewnego dnia nastąpiło wyjaśnienie. Wpada Zdzisław i poczyna pytać, co się ze mną dzieje, czym nie chory i jaki jest powód mojego nieukazywania się u nich? Ton jego głosu był niedbały, w zachowaniu uderzało roztargnienie. Coś przykrego chwyciło mnie za serce.

— Dlaczego pytasz — odrzekłem — wszak tak późno przyszło ci to do głowy?

http://rcin.org.pl

— Tak — powiedział — ale i ty mogłeś mnie zawiadomić, odwiedzić...

Zaczął opowiadać banalne rzeczy, a później przeszedł na Weydena. Był wprost zachwycony nim. — Doskonale gra, jeździ, strzela, tańczy, flirtuje... — mówił. — Ogromnie się zaprzyjaźniliśmy i przesiaduje u nas całymi prawie dniami...

— Ale — rzekł po chwili — daruj, zabij, przyznaję się do grzechu, że może byłbym i dzisiaj jeszcze nie wpadł do ciebie, bo umówiliśmy się z Weydenem na małe polowanko na... baletniczki, nie mogłem jednak opędzić się Lili... Koniecznie: Zdzichu, idź, zobacz, co się z panem Juliuszem dzieje! — i tak w kółko. «Co się ma dziać? — mówię - przygotowuje się pewnie pomału do egzaminów, albo «bumluje» po Petersburgu». To jednak nie pomogło: idź i idź! No, więc przyszedłem!

Kręcił się po pokoju i wywijał laską między palcami, jakby szukając pierwszego lepszego pozoru, by się odemnie wynieść. Poczułem jakąś ogromną odrazę do kolegi Melskiego i gorzki niesmak wykrzywił mi usta. Oto przedstawiała się nareszcie w całej swej nagiej prawdzie jego moralna istota!

Droga moja, ukochana Lila... Takżeto chciała wiedzieć, co się ze mną dzieje i niepokoiło ją, że nie daję znaku życia? W jednej chwili, błyskawicznie, ujrzałem jej dobre modre oczy i bla-

http://rcin.org.pl

dą twarz, ocienioną jakby smutkiem. Całą tę drobną, tchnącą urokiem i słodyczą postać... I zdało mi się, że te oczy patrzą bez przerwy na mnie, że chcą wyczytać mi z duszy tajemnicę, a usta poruszają się i mówią coś długo, długo... Jakże strasznie chciałbym ją mieć przy sobie, jak duszą mnie żal i tęsknota... Nowy huragan myśli i nowa burza uczuć. Ten mdły, trywialny i pospolity paniczyk, jej brat, nie przypuszczał ani na chwilę, co te słowa, powtórzone bezbarwnym i obojętnym jego głosem, zrodziły we mnie. Z gorzkim smutkiem spoglądałem na niego, bo mi się zdało, iż dopiero teraz spostrzegłem, kim on jest w rzeczywistości i do jakiego gatunku ludzi należy. Z ironią śledziłem jego ruchy i dziwiłem się, że ów przyjaciel Weydena zaszczyca mnie jeszcze swą obecnością. Spojrzałem mu z «głębi duszy» w oczy:

Cóż, zajmujący człowiek ten twój Weyden? Baletniczek dużo utrzymuje?

— Ba, jeszcze jak! — odparł z zajęciem. — Ma kilka «szampańskich», ja też znam parę, bawimy się. Zuchwały jest i umie każdego utrzymać w ryzie. Dziewki, choć go kochają, boją go się i nikomu nie są tak jak jemu uległe. Ten człowiek umie żyć i aż się szerzej przy nim oddycha!

A później dodał jakby od niechcenia:

— «Baby» też nasze, różne mamy z towa-

http://rcin.org.pl

rzystwa i dziewice z posagami, polują na niego, jak zwykle. Sidła zastawiają... Weyden, mówiąc *entre-nous,* ma trochę długów, ale w wyborze wybredny. Rozmyśla pewnie. Każda jednak mogłaby o niego nowenny odprawiać!...

Schyliłem się nad rajsbretem i zacząłem w dalszym ciągu rysować. Nie do pracy było mi w owej chwili, lecz nie chciałem dłużej zaprzątać sobie głowy Zdzisławem. Po niejakim czasie usłyszałem jego głos:

— Cóż ty robisz?

— Rysuję.

— Gościnny z ciebie gospodarz...

— Przygotowuję się do egzaminów — odparłem szyderczo.

Wstał i począł się żegnać. Wtedy rzuciłem cyrkle i podszedłem do niego:

— Słuchaj, powiedz pannie Alicyi, że jej z serca dziękuję i że dzisiaj jeszcze wieczorem postaram się odwiedzić ją i twego ojca.

— *Merci.* Ach, przez ciebie spóźniłem się na *rendez-vous*... Weyden się będzie rzucał...

— Idź, uspokój twego Weydena.

Lecz on zrozumiał pogardliwy ton mego powiedzenia. Spojrzał mi hardo w oczy.

— Co to? — przemówił.

— Nic — odrzekłem, nie spuszczając zeń wzroku.

I poszedł.

http://rcin.org.pl

A ja usiadłem. Zdało mi się, iż widzę ironiczny grymas Bolskiego, z jakim pytał mnie kiedyś: cóż kolega Melski?

Kolega Melski... Czego ja żądałem od tego człowieka? Myślałem, czy też łudziłem się, że jest innym? No, więc oszukałem się! Pragnąłem, by mnie «poprotegował» do siostry, jak «protegуje» Weydena? Krew zalała mi policzki. Nie, jako żywo! Nie takiemi drogami chciałem w mglistych moich i rozpaczliwych marzeniach zdobyć Alicyę i czułem przytem, że w imię prostej uczciwości ludzkiej, mogę, mam prawo nie być porównywanym z podobnymi Weydenowi. Serca tylko i ciepłej przyjaźni pragnąłem od Zdzisława, po które sięgałem zgnębiony, jak człowiek, któremu zimno, pragnąłem tem więcej, że był bratem najbliższej mi i umiłowanej przezemnie kobiety...

— Ona cię chce widzieć, myśli o tobie — wirowało mi w mózgu i paliło mnie ogniem, napawając jednocześnie dziką radością. — Pragnie cię widzieć — powtarzałem sam sobie gorączkowo i jednocześnie wmawiałem w siebie, że pytała o mnie, jak poczciwa, ale obojętna znajoma tylko. — A jednak nie, nie! — krzyczało moje serce i chwytało się tej myśli oburącz, przekonywując mnie, zwątpiałego i nie ośmielającego się przypuszczać, wierzyć. — Pragnie cię widzieć, bo jej źle bez ciebie, bo cię

http://rcin.org.pl

kocha. — Kocha... To jedno cudne, czarowne, upajające słowo... Kocha — ten zdrój, to słońce, to szczęście... — Lila, Lila — szeptałem i wyciągałem ku niej ręce, choć jej nie było koło mnie, choć obraz jej tylko tworzyłem mocą wyobraźni. — Lila, Lila — wołało serce, modliła się dusza. — Lila — prosiła myśl, błagał każdy nerw, fibr...

I zdało mi się, że ona jest, że przyszła. Jej oczy były bezdennie smutne, a czoło pokrył mrok, jak wówczas. Stała, opuściwszy ręce bezwładnie i czekała, co jej powiem. A ja patrzałem na nią i pełen trawiącej mnie gorączki syciłem nią oczy i duszę. Oto jest przy mnie, tak blizko, tak zupełnie przy mnie i nie odchodzi, nie rozwiewa się w mgły. Nikt mi jej stąd nie zabierze i nikt nie postawi już więcej między nami zapory. Przyszła ze swego świata dumnego i dalekiego, ze świata chłodu i przesądów i objawiła mi się słodką i kochającą. Oczy jej mówią mi: jam twoja! — i to jest przecudna mowa. Mojemi są jej serce i dusza, moją myśl nawet. Oto tylko sięgnąć mi i zabrać ją, nie oddać za nic nikomu. Przygarnąć ją ku sobie i wchłaniać z bezmiernem upojeniem. Wyciągam ręce, przymykam oczy... — Pójdź... — szepcą usta moje.

Wzdrygnąłem się i oprzytomniałem. Cztery ściany biednej izdebki studenckiej tylko ujrza-

http://rcin.org.pl

łem i powiał po mnie chłód z pustką, tchnące tu zawsze zewsząd. Gdzieś w kącie gasł jakiś blask, ów pewnie, który widziałem oczyma duszy, a wraz z nim znikało drogie zjawisko... Łzy zapiekłe poczułem pod powiekami.

Marzenia i nic więcej... Jedna z niezliczonych wizyi, stwarzanych siłą pragnienia i bólem tęsknoty. Konieczność hamowania wybuchów i potrzeba nieubłaganej logiki stanęły mi ciężko przed oczyma. Po co to łamanie się moralne, po co rzucanie się w klatce, której kraty są mocne i złamać się nie dadzą? Nikt nie wyrwie mi z serca miłości, bo to przechodzi moc ludzką, nikt nie zabroni mi poświęcić tej kobiecie duszy, ale też ja sam powinienem wiedzieć, że przy tem wszystkiem muszę, muszę jej się wyrzec! Muszę, choćby dla jej szczęścia. A tylko w ofierze, w zaparciu się i męce jest miłość prawdziwa.

I zdało mi się, żem przestąpił ten Rubikon. Ból się zwiększył i musiał w przyszłości zwiększać się coraz więcej, sercu odjąłem tlejącą na dnie słabą iskrę nadziei, ale to wydało mi się koniecznem i jedynie uczciwem.

— Ona nigdy nie powinna wiedzieć, żem ją kochał — mówiłem sobie — nie powinna mieć współczucia dla mnie. — Była dobra i czysta i współczuciem napewno wezbrałoby jej serce. I choć od niej przyjąłbym nawet litość, to

http://rcin.org.pl

nie chciałem, by duszę jej zatruła kiedykolwiek najlżejsza bodaj myśl, iż komuś mimowoli złamała życie...

Postanowiłem sobie mocno, że ten projekt, którego kilka tygodni temu nie miałem siły wykonać, teraz spełnię napewno, że wyrzeknę się widywania Alicyi. I by jak najskuteczniej to uczynić, zdecydowałem się pojechać do Warszawy. Tam miałem swoich staruszków i oni, ci drodzy, będą dla mnie wymówką...

— Tak więc skończyło się wszystko — myślałem z bolesną goryczą. — Skończyły się tęczowe sny, marzenia niejasne i mgliste pożądanie szczęścia... Sam sobie byłem sędzią i wykonawcą wyroku, ale jako człowiek wzdrygałem się. Tam, gdzieś daleko, zostawię ją, ukochaną. Zostawię samotną, oddaną na pastwę bezduszności, przygnębiającej pospolitości moralnej i takiej bezmiernej czczości duchowej, o jakiej może mieć pojęcie tylko ten, kto zetknął się kiedykolwiek z owym «innym» światem. Zostawię na łup niezliczonym bezmózgowcom, albo wytartym hulakom życiowym w rodzaju Weydena. A ona będzie jedna i będzie się z początku broniła. Będzie bezwiednie wyciągała ręce do jakiegoś innego życia, do czegoś, coby pozwoliło jej czuć i myśleć. Była duchowo mocna i nie dawała się łamać tak prędko. Więc duszę jej rozżarzy długotrwały, uparty bunt, serce nie

http://rcin.org.pl

ugnie się odrazu. Ale to będzie żmudna i bolesna walka z ciemnością, pychą, zaślepieniem, lub obojętnością innych. Z musu wepchnięta w środowisko sfery, do której należała urodzeniem, zapragnie nieraz jasnego światła, jakie daje życie ciche, lecz owocne, życie w trudzie, znaczone jednak rezultatami wszystkich lepszych, idealniejszych porywów... Zapragnie tego, by istnienie nie składało się z samych tylko najpospolitszych form życiowych, lecz by poza temi formami były jeszcze cel jakiś i idea. Tak bardzo nie nadawała się na salonową lalkę, na kobietę, z bezmyślnym uśmiechem ślizgającą się po piance życia jedynie, że nie zdoła szybko zawrzeć milczącego kompromisu z nurtującem w głębiach sumieniem i zetrzeć z swej duszy czystych pokładów altruizmu i poświęcenia... Duszno jej będzie, będzie się dławiła i znikąd nie napłynie struga świeżego powietrza. Będzie jej ciemno i nie rozwidni się nigdzie, będzie ciasno — klatka pozostanie wązką. Później... Może przyjdzie chwila, że jako kobieta zatęskni do miłości dobrej i czystej, nie takiej, którą szafują zazwyczaj w «ich» świecie. Zamarzy o tem, by «stało się światło», by Bóg zamieszkał w tej miłości, by jej nie kalały pustka i pospolitość duchowa. I wtedy może się omylić, może zamiast wartości rzeczywistej otrzymać liczman wytarty, uchodzący w życiu za wartość. A co

http://rcin.org.pl

stanie się wówczas z nią? Do wszystkiego poprzedniego dołączy się i to jeszcze i będzie ją powoli unicestwiało jako człowieka, który czuł, myślał, chciał czegoś i mógł coś, choć w najskromniejszym zakresie, uczynić... — Ona to stanie się ofiarą tego, ona — moja Lila, moja dusza, moje serce, moje ukochanie — myślałem rozpacznie, bo czułem, wiedziałem i widziałem dobrze, że to się spełnić musi, że to się spełni prędzej, czy później. I wzdrygnąłem się raz jeszcze...

Lecz czemże byłem ja sam, jeżeli nie słabym, pospolitym jak większość człowiekiem jedynie? Czyż ja to miałem prawo przyjść do niej i powiedzieć jej: oddaj mi siebie, a nie dam cię na mękę moralną, na owo powolne konanie?... Co było we mnie lepszego i czem zasłużyłem sobie na to? W jaki sposób mogłem stać się dla niej tą podporą, która krzepi siły i wiarę?... Kiedyś chciałem jej rzec: pójdź za mną, a ja cię w światłość wprowadzę... Szyderstwem wydało mi się to teraz.

Lila... Zobaczę ją raz jeszcze, a potem pójdę precz swoją drogą. Z bólem i żalem tylko wspominałem, że jeśli nie byłem w stanie rozsłonecznić jej życia, to przynajmniej pragnąłem tego bez obłudy, z głębi duszy, z szaloną żądzą pragnąłem...

Wyczerpany zupełnie zadzwoniłem do drzwi

http://rcin.org.pl

ich mieszkania hotelowego. W głowie miałem chaos, rój myśli, który obsiadł mi mózg, wytrawił go prawie do szczętu. Ciężko wszedłem do przedpokoju i ciężko przeszedłem do salonu...

Więc oto byłem znowu w owem miejscu, tak starannie ostatnimi czasy omijanem. Spoglądałem na wszystko, co ją tak żywo przypominało, oddychałem powietrzem, którego każdy atom tchnął zda się nią... Tu, gdzieś niedaleko, może w sąsiednim pokoju, jest ona i za chwilę ją ujrzę. Przyjdzie i znowu będę sycił wzrok jej widokiem. Doznam raz jeszcze tego, czego się wyrzec musiałem...

Siedziałem oparty o fotel. Patrzałem na migający połyskliwie kandelabr, w którym kryształki mieniły się, jak łzy ludzkie, wyciskane przez ból i żal... Pokój wydał mi się posępniejszym, niż zwykle, wszystko sztywnem i chłodnem.

Lecz nagle powstałem spiesznie. Drzwi otworzyły się i do salonu weszła, a raczej wbiegła Alicya. Usłyszałem szybki szelest jej sukien i odgłos kroków prędkich, tłumionych przez ogromny puszysty dywan.

— Pan Juliusz! — zakrzyknęła wesołym, rozradowanym głosem i wyciągnęła do mnie rękę, którą uścisnąłem z całej mocy, zmieszany, oszołomiony, uniesiony.

Ale w tym momencie dopiero stanęła jak

http://rcin.org.pl

wryta i przez twarz jej przeleciała fala również jakby zmieszania. Oczy, błyszczące przed sekundą, pociemniały i po chwili nakryły się lekko rzęsami, głowę pochyliła i stała tak z dłonią w mojej dłoni, tuż przy mnie, blizko, strasznie blizko, niby zawstydzona, niby przelękniona, onieśmielona i przykuta zarazem do miejsca czemś niewytłomaczonem...

Trzymałem jej dłoń i nie wypuszczałem z swojej. Czułem ją, czułem przy sobie i widziałem ją. Patrzałem tylko, wpijając wzrok... Czoło jej pochyliło się jeszcze więcej, złote włosy muskały mi prawie wargi...

— Pan Juliusz, pan Juliusz... — mówiła urywanym głosem — co się z panem działo, dlaczego pan nie przychodził?...

Ściskałem jej dłoń konwulsyjnie, jakgdyby w zamiarze zmiażdżenia. Potem ująłem ją za drugą. Stała, jak dziecko, nie mające odwagi się ruszyć, zmienić pozycyi. Krew tylko ściekała jej coraz bardziej z twarzy i policzki powlekały się niezmierną bladością... Słyszałem też przyspieszone bicie jej serca i poczułem, że ręce jej zaczynają drżeć...

Zapomniałem, w jaki sposób postanowiłem powiedzieć jej o wyjeździe. Sztucznie ułożone słowa uleciały mi z pamięci, przygotowane z góry frazesy zginęły gdzieś... W oczach gorzał mi

http://rcin.org.pl

płomień, głowę ogarniał żar, ciało przeszywały bolesne dreszcze...

— Panno Alicyo, panno Alicyo — przemówiłem gorączkowo — panno Alicyo...

Głos wiązł mi w gardle. Patrzałem na nią z jakimś dzikim bólem.

— Panno Alicyo... — szeptałem — ja wyjeżdżam... daleko... do Warszawy... do staruszków... muszę wyjechać... na długo... na zawsze...

I czułem, że mówię głupio, nędznie, wstrętnie, że to jest niesłychane, potworne i ohydne... — Muszę — krzyczałem sobie w duszy — musisz — zgrzytało echo w głowie. — Postanowiłem, zdecydowałem nieodwołalnie, nie cofnę się - zagłuszałem sam siebie i odpychałem rozpaczliwie najlżejszy cień protestu...

— Panno Alicyo... — powtarzałem jej i nie słyszałem żadnej odpowiedzi, nie słyszałem nic. — Panno Alicyo — skarżyłem jej się i prosiłem jakby o coś, lecz ona milczała ciężko...

Stałem tak jeszcze chwilę, miotany całą falą uczuć, nie wiedząc, co mówić i czynić. Chciałem puścić jej ręce — i nie mogłem, chciałem zakończyć tę mękę i wyjść szybkim, szalonym krokiem, nie rzekłszy jej już więcej ni słowa — i patrzałem na nią, jak uroczony. Czułem, że oczy powlekają mi się jakąś mgłą, że żyły na skroniach nabrzmiewają...

I nagle osunąłem jej się do kolan, objąłem

http://rcin.org.pl

nogi jej rękoma i tuląc spazmatycznie głowę w jej sukni, zacząłem szeptać błagalnie:

— Zmiłuj się nademną, zmiłuj się nademną, zmiłuj się nademną!...

Ona wzdrygnęła się i jakby zachwiała. Ręce opuściła na me ramiona, chcąc pomódz mi pewnie do wstania. Wtedy palce jej musnęły mi wargi — wpiłem płonące usta w jej dłoń...

Wstałem ciężko, jak pijany. Oczy nasze się spotkały. Drżała, z pod powiek spływały jej łzy duże, bolesne. Twarz była pokryta śmiertelną bladością.

I zapominając, gdzie jestem i co czynię — przyciągnąłem ją ku sobie i począłem szukać jej ust. Wyciągnęła ręce, jakby broniąc się instynktownie, głowę pochyliła i odwróciła w tył...

— Panie Juliuszu — błagała — panie Juliuszu... Niech się pan opamięta — szeptała drżąco — co pan czyni... co pan czyni...

— Lila, Lila... — mówiłem jej dławionym uniesieniem głosem, obejmując ją z całej mocy, jak w szale i wpijając się w jej twarz, usta, oczy, włosy... — Lila... — prosiłem ją, rozkazywałem, modliłem się i pieściłem. — Lila, dziecko moje, skarbie mój, ukochanie moje, — moje szczęście, zorzo moja, słońce moje... Nie oddam cię, tyś moja, słyszysz — moja?! Moja, moja, moja — powtarzałem, jak w gorączce, przyci-

http://rcin.org.pl

skając konwulsyjnie jej ręce do swoich. - Dziecino najdroższa, klejnocie jedyny...

Usłyszałem ciche jej łkanie. Oprzytomniałem. Puściłem ją, a ona płakała rzewnie, bez słowa skargi, jak dziecko niewinne. Począłem błagać ją, by się uspokoiła, by mi przebaczyła. Chusteczką jej ocierałem jej oczy, przytulałem wargi do jej rąk, prosząc ją...

Usiadłem. Dłonią przesuwałem po czole i nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. W sercu mnie paliło, w głowie huczało. Jakiś olbrzymi chaos ogarnął mi duszę, ale z tego chaosu wyłaniało się jedno mocne i oślepiająco jasne samopoznanie: czułem się szczęśliwym.

Nie słyszałem prawie tego, co mówił stary baron, gdy nadszedł. Pamiętam tylko, że dziwił się, czemu tak długo się nie zjawiałem. Opowiadał też o jakichś najnowszych wiadomościach ze «świata» petersburgskiego i komentował różne w nim wydarzenia. Słuchałem go, jak człowiek, zadający sobie największy gwałt — myśl moja była gdzieindziej. Zauważył wreszcie owo roztargnienie. — Cóż ci to jest, panie Juliuszu? — spytał. — Głowa mnie boli ogromnie — odparłem.

Lili nie było. Poszła do swych pokojów, a ja patrzałem nieprzytomnemi oczyma na drzwi, któremi znikła i tworzyłem w duszy wizyę tego, co przed chwilą przeżyłem. Usta palił mi jeszcze dreszcz pocałunków, czułem jej drogą po-

http://rcin.org.pl

stać w swych ramionach, policzki rozżarzało mi tchnienie jej gorącego oddechu... I nic nie przejmowało mnie takiem szczęściem, jak to, że ona była ze mną, że wyznałem jej swój ból i mękę, żem podzielił się z nią wszystkiem, co mnie oszałamiało, że była moją. Miałem ją tak blizko siebie i była moją, jest moją — ta jedna myśl gorzała w mym mózgu, jak uniesienie bez granic, jak jaskrawy płomień i radowała, cieszyła bezdennie. Jest moją — powtarzałem sobie i odpychałem wszystko, co starało się zaciemnić mi ten jasny obraz. — Twoją! zdawało się powtarzać echo w tym pokoju.

Nie pamiętam, jak długo siedziałem z baronem, siląc się na podtrzymywanie urywającej się ciągle rozmowy. Szczęściem, baron lubił mówić i on to głównie ją podtrzymywał. Przez chwilę miałem szaloną chęć upaść do nóg temu człowiekowi, wyznać mu wszystko, opowiedzieć wszystko, niczego nie utaiwszy z tego, co przeszedłem i przecierpiałem i poprosić go serdecznie, by mi oddał na wieczną własność tę czystą, dobrą dziewczynę. — On jest dumny i pyszny, ale nie ma złego serca — myślałem — i zrozumie, że miłość uczciwa przemawia przezemnie. — On jest ci życzliwym — mówiłem sobie — on zrozumie twoje uczucie... Przemów do niego, jak do człowieka, nie jak do magnata, a on cię wysłucha, jak człowiek...

http://rcin.org.pl

Zaciskałem i giąłem dłonie, twarz wykrzywiła mi się jakimś gorzko rozpaczliwym uśmiechem... Jeszcze chwila — i może byłbym to uczynił.

Lecz baron mówił coś z ogromnem ożywieniem. Brwi ściągnął, oczy błyszczące utkwił we mnie, wąsy najeżył. Kilka razy obiło mi się o uszy jego: «prawda, panie Juliuszu?» Mimowoli, wbrew woli, zacząłem słuchać.

— ... «Odwaga w swoim rodzaju i bezczelność — dźwięczał jego lekko wzburzony głos — znał ich, bywał w tym domu, ot, nie mogli go przecież wyrzucić, gdy przyszedł, wkradł się nawet, jak to mówią, w zaufanie, myśleli o nim zapewne: niechże i on ma jakąś przyjemność! A tu urządził w istocie przyjemność, taką, że proszę siadać! Pannę, gąskę naiwną, w sobie rozkochał, oświadczył jej się, wyznał swą szaloną miłość i jakgdyby nic — za swoją uważać począł...

— Kto? — zapytałem z wysiłkiem, w słuch nagle zamieniony, czując, że blednę i że mi ręce tężeją...

— No, on, mówiłem, Skarczewski, poeta, czy muzyk, licho go tam wie!

Zdało mi się, że muszę, że powinienem usłyszeć: Chodorowicz, student instytutu technologicznego. Do tego stopnia byłem przekonany,

http://rcin.org.pl

że się pan baron omylił, iż szepnąłem, biorąc się za głowę:

— Niesłychane!

— Co, prawda? — zapytał z ożywieniem Melski. — Wszak i pan, panie Juliuszu, uważasz to za niesłychane? Przecież każdy powinien znać swoje granice, to jasne? A teraz co? Skandal, że większego nie potrzeba. Pan Skarczewski, artysta, rozkochany w hrabiance Kińskiej, magnatce, a hrabianka Kińska, magnatka, zadurzona w panu Skarczewskim, ar...ty...ście!

— Pan Skarczewski, artysta, w pannie Kińskiej, hrabiance... — powtarzałem machinalnie.

— To nic! — zakrzyknął baron wzburzony. — Powiedział, że się z nią ożeni. Słyszy pan, — że się z nią ożeni? I oto teraz Kińscy, arystokraci, bogacze, mają czem zaprzątać sobie głowę... Ale do tego dojść nie może! Panu Skarczewskiemu wskażą jego właściwe miejsce, lub w ostateczności zaspokoją jego pretensye jakąś kwotą... Skandal, wstyd dla całego towarzystwa, kompromitacya dla nas wszystkich!

Nie odpowiadałem. Co miałem na takie niegodne powiedzenie odrzec? Dać mu policzek moralny, jemu, ojcu Alicyi? Skarczewski... człowiek prawy i honorowy, jeden z najświetniejszych talentów beletrystycznych polskich...

— Wstań — szeptało mi złe widmo — rzuć się do nóg tego starca, wyznaj mu wszystko,

http://rcin.org.pl

powiedz, jak chciałeś, wszystko! Powiedz głośno i z mocą, żeś ty też pokochał, żeś także ofiarował duszę i serce dziewczynie nie z twego świata. Powiedz mu odważnie, że się tej dziewczyny wyrzec już nie możesz i nie chcesz, krzyknij, że ta dziewczyna — to jego córka!

I zdało mi się, że mu tego nie powiem, ale że ujmę go w swe żelazne dłonie i zacznę gnieść z wściekłością. Nie powiem mu, bo wiem już, co on by mi na to odpowiedział, ale będę mu syczał w ucho: nie ty mnie powstrzymasz, ani tacy, jak ty! Nie będę zważał, czyli chcesz, czy też nie chcesz, nie ty mi wskażesz moje miejsce, ani zapłacisz «jakąś kwotą»! Nie będę cię pytał ni prosił, bo wiem, że u ciebie nie serce, lecz urodzenie, nie uczciwość, lecz fortuna stanowią! Majątku nie mam, tytułu nie mam, stanowiska nie mam, ale twoja córka będzie moją, bo ja tego chcę — i ona!

I jak błyskawica przeszyła mnie nagle myśl, czy też Alicya chce rzeczywiście tego? Czy miałem jaki dowód, albo prawo? Nadużyłem jej dobrej wiary jedynie.

W przedpokoju ozwał się dzwonek. Ktoś przyszedł. Instynktownie chwyciłem czapkę, by odejść.

Lecz drzwi do salonu otworzono i ukazał się najpierw Weyden, a za nim, zarumieniony z mrozu, Zdzisław.

http://rcin.org.pl

— A, Julek! — zawołał, ujrzawszy mnie. — Więc przyszedłeś? Daruj, żem nie uprzedził w domu nikogo o twem przyjściu, jak chciałeś, ale spieszyłem na spotkanie z hrabią.

Zauważyłem, że zachowanie Weydena cechowała swoboda, a z oboma Melskimi był już «dobrze» i ten dom uważał może za prawie własny.

— A gdzie panna Alicya? — zapytał.

— Lila jest u siebie — odparł stary baron.

Zacząłem się żegnać.

Nagle we drzwiach ukazała się Alicya. Weyden podszedł szybko i skłonił się uprzejmie:

— Pytałem o panią przed chwilą. Cieszę się, że ten wieczór spędzimy razem.

Alicya chłodno podała mu rękę. Głosem niezbyt donośnym, lecz pewnym siebie odrzekła:

— Mnie musi pan wykreślić. Czuję się osłabioną i proszę mi nie wziąć za złe, jeżeli to przywitanie będzie i pożegnaniem zarazem.

Weydena twarz okryła się chmurą. Zdzisław utkwił zdziwione oczy w siostrze, stary baron patrzał zakłopotany. Wtedy zbliżyłem się do niej.

— Do widzenia — szepnęła i dłoń mą ogarnął ciepły jej i silny uścisk».

— «Wiedziałem więc, że jest moją i że chce do mnie należeć. Ta myśl napełniła mnie bezbrzeżnem weselem. Nie rozpamiętywałem tego, ile bólu, goryczy i walk, ile cierpień czeka nas

http://rcin.org.pl

oboje, zanim w obliczu Boga i świata połączymy życia swe na zawsze. Myślałem tylko o tem, co było, co się stało i upajałem się radością chwili. Wszystko, co przyjść miało, co zechciałoby zdruzgotać nasze szczęście, należało, wobec trawiących mnie dotychczas uczuć, do nikłych i małoważnych rzeczy. Tak mi się przynajmniej zdawało...

Widziałem ją kilka razy jeszcze. To, cobym rzekł, byłoby tylko bladem i bezbarwnem odbiciem. Jedno ci powiem jednak: jeżeli rozumiałem kiedykolwiek, czem jest szczęście, to rozumiałem jedynie wtedy. Życie szare i smutne przetkały mi promienie słońca, tęcza rozigrała się nademną barwami cudnemi... Błogością wypełniła się cała moja istota, — dusza utonęła w ekstazie.

Tajemnicę naszą postanowiliśmy zachować do czasu. Na lato umówiliśmy się, że pojadę do R. Nie trawił mnie gorzki ból, gdy ona odjeżdżała, choć nie miałem jej widywać tak długo: mój stosunek do niej zmienił się przecież zupełnie. Tęskno mi tylko było bezmiernie i ogromnie pusto. Ale choć myślą wybiegałem ciągle daleko poza sferę mych czynności życiowych tam do Słotwysz, pracowałem jednak z zapałem i otuchą. Pracowałem w imię obowiązku pracy, ale zarazem i z myślą o tej mojej jedynej, której chciałem własnym trudem i krwią,

http://rcin.org.pl

gdyby było potrzeba, byt spokojny w przyszłości zabezpieczyć. Pragnąłem także zasłużyć na nią i przyjść do niej nie jak człowiek, sięgający po dar losu tylko. Chciałem jej z czystem sumieniem i uczciwem spojrzeniem w oczach powiedzieć: oddaj mi siebie, a ja ci przyrzekam, że wedle możności ciernie z pod twych nóg w życiu usuwać będę... Wiedziałem, że to była jasna dusza i że mnie nie obrzuci nigdy wzgardą za to, iż tylko według skromnej mej możności moralnie i materyalnie temu zadość uczynię. Gorąco, z całych sił pragnąłem, by nie żałowała nigdy tego, że pozwoliła mi się uważać za swoją, krzepiła mnie myśl, iż chcę jej tylko dla niej samej...

Moja ukochana, moja złota... Wszystko wydało mi się odtąd znośnem, wszystko, co przykre, łagodziłem sam sobie uśmiechem wyrozumienia, bo nagroda czekała mnie tak wielka i słodka! I jak dobry duch, jak anioł stróż zjawiała się ta dziewczyna przy mnie i dodawała bodźca, mocy... Koiłem nią myśl i serce, jak się koi spieczone wargi wodą zimną, źródlaną, balsamem była dla mnie i jutrzenką, opromieniającą blaskiem życie... Jam to należał do liczby tych niewielu szczęśliwców, którzy szlachetną i niepokalaną duszę kobiecą otrzymali na swą własność, dla których biło na świecie święte w swej czystości serce kobiece... I chwilami,

http://rcin.org.pl

czując się zbyt szczęśliwym, bałem się tego szczęścia, bo drżałem o to, czy człowiekowi wolno być wogóle szczęśliwym. Lecz chwytałem go się zarazem oburącz, gdyż to była moja opoka, moja siła, moje uniesienie... Wiedziałem, żem może nie zasłużył na nie, ale nie pozwoliłbym go sobie wydrzeć, bo pragnąłem go, jak każdy, aż do szaleństwa...

Tak spędzałem czas do wakacyi. Z Zdzisławem widywałem się rzadko: on sam mało mi się udzielał, zajęty wciąż Weydenem i jego paczką, ja zaś ani chciałem, ani mogłem mu się narzucać. Dziwne uczucia nurtowały mnie, gdym, obcując z nim czasami, patrzał na niego i słuchał, co mówił. Ani się domyślał, ktom jest, a właściwie kim będę dla niego, z wysiłkiem powtarzałem sobie: to jest brat umiłowanej przez ciebie kobiety! I przypominałem sobie, jak kiedyś, na parę dni przed wyjazdem, prosiła mnie Lila, bym nie zaniedbywał go zbytnio, bym nie wypuszczał go z pod mej opieki, nie pozwalając mu tonąć w przerażająco bezdusznej i szkodliwej atmosferze wielkiego, pełnego niezdrowych uciech miasta, do której coraz więcej niestety lgnął... — Nie wypuszczać go z pod swej opieki — myślałem gorzko. Ochłodłem wielce dla kolegi Melskiego, mając go znowu za takiego, jakim mi się z początku wydał, ale dla Alicyi, dla tej dziewczyny drogiej, chętnie scho-

http://rcin.org.pl

wałbym swe osobiste antypatye jak najgłębiej, gdyby kolega Melski dbał o to choć trochę. Jeżeli posiadałem kiedykolwiek jakiś wpływ na niego, to owa pora minęła dawno. Z przykrością tylko stwierdzałem, że ten człowiek w niczem do swej siostry podobnym nie jest.

Nadeszły ostateczne egzamina. Zdałem je szczęśliwie i miałem dyplom inżyniera w kieszeni, — czasy studenckie minęły dla mnie bezpowrotnie. Z pewnym strachem jednak opuszczałem instytut, nie wiedząc, co życie dla mnie gotuje. Pragnąłem gorąco tej chwili ze względu na Alicyę i krzepiłem się myślą, że im prędzej wejdę w owo życie, tem prędzej ją dostanę. Miałem też nadzieję, że przy pracy, pewnej umiejętności i pilności zdołam uczciwie zarobić na dostateczny kawałek chleba.

Już poprzednio umówiłem się z dyrektorem fabryki w R., że po ukończeniu instytutu zjadę do R. jako inżynier na pierwszą w życiu posadę. Dyrektor ten, Rolpe, bardzo zdaje się sobie mnie upodobał, twierdząc, że jestem pracowitym i zdolnym. Była to woda na mój młyn i szczęśliwa dla mnie okoliczność, bo w razie jakiegokolwiek ze strony starego barona lub Zdzisława zdziwienia, mogłem się w każdej chwili tym przeszłorocznym quasi-kontraktem zasłonić. Kilka miesięcy temu nie zamierzałem

http://rcin.org.pl

już nigdy do R. powrócić, a teraz?... Teraz o tem tylko myślałem.

I pojechałem. Zrozumiesz i odczujesz co się w mej duszy działo, gdym znowu ujrzał Alicyę, com przeszedł i przeżył, gdy czasami, ukradkiem, w chwilach rzadkich sam na sam, rozmawialiśmy z sobą i opowiadaliśmy sobie wszystko, wszystko... Byłem z kochaną kobietą — to jedno wiedziałem, to jedno napawało mnie dziwnem uniesieniem. Tak blizko niej i tak często z nią — snem czarownym wydawał mi się ten okres.

Nękało mnie tylko jedno. — Jestem jej narzeczonym — myślałem — i muszę to, jak wstyd, jak hańbę jaką ukrywać — i ukrywać musi ona. — Nie łudziliśmy się: wiedziałem wszak, coby Melski na to powiedział. A jednak łudziliśmy się. Ona liczyła na Zdzisława, na jego serce, na poglądy może nie tak zapleśniałe, na miłość brata. Pragnęła, by kiedyś, w chwili sposobnej, on pierwszy się o tem dowiedział i pierwszy za nami do starego barona przemówił...

On, Zdzisław. Bolało mnie to, obrażało moją dumę, bo czegóż więcej, jak miłości wzajemnej i zgody Alicyi potrzebowałem? Bolało to i ją, rozum jednak i takt nakazywały nam z jej najbliższymi się liczyć.

Baron przyjął mnie grzecznie, dobrodusznie.

http://rcin.org.pl

W głowie starego arystokraty nie powstało przypuszczenie, by podobny mnie człowiek ośmielił się kiedykolwiek wyciągnąć rękę po pannę Melską, jego córkę. Zdzisław, który nadjechał w parę tygodni później, był nieco zdziwiony, ale dość, w samą miarę, uprzejmy. Nie podejrzewał mnie również o nic, przeszłoroczna jednak jego niby-przyjaźń uleciała już, jak dym...

I tak przeszedł miesiąc. Walczyłem z sobą, lecz po wspólnej z Alicyą naradzie postanowiliśmy odłożyć wszelkie wyjaśnienia do przyszłego roku, póki materyalnie nie zabezpieczę się jako tako. Sam żądałem tego.

Więc choć z troską w duszy — cieszyłem się z szczęścia mego, z obcowania z nią. Słuchałem chciwie, co mówiła, opowiadałem jej wszystko, co przeszedłem i przemyślałem, ona nawzajem wyznawała mi, pełna cudnego zawstydzenia, to, co biedne jej serce nękało. I było nam dobrze, nieopisanie dobrze... Wielbiłem ją całą duszą, bo poznałem jeszcze lepiej, jak szlachetną i zacną była, jak pokochawszy serdecznie, taiła tę miłość, nie chcąc, bym związał się z nią tylko przez wdzięczność. Wiedziałem teraz, jak myślała o mnie, jak się za mnie modliła... Nie zasługiwałem na to uczucie, a jednak pożądałem go szalenie. I jeżeli to możliwe — umiłowałem ją stokroć jeszcze silniej, umiłowałem bez granic.

http://rcin.org.pl

Ach! Chwil kilka takich w życiu, a byłoby ono z promieni utkane... Światłość by się uczyniła na ziemi i ludzie wiedzieliby, czem jest szczęście. Z rozkoszą, z zapamiętaniem piłby każdy z źródła, z tej krynicy... Dusza koiłaby się i serce wchłaniałoby czarowną moc radości i wiary. Tylko kilka...»

Chodorowicz przymknął oczy i twarz, jakby nagle zastygłą, skierował w górę. Stał nieruchomy, rzekłbyś zdrętwiały...

— «... Pewnego dnia przyjechałem z R. do Słotwysz i zastałem tam... Weydena. Niesmak mój i zdziwienie jednak powiększyły się, gdym się dowiedział, że Weyden przybył w odwiedziny na cały miesiąc, w charakterze «przyjaciela» Zdzisława, a z zaproszenia jego i starego barona. Pojmujesz, co się ze mną działo i jak nagle Słotwysze wydały mi się posępne i dziwne. Sielanka się przerwała. Teraz mieliśmy nieodstępnego towarzysza w owym napuszonym eks-kawalergardzie, który wciskał się wszędzie pewny siebie, z łaskawie protekcyonalnym uśmiechem na ustach, pełen wykwintnej, niedbałej uprzejmości, elegancki, wytworny aż do przesady. Cała głucha odraza, nurtująca mnie już przeciw niemu w Petersburgu, wybuchała teraz z nową, nieopętaną siłą. Stał mi się poprostu wstrętnym, nie do zniesienia. Nieraz zdarzało się, że patrzaliśmy na siebie, jak wilki i każdy

http://rcin.org.pl

z nas ukrywał pod maską musowego konwenansu coś złowróżbnego dla drugiego. Alicya, dla której przyjazd Weydena miał być «przyjemną niespodzianką», traktowała go uderzająco zimno i oschle, unikała, o ile mogła, jego towarzystwa — on zdawał się mało tem przejmować. Za to Zdzisław i stary baron przesadzali się w czułości dla niego. Zdzisław zachwycał się nim wprost, stary baron z widoczną przyjemnością wspominał o jego stosunkach, koligacyach, świetności wychowania etc.

Atmosfera stawała się coraz cięższą. Wszystko napozór było naturalnem i zwyczajnem, w powietrzu jednak wyczuwałem burzę. Nie ograniczyłem liczby swych odwiedzin, przeciwnie, każdą wolną chwilę poświęcałem Alicyi. Nie zważałem na to, że obaj Melscy stawali się coraz więcej względem mnie oziębli, że czasami okazywali mi wprost nieznacznie, iż zbytnio za mną nie tęsknią. — Nie może inaczej być — powtarzałem sobie — więc będzie tak — i zniosę to dla Alicyi.

Aż razu jednego rzekła mi Lila, że Weyden przed kilku godzinami oświadczył się o jej rękę. Stało się więc. Odmówiła ma się rozumieć bez namysłu, on jednak nie dał za wygraną i zwrócił się z prośbą o skuteczne pośrednictwo do jej brata i ojca. Ten ostatni wezwał ją na długą konferencyę i żądał z naciskiem, by się bez-

http://rcin.org.pl

zwłocznie zgodziła. Prosił, groził, zaklinał — bez skutku. Lila była niezmiernie wzburzona i zupełnie wyczerpana tem przejściem. Jeszcze nie skończyła mówić, gdy wszedł baron, a za nim Zdzisław. Obaj mieli miny chmurne i wygląd rozdrażniony. Stary Melski już usta otworzył i wyrzekł: — Lila, proszę cię... — gdy spostrzegł nagle mnie. Oczy jego zamigotały gniewem.

Skłoniłem się.

— Panie Juliuszu... — odezwał się urywanym głosem — nie uprzedzono cię... Wybacz, przyjedź innym razem, chętnie cię zawsze widzimy... ale dziś mam w ważnej sprawie do pomówienia z Lilą i Zdzisławem... — i to natychmiast.

Czułem, że jestem bardzo blady i że bledną coraz więcej. Stałem, jak zastygły, usta owionęła mi spiekota. Jakiś niezwykły i dreszczem przejmujący moment nadchodził... Postanowiliśmy zachować naszą tajemnicę do czasu, a teraz zdało mi się, iż próżnem byłoby wszelkie odraczanie. Oto już sięgnął po nią jeden z «myśliwych», a wkrótce sięgnie ich daleko więcej... Kocha mnie i nie wolno jej się do tego przyznać. Dlaczego, dlaczego te pęta? I po co dłużej milczeć? A przecież... może lepiej zamilknąć. Ból nerwowy szarpał mną i miotał...

Spojrzałem na Alicyę. Siedziała na kanapie i w oczach miała jakby mgłę. Ale przez tę mgłę

http://rcin.org.pl

przebijały coraz silniej gorączkowe błyski, prawie ogień... Nie wahałem się już.

— Panie baronie — przemówiłem drżąco, hamując nieopisane wzruszenie i zacisnąwszy kurczowo dłonie, niby pragnąc uchwycić coś, czy oprzeć się na czemś — ja... pana proszę... o rękę pańskiej córki...

W głosie mym usłyszałem prawie błaganie.

Cisza śmiertelna zapanowała po tych słowach, jakgdyby ktoś nagle w tym pokoju dostał pomieszania zmysłów, a inni patrzali na niego, nie pojmując jeszcze, że to jest właśnie obłąkaniec.

— Coo? — wykrztusił nareszcie baron, utkwiwszy osłupiałe oczy we mnie — co?!...

— Ja pana proszę... błagam o rękę pańskiej córki... — powtórzyłem.

Baron potoczył ciężko wzrokiem po pokoju i zatrzymał go wreszcie na Alicyi.

— Czy słyszysz? — zapytał chrapliwym, lecz pełnym zarazem piekielnej jakiejś wesołości głosem.

Ona jednak wstała. Twarz jej płonęła rumieńcem, w oczach miała łzy.

— Zgódź się, tatku! — wyszeptała.

— Panie baronie — zacząłem gorączkowo — kocham pannę Alicyę, jak człowiek uczciwy i tylko o nią cię błagam. Pojmij to... Kocham ją serdecznie i głęboko, a ona jest mi wzajemną...

http://rcin.org.pl

Wówczas Zdzisław, który patrzał dotychczas ze zdumieniem na tę scenę, wysunął się na środek pokoju i podchodząc do mnie, zawołał z nieopisaną wzgardą:

— Pan?! Czy pan się zastanowiłeś, coś powiedział?! Kto pan jesteś?!...

— Panie baronie... — błagałem, nie zwracając uwagi na tego niegodziwca.

Lecz baron zbliżył się także.

— Proszę wyjść natychmiast — wyrzekł wściekłym, przytłumionym głosem.

— Rozumiesz pan? — dodał Zdzisław, przyskakując.

Chwyciłem go za rękę i miażdżąc ją, odtrąciłem. Zwróciłem się do Alicyi. Drżała cała, twarz jej była zalana łzami.

— Panie Juliuszu! — zawołała.

A później rzekła z uniesieniem:

— Ja jestem pańską na wieki, na wieki!...

Wyszedłem».

— «... Na drugi dzień wysłałem list do barona, w którym doniosłem, że spełniwszy wszystko, co według mnie do człowieka uczciwego należało, uważam znajomość naszą za skończoną. Oświadczyłem też, że żadna moc na świecie nie powstrzyma mnie od poślubienia jego córki i że zaraz po zabezpieczeniu sobie bytu uczynić tego nie omieszkam.

Weyden opuścił Słotwysze nazajutrz. Później

http://rcin.org.pl

już w Petersburgu miałem z nim zajście i zmuszony byłem go spoliczkować. W pojedynku otrzymałem ciężką ranę, na którą długo się leczyłem... Następnie wyjechałem do Wilna na posadę.

A ona została w tym domu, pełnym upokarzających godność ludzką przesądów, została w atmosferze płytkości, nędznych ambicyi, gnuśności duchowej, narażona co dzień i co chwila na nieznośne, wyczerpujące moralnie stosunki z ojcem i bratem. Wyrwać ją stamtąd, wyrwać jak najprędzej — było jedyną mą żądzą, pragnieniem. Dać jej odetchnąć świeżem, nie zatrutem powietrzem, zwrócić jej swobodę duszy i pokrzepić ją... Straszne nieraz chwile przeżyłem w tem odosobnieniu od niej, kiedy każdym fibrem nerwów, każdym odruchem myśli i serca wyrywałem się ku niej, jak błędny. I taka niemoc, taka tęsknota mnie żarły... Wizye jakieś mnie nachodziły, zrywałem się nieraz i wołałem jej wielkim głosem, modliłem się, by przyszła. A ona nie przychodziła, bo i jakże miała przyjść? Więc nie patrząc widziałem, jak ją tam męczą moralnie, jak zatruwają każdą chwilę, jak nakłaniają może do jakiego wstrętnego zamążpójścia, jak bezczeszczą mnie przy niej za to tylko, że ośmieliłem się ją pokochać. Widziałem to... I włosy nieraz szarpałem... Gorączkowo pracowałem, starając się być wzorem pilności

http://rcin.org.pl

i akuratności, byle tylko jaką taką płacę otrzymać. Największą jednak przeszkodę stanowiło niedawne dopiero ukończenie instytutu przezemnie.

Ale ja ją znałem, wiedziałem, jaką ona jest. Była arystokratką z urodzenia i wychowania, przyzwyczajoną do zbytku i wygód, do samych stron słonecznych życia, ale zarazem prostą, serdeczną i dobrą dziewczyną, która potrafi w razie potrzeby poświęcić niejedno i niejednego się wyrzec... Była nie manekinem życiowym, lecz kobietą-człowiekiem, kobietą prawdziwą, umiejącą dostrzedz szczęście nie w złoconych klatkach jedynie. Była wreszcie wolną, hardą duszą — i kochała mnie szczerze. — Nie ona, nie takie, jak ona — powtarzałem sobie widzą cel wszystkiego w lśniącej powłoce zewnętrznej, a na skromny, lecz wystarczający byt dla niej będę miał...

Listy, otrzymywane od czasu do czasu od niej, umacniały we mnie tę ufność. Jak czarowne, jak cudne były one... — Niech pan wierzy i niech pan myśli o swej Lili — pisała mi w każdym, a pocałunkami okrywałem te słowa, krzepiłem się niemi. — Dziecko moje najdroższe — szeptałem jej, choć mnie słyszeć nie mogła — do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchnienia... Słońce ty moje, zoreńko moja, kwiatuszku mój... — I wołałem na nią, tuliłem niewidzialną,

http://rcin.org.pl

szukałem ust, których nie było... — Do ostatniego tchnienia, słyszysz, do ostatniego tchnienia i gorze mi, gdybym cię miał kiedykolwiek opuścić!...

Tak żyłem myślą o tej dziewczynie, jak żyje roślina słońcem i wodą. Gdy troski gnębiły mnie — ona była mi bodźcem i otuchą, wielką światłością, niesłychanem ukojeniem. I choć wiedziałem, że są ludzie na świecie, dla których nie miłość kobiety tylko jest tarczą zarazem i celem, ja kochając, nie wstydziłem się tego przed sobą i w niej właśnie, w owej miłości, szukałem wszystkiego, co w życie jakiś promień celowości wnosi...»

Chodorowicz umilkł znowu. Blada jego twarz pokryła się ceglastym rumieńcem, oczy świeciły gorączkowo. Wargi mu drżały i próżno starał się je zacisnąć...

— «Po roku dostałem posadę w Rydze, o co usilnie zabiegałem. Posada była względnie dobra, a Słotwysze niedaleko od Rygi. Wiedziałem, że Melscy bywali w Rydze dość często, tam miałem nadzieję ujrzeć Alicyę osobiście. Nadszedł bowiem czas... Mogłem i chciałem ją już zabrać stamtąd jak najprędzej i pragnęła tego ona. W jednym z ostatnich listów pisała: «mnie źle i coraz gorzej — tak smutno, tak niedobrze i strasznie...» Dłonie zaciskałem i chwytałem się za skronie, wspominając, co ona tam przechodzić musi. Ale teraz miało się skończyć

http://rcin.org.pl

wszystko, miało się zacząć szczęście... — Nie bój się — powtarzałem jej w myśli gorączkowo — nie bój się, dziecino najdroższa... Już my teraz swoi na wieki i żadna siła mi cię nie wydrze... — I ta pewność rozjaśniała mi umysł, umacniała mnie. Radością wzbierało mi serce, cierpienie ustępowało miejsca upojeniu...

Sprowadziłem do Rygi matkę moją staruszkę — ojciec w tym ostatnim roku umarł — i wynająłem dla niej mieszkanko. W tem mieszkanku miała u niej aż do chwili ślubu pozostać przez parę tygodni Alicya. W liście doniosła mi, iż w Rydze będzie z ojcem niezadługo i że z radością u mojej matki zamieszka. Gwałtu żadnego na niej Melski, jako na pełnoletniej, dopuścić się nie mógł...

Przykry to był dla nas obojga sposób, ale niestety jedyny. I tylko o jednem myślałem: ona będzie moją...»

Głos Chodorowicza się załamał. Stał, jak posąg, z źrenicami, błyszczącemi niezdrowym ogniem. Ulrycki patrzał na niego szeroko rozwartemi oczyma...

— «I już wszystko było gotowe... Czekałem chwili jej przybycia z sercem drżącem, palonem płomieniem gorączki. Liczyłem dnie, godziny i minuty, liczyłem nieledwie sekundy... Przestałem myśleć o tem, co nie miało coś z nią wspólnego, nie mogłem myśleć o czem innem. Jak

http://rcin.org.pl

maniak chodziłem na dworzec patrzeć, czy ona już nie przyjechała...

W biurze pewnego dnia szef pyta mnie: «wszak pan znałeś zdaje się pannę Alicyę Melską?» — Znam — odpowiedziałem i obróciłem się szybko ku niemu. — Patrz pan — i wyciągnął ku mnie gazetę — taka młoda!

— Co?! — Wziąłem od niego gazetę. — Co to, co to?... — zacząłem bełkotać przerażony — coś ty tu napisał?!

— To nieprawda! — krzyknąłem strasznym głosem i zwróciłem się do niego. Chciałem, żeby powiedział, że jest podły, nikczemny, obłąkany, że mi coś bezecnego i nieistniejącego pokazał.

Lecz on się cofnął zdumiony.

— To nieprawda, słyszysz ty... psie?! — zawołałem i oczy pokryły mi się mgłą, a zęby zwarły w spaźmie. Poczułem straszny ból i patrzałem przerażony przed siebie...

Upadłem. Ocucono mnie. Potem chciano wyprowadzić, zawieźć mnie do mojego mieszkania. Siedziałem, spoglądając bezprzytomnym wzrokiem, a pierś rwał mi okropny płacz...

Ona... umarła.

Umarła ona — krew moja, ciało, mózg... Umarła ta przeczysta dusza, która miała uszlachetnić moje istnienie. Umarła dziewczyna, do szaleństwa ukochana, jedyna, święta i promien-

http://rcin.org.pl

na... Umarło moje szczęście, moja wiara, moje uniesienie...

Na anewryzm serca skończyła, jak się później dowiedziałem. Dopomogli jej do śmierci — ci najbliżsi...»

Chodorowicz drżał na całem ciele i dygotał. Oto po raz setny, po raz tysiączny, przeżywał znowu to samo, — z tem samem uczuciem bezdennego cierpienia i rozpaczy. Chciał się powstrzymać i nie mógł, chciał zachować spokój, a czuł, że pierś rozsadza mu łkanie, jak wówczas. Zacisnął dłonie i patrzał na przyjaciela, jakby z ust jego chciał wydrzeć odpowiedź, dlaczego ta jedyna dziewczyna umarła. Twarz pokryła mu się wypiekami, oczy gorzały...

I tak stał czas jakiś. Później kończył głosem urywanym, bolesnym:

— «Zdążyłem jeszcze na jej pogrzeb. Okrutne chwile tam przeżyłem. Szedłem za jej trumną i nie widziałem nic, okrom tej okropnej trumny, w której leżała ona, Alicya. Leżała już inna, zimna, lodowa, z bolesnym pewnie wyrazem na martwej twarzy. Leżała cicha, pełna strasznego majestatu, nieziemska... I jej serce, bijące do niedawna dla mnie, zastygło już. Usta, któremi mówiła do mnie i wymawiała moje imię, oniemiały. Oczy, patrzące kiedyś na mnie z wiarą i miłością, zamknęły się na wieki.

http://rcin.org.pl

Ręka, którą kapłan miał związać przed ołtarzem wraz z moją, zwisła bezwładnie. I nic nie było już z niej, z tej żyjącej. Nawet pożegnania jej ostatniego, tego rozdzierającego: do zobaczenia, po śmierci! nie słyszałem, nie dano mi było usłyszeć. Prowadzili ją tam do zimnej i głuchej piwnicy, a ja patrzałem na to, jak obłąkany i wyrwać jej stamtąd, tchnąć w nią życia nie mogłem!

I tylko ten marsz słyszałem, ten straszny, rozpaczny marsz, drżący takim samym nieludzkim bólem, jak wtedy w noc miesięczną w Słotwyszach... Ją to przy owych dźwiękach prowadzono, ją, której śmierć wydawała się czemś niesłychanem, potwornem. Jęk jakiś, jak bicie dzwonu, szedł od tej muzyki... A okrzyk buntu i rozszalałego protestu łączył się z melodyą, której każdy ton opiewał nieubłagany tryumf śmierci... I rozbrzmiewał ten hymn kruczy, rozrywał na kawały serce... Złowieszcza groza tytanicznej potęgi opiewała okropny koniec wszystkiego... Rój posępnych aniołów płynął ponad tą trumną i prowadził umarłą w zaziemski świat...

— Lila, Lila... — szeptałem i poglądałem osłupiałemi oczyma na jej trumnę, kołyszącą się wśród zieleni i kwiatów. — Lila, ja przyszedłem, ja jestem!...

http://rcin.org.pl

— Lila — modliłem się do niej, błagałem ją, żebrałem — Lila, nie odchodź, nie opuszczaj mnie... Lila — łkałem rozpacznie — już możemy się połączyć, Lila, wysłuchaj mnie!

Jakieś mrowie szło, ruszało się, tłoczyło. Światła błyskały, księża śpiewali. A ja szedłem wraz z tymi ludźmi, patrząc na ową trumnę, idąc tam, gdzie ona mnie prowadziła...

Popychali mnie, mówili coś do mnie — ja widziałem tylko tę straszną trumnę, kołyszącą się tak, jakgdyby po fali płynęła...

Wpijałem wzrok w metalowe pudło, w którem zamknęli radość mego życia, mój szał, moje największe dobro... Konwulsyjnie wpatrywałem się w te popioły mojego szczęścia...

Na cmentarzu rozpoczęli nad nią jakieś dreszczem przejmujące obrzędy. Rozepchnąłem tłum i stanąłem tuż nad trumną. Usta zacisnąłem i patrzałem z osłupieniem. Potem jęli sypać na wieko grudki ziemi... Z jękiem pochyliłem się i objąłem trumnę rękoma. Ktoś starał się mnie odepchnąć. Podniosłem głowę i ujrzałem Zdzisława.

— Precz! — szepnąłem chrapliwie.

Przylgnąłem ustami do tej trumny i tak klęczałem, póki mnie nie odprowadzono przemocą. Zostałem przy grobie do wieczora i przesiedziałem przy nim noc całą. A później chodziłem na

http://rcin.org.pl

ów cmentarz i szukałem jej między krzyżami i mogiłami, będąc pewny, że ona tam błądzi i chce raz jeszcze spojrzeć na mnie, ale leżała zastygła i nie zmartwychwstała wcale...

Berlin — Zakopane. 1900 r.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

SPIS RZECZY.

	Str.
Szał (wizya)	1
«Pan Braczaczewicz»	7
Wieczór w Ilidże (wspomnienie z podróży po Bośnii)	23
Potępieniec (historya prawdziwa)	45
Baran	95
W wieczór karnawałowy (ułamek życia)	105
W słońcu (symfonia światła)	121
W cieniu (symfonia mroku)	137
Panna Stasia (wesoły szkic bez najmniejszej pretensyi)	169
Spełniło się (szkic)	211
Momenty	245
Aż do końca dni	279

AN LIT
Biblioteka
http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

OMYŁKI DRUKU.

Str.	Wiersz:	Zamiast:	powinno być:
48	16	zakotłowało się coś	zakotłowało się
61	10	zarzucając mu	zarzucając

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

F 60

http://rcin.org.pl